

PRAWDZIWA SZTUKA TO OKRAŚĆ ZŁODZIEJA

PLAN IDEALNY

**Michael
CRICHTON**

jako

John LANGE

Michael CRICHTON

jako John LANGE

**PLAN
IDEALNY**

Z angielskiego przełożyła
ANNA DOBRZAŃSKA



Tytuł oryginału:
ODDS ON

Copyright © John Lange 1966, Copyright renewed, CrichtonSun, LLC 2005
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2015

Polish translation copyright © Anna Dobrzańska 2015

Redakcja: Beata Kołodziejska

Zdjęcia na okładce: © Tony Bowler/Shutterstock, © Pugovica88/Shutterstock

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7885-580-4

Książka dostępna także jako e-book

Dystrybutor

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp. j.
Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (22) 721 30 00, faks (22) 721 30 01
www.olesiejuk.pl



Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.empik.com www.merlin.pl

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com



2015. Wydanie I
Druk: WZDZ - Drukarnia Lega, Opole

*Istnieją trzy rodzaje kłamstwa: kłamstwa,
cholerne kłamstwa i statystyki.*

BENJAMIN DISRAELI

SOBOTA, CZTERNASTY CZERWCA

LE PERTHUS, FRANCJA

Dynamit, starannie zapakowany w papier pakunkowy z napisem „Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin”, leżał jak gdyby nigdy nic na tylnym siedzeniu. Kilka godzin temu Miguel przykrył go sportową marynarką, tak więc stojąc w kolejce samochodów czekających na odprawę celną i wjazd do Hiszpanii, nie poświęcał mu żadnej uwagi. Paczka była czymś najzupełniej normalnym, a przez to absolutnie bezpiecznym.

Wyłączył silnik simki i zapalił papierosa, czując, jak upalne powietrze gęstnieje wokół samochodu. Przez cały dzień panował nieznośny upał. Dostawę zaplanowano na szóstą rano w Marsylii, ale jak zwykle wystąpiły problemy i kiedy w końcu sukinsyn pojawił się o dziewiątej, zażądał okazania dowodu tożsamości. Jakby tego było mało, wściekał się, że Miguel nie mówi po francusku. Miguel doskonale mówił po angielsku, podobnie jak po niemiecku i w języku sua-hili - no i oczywiście po hiszpańsku. Urodził się w Meksyku, wychowywał w Teksasie, a szkolił się i hartował w amerykańskiej armii. Majątek zbił w Europie, po wojnie - była to skromna fortuna, ale wystarczająco duża. Pod koniec lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych zajmował się pieniędzmi - zresztą nadal to robił - w Jugosławii, Turcji i Egipcie, a następnie przerzucił się na zegarki i aparaty fotograficzne. Japończycy znacznie uszczuplili jego dochody, zmniejszając zapotrzebowanie na produkty z Niemiec i Szwajcarii; od tamtej pory rynek nie był już taki sam. Właśnie wtedy Miguel zainteresował się bronią, lecz tu też sytuacja wyglądała nieciekawie - rebeliantów ubywało, a dostęp do broni był coraz bardziej powszechny. Ostatnie pół roku spędził w Bejrucie, gdzie palił hasz i zajmował się stręczycielstwem, aż w końcu skontaktował się z nim Bryan. Bryan był dobrym człowiekiem, rozważnym i szczerym, ale nie zdradził szczegółów, i Miguel miał mu to za złe. Nie lubił przemycać bez powodu. Bryan zapewnił go, że powód jest cholernie dobry i że Miguel będzie musiał jedynie zaczekać. I choć Miguel wyklócał się

jak diabli, Bryan nie puścił pary z ust.

Tak więc czekał.

Spojrzał na długą kolejkę samochodów i hiszpańskich celników w zielono-czerwonych mundurach i śmiesznych czarnych czapkach. Na szczęście nie zaglądali do bagażników. Miguel celowo wybrał to przejście graniczne; było tu gorąco i tłoczno, dlatego liczył na pobieżną kontrolę. Zwykle Hiszpanie nie byli nadgorliwi, chyba że dostali cynk.

Pamiętając o tym, Miguel przedsięwziął wszelkie środki ostrożności. Marsylski kontakt, cuchnący czosnkiem gruby drań, pomógł ukryć dynamit w bagażniku opla i Miguel, choć nikt go o to nie pytał, wspomniał, że wiezie towar do Hiszpanii. Francuz z pewnością uznał, że Miguel pojedzie wszędzie, tylko nie do Hiszpanii, mógł więc powiadomić Włochów albo Austriaków, i tak nie miało to znaczenia. Miguel jechał na wschód, z Marsylii do Cassis, bezustannie sprawdzając, czy nikt nie siedzi mu na ogonie. W końcu porzucił opla i przesiadł się do simki. Nie zatrzymał się na lunch, chcąc mieć pewność, że przekroczy granicę przed najgorętszą porą dnia.

Powoli kolumna samochodów sunęła do przodu.

Samochód był pomysłem Bryana. Został wynajęty Miguelowi, zarejestrowany w Paryżu i opatrzony czerwoną tablicą rejestracyjną o numerze TTA 75, która wskazywała, że pojazd należy do amerykańskiego turysty. Jego paszport - ten prawdziwy - był amerykański, tak więc wszystko wyglądało jak najbardziej legalnie. Tego właśnie chciał Bryan, szczerzy zawsze wtedy, gdy było to możliwe. Miguel uśmiechnął się znacząco. Bryan był nazbyt ostrożny, przez co nie potrafił blefować. Miguel zastanawiał się, co Anglik by zrobił, gdyby wiedział, że Miguel przekracza granicę z towarem na tylnym siedzeniu samochodu.

Nie żeby Miguel wierzył w podejmowanie ryzyka, wręcz przeciwnie. Miał udawać turystę i zadał sobie wiele trudu, by spotęgować to wrażenie. Miał nowe sportowe ubranie, które nawet jak na jego swobodny gust były dość ordynarne. Samochód zavalony był mapami, przewodnikami i opakowaniami po rolkach filmu - efekt tygodniowej podróży przez południową Francję. W ciągu tego tygodnia Miguel był prawdziwym ciekawskim, pstrykającym fotki turystą, więc zarówno on, jak i samochód wyglądali autentycznie. Wrażenie było jednoznaczne i niemożliwe do podrobienia.

Poprzedzający go samochód przekroczył granicę. Miguel zatrzy-

mał się i przez opuszczoną szybę podał celnikowi paszport. Ten wręczył go mężczyźnie w małej, przeszklonej klitce, który naprędce przybił stempel. Odzyskawszy paszport, Miguel podał celnikowi zieloną kartę, dowód rejestracyjny i ubezpieczenie. Urzędnik nie wydawał się zbyt zainteresowany.

- Papierosy? - spytał.
- Nie - odparł Miguel.
- Alkohol?
- Nie.

Mężczyzna pokiwał głową.

- Dokąd pan jedzie?

- Do Barcelony, a później do Madrytu. - Pilnował się, by niezdarnie wymawiać nazwy.

Celnik zwrócił mu zieloną kartę i machnięciem ręki kazał jechać dalej.

Miguel jechał wolno krętą drogą, mijając pofałdowane zielone wzgórza, pola pszenicy, a od czasu do czasu kryte czerwonymi dachami wiejskie domy. Najbliższą noc spędzi w Geronie, uczci przekroczenie granicy solidnym pijaństwem, a rankiem wróci do hotelu. Bryan mówił, że to luksusowy hotel z mnóstwem pańienek. Spotkanie tam potraktuje jako dodatkową korzyść, miłą odmianę.

LONDYN, ANGLIA

Bryan Stack słuchał Jane, która spała spokojnie u jego boku. Oddychała regularnie ze spokojem w pełni odprężonej, zadowolonej kobiety. Odgarnął jej z twarzy kosmyk ciemnych włosów i spojrzał w zamyśleniu na arystokratyczny nos, kości policzkowe i zmysłowe pełne usta. Cóż, nic dziwnego, że miała piękne rysy twarzy; była w końcu jedyną córką lorda Averetta. Uśmiechnął się do siebie. Gdyby tylko starzec wiedział.

Wyślizgnął się z łóżka, po omacku znalazł paczkę papierosów i podszedł do okna. Przez ciemne krople deszczu, który bębnił o szyby, dostrzegł widoczną w dole, rozmazaną, ciemnozieloną plamę wyludnionego Hyde Parku. Zastanawiał się, jak jej to powie. Powinien był wspomnieć o tym kilka tygodni temu, ale nie potrafił znaleźć słów.

- Bryan? - Głos miała zaspany.
- Przepraszam - rzucił. - Myślałem, że śpisz. - Spojrzał na nią, naga pod cienkim białym prześcieradłem, które podkreślało pagórki

jej piersi i delikatną krągłość pełnych bioder. Przeciągnęła się leniwie.

- Bo spałam - mruknęła. - Ciepło tu. Dlaczego nie otworzysz okna?

- Pada deszcz.

Westchnęła.

- Angielskie lato. Zapal mi papierosa, dobrze? Dzięki. - W ulotnym blasku płomienia zapalniczki pochwyciła jego spojrzenie. - Coś się stało?

- Oczywiście, że nie.

W ciemności przyjrzała się jego twarzy, studiując rysy, jakby liczyła, że coś z nich wyczyta. Wiedziała, że Bryan jest mistrzem skrywania uczuć. Ta twarz, przystojna i fascynująco okrutna, była jego cechą charakterystyczną.

- Zostawiasz mnie - odezwała się.

- Tak.

- Dokąd jedziesz tym razem?

- Do Włoch - skłamał.

- Wolałabym, żebyś tego nie robił, kochanie.

- Wiem.

Chciał dodać, że wcale nie ma ochoty tam jechać, ale nie do końca byłoby to prawdą. Odkąd sięgał pamięcią, Bryan Stack był okrytym złą sławą człowiekiem czynu. Żył dla adrenaliny - a jego kobiety żyły dla otaczającej go aury radosnego podniecenia.

- To coś niebezpiecznego?

- Nie jestem pewien. Prawdopodobnie. - Wiedział, że Hiszpania to idealne miejsce na wycięcie takiego numeru. Państwa policyjne były pod tym względem znacznie gorsze. Tak czy siak, na papierze wszystko wyglądało jak należy.

- Na długo wyjeżdżasz?

- Jakies dwa tygodnie.

Jane westchnęła. Już wcześniej czekała na niego wiele razy. Czekała dłużej niż dwa tygodnie. Jakoś to zniesie. Znowu się przeciągnęła, czując w mięśniach przyjemne mrowienie - znak, że budzi się w niej pragnienie. Siedział u jej stóp na skraju łóżka. Omiotła wzrokiem jego nagie ciało. Znała każdy jego skrawek, każdy nabrzmiały mięsień, każdą bliznę. Kochała je i potrzebowała go. Za każdym razem, kiedy wyjeżdżał, była niespokojna jak kotka w rui, włóczyła się po ulicach i barach niczym pospolita dziwka i od czasu do czasu sypiała z przygodnymi mężczyznami, którzy wyglądali, jakby byli w stanie ją zadowolić. Ale nie byli, co jeszcze bardziej potęgowało

tęsknotę za Bryanem. Bryan był jedyny w swoim rodzaju - umiał ją przytulić, podniecić, doprowadzić do takiego stanu, że nie wiedziała kim ani gdzie jest, a potem, już po wszystkim, uspokajał ją i przywracał do rzeczywistości. Robił to z taką siłą i pewnością siebie.

- Kiedy wyjeżdżasz? - spytała.

Zawahał się.

- Jutro rano.

Pokiwała głową, jakby spodziewała się takiej odpowiedzi. Już wszystko zaplanował. Bryan zawsze wyjeżdżał w pośpiechu i zawsze wracał nagle i nieoczekiwanie. Taki właśnie był.

Mrowienie wyraźnie się nasiliło. Czują ciepło, które rozlewało się po wewnętrznej stronie ud. Podrapała się w ramię, zastanawiając się, czy to tylko przelotne pragnienie, które lada chwila minie, i czekała. Uczucie nie minęło i jeszcze bardziej przybrało na sile. Uniosła nogę i zrzuciła prześcieradło, ciesząc oczy sposobem, w jaki spoglądał na jej nagie ciało.

- Bryan - zaczęła. - Pragnę cię. Teraz.

- Myślałem, że masz już dość. - Uśmiechnął się w ciemnościach.

- A ty?

Nie odpowiedział. Zamiast tego położył się obok i pocałował ją, kładąc jej miękkie wargi. Jego ręce, silne i pewne, błądziły po jej szyi i piersiach, wędrując niespiesznie w stronę płaskiego brzucha. Gdy pocałował ją w ucho, zalala ją fala rozkoszy, sprawiając, że wbiła biodra w materac i rozłożyła nogi. Chwilę później zaczął całować jej piersi, wodząc po nich językiem, aż sutki stwardniały i się zmarszczyły. Z gardła Jane wydobył się cichy jęk. Jej ciało zaczynało żyć własnym życiem, a ona przestała się kontrolować. Czują, jak mięśnie brzucha napinają się, kiedy wsunął rękę między jej nogi.

Jęknęła, gdy w nią wszedł, uniosła biodra, pragnąc go i pozwalając, by wszedł jeszcze głębiej. Przez moment zastanawiała się, czy do niej wróci, jednak po chwili wszystkie jej myśli utonęły w rosnącym przypiływie namiętności.

CAMBRIDGE, MASSACHUSETTS

W piwnicy laboratorium obliczeniowego panowała cisza. Steven Jencks słuchał stłumionych odgłosów pracy w otaczających go pokojach ze szklanymi ścianami. Po jego lewej stronie sekretarki i doktoranci ślęczeli nad wydrukami komputerowymi albo pisali programy, po prawej znajdował się pojedynczy pokój, w którym umieszczono

sorter kart. Urządzenie pracowało, przerzucając karty z danymi i wrzucając je do rzędu przegródek.

Główny komputer, IBM 7090, znajdował się na górze, na parterze. Jencks był tam ledwie chwilę i przyglądał się, jak komputer skanuje programy. Choć wielokrotnie widział urządzenie w trakcie pracy, wciąż nie przestawało go zadziwiać. Mógł godzinami patrzeć na światelka migające na konsolach sterowania albo jak szpule się obracają, przekazując wiedzę zgromadzoną na taśmie magnetycznej.

To był drogi sprzęt. Godzina pracy z komputerem kosztowała kilkaset dolarów, a on musiał wykupić pełną godzinę, choć w zupełności wystarczyłoby mu minuta lub dwie. Za resztę pieniędzy opłaci techników wprowadzających do komputera surowe dane i karty programowe, które urządzenie przeniesie na taśmę. Komputer pracował wyłącznie na wgranych instrukcjach i danych. Karty perforowane były dla niego zbyt wolne.

Jako że miał dostęp do dziurkarki kart, Jencks dostarczył kartotekę gotową do działania. Technicy byli wyraźnie zaskoczeni, a zarazem wdzięczni. Jednak Jencks nie spędził dwunastu wyczerpujących godzin w towarzystwie wielkiej maszyny - która cięła malutkie prostokąty na dziurkowane karty - z sympatii do techników. Odwalił tę znużającą robotę, bo nie chciał, by ktokolwiek o tym wiedział.

Był to specjalistyczny projekt, który mógł sprawić, że ludzie zaczęną gadać.

Technik imieniem Allerton, młody doktorant w okularach z grubymi szklami i z czupryną czarnych włosów, podszedł do niego, gdy Jencks dopijał colę.

- Doktor Jencks?

- Tak. - Jencks nie był żadnym doktorem, ale nie widział potrzeby, by cokolwiek wyjaśniać.

- Pańskie dane powinny być gotowe za kilka minut.

Poszli na górę i patrzyli, jak 7090 wypłuka kolejne strony obliczeń zapisanych z niezwykłą prędkością na szerokich arkuszach zielonego papieru, które wpadały do stojącego na podłodze drucianego kosza.

Drukarka przestała pracować i klikając, czekała na uruchomienie kolejnego programu. Ponieważ praca z komputerem była kosztowna, maszyna działała niemal bez przerwy, przetwarzając kolejne porcje danych.

- Pański projekt będzie następny - oznajmił Allerton.

Gdy to powiedział, drukarka zaczęła zapełniać kartkę w oszłamniającym tempie i zadrukowywać ją rzędami liczb. Jencks

próbował nadążyć za nią wzrokiem, ale rozboleły go oczy. Po minucie zatrzymała się i znowu zaczęła klikać. Allerton oddał pas papieru, oddzielając wydruk od leżącego nad drukarką czystego arkusza.

Sięgnął po gruby plik zadrukowanych stron i wręczył je Jenckowski.

- Zrobiliśmy dwie kopie - oznajmił. - Czy to wystarczy?

- Tak.

- Chce pan odzyskać karty z danymi?

- Tak, jeśli uda się panu je znaleźć. - Starał się mówić swobodnie, tak by nie zdradzać zdenerwowania. W rzeczywistości był bardzo zdenerwowany. Chciał, by wszelkie ślady projektu zniknęły z laboratorium.

- Chyba wiem, gdzie są - odparł Allerton i oddalił się, zostawiając go samego.

Allerton widział program i z zainteresowaniem przyglądał się danym. Wiedział, że Jencks przeprowadził symulację. Nie miał pojęcia, o co chodziło, ale wystarczająco dobrze rozumiał jej naturę. Był to program CRIPA używany do testowania najlepszych sposobów, by łączyć szeregi rozmaitych zadań prowadzących do wspólnego celu. Przemysł wykorzystywał go do budowy skomplikowanych maszyn, takich jak samoloty odrzutowe czy łodzie podwodne. W rzeczywistości program CRIPA - skrót od Critical Path Analysis* - został po raz pierwszy użyty w projekcie Polaris. Chodziło o to, by dowiedzieć się, które działania odgrywają kluczową rolę w harmonogramie budowy, i dopilnować, by zostały wykonane dobrze i na czas.

* Analiza Ścieżki Krytycznej.

Jencks wprowadził do programu jakieś dane. Allerton nie przejmował się tym, czego dotyczyły; koniec końców chodziło o kilka liczb, może nawet o hipotetyczny eksperyment, jak symulacja ruchów cząstek elementarnych profesora Forte'a.

- Proszę. - Allerton znalazł karty i zwrócił je Jenckowski w długim na metr, wąskim kartonowym pudełku.

- Dzięki - odparł Jencks, wsuwając pudełko pod ramię. Sięgnął po aktówkę, w której schował wydruki z komputera.

- Powodzenia z rozwiązaniem problemu - dodał Allerton, widząc, że Jencks szykuje się do wyjścia.

- Będzie mi potrzebne - odparł szczerze.

Powoli opuścił laboratorium i złapał taksówkę na lotnisko Logan.

Trzy godziny później patrzył, jak nowojorski taksówkarz pakuje

do bagażnika jego walizki. Jencks usiadł na tylnym siedzeniu z ak-
tówką u boku.

- Na lotnisko Kennedy'ego - poleciał.
- Spiesz się pan? - westchnął kierowca.
- Nie - odparł Jencks.

Należał do ludzi, którzy nigdy się nie spieszą. Prowadził spokojny tryb życia, lubił planować i doprowadzać wszystko do końca. Został obdarzony dobrą pamięcią i bystrym umysłem i wiedział, jak je wykorzystać.

Steven Jencks był odnoszącym sukcesy, profesjonalnym hazardzistą. Sięgnął do kieszeni po telegram, który otrzymał dziś rano w Nowym Jorku, tuż przed wylotem do Bostonu. Znalazł depeszę razem z rachunkiem za hotel i plikiem nowo nabytych czeków podróży.

UZGODNIJ HARMONOGRAM
FILMOWANIA SPOTKANIE
W PLANOWANYM MIEJSCU REKWIZYTY
GOTOWE

BRYAN

Wiadomość była zwięzła. Świadczyła o tym, że Bryan jest człowiekiem o podobnych poglądach, który przechodził od razu do sedna sprawy i nie bawił się w głupie gierki.

Ale co z trzecim mężczyzną? Bryan zapewniał go, że jest dobry i można mu ufać. Jednak Jencks wolał wstrzymać się z oceną do czasu, gdy go pozna. Koleś był przemytnikiem, a przemytnicy mieli w zwyczaju działać na dwa fronty (na myśl o tym Jencks się uśmiechnął) i dawać nogę, gdy tylko robiło się gorąco.

Taksówkarz przejechał przez tunel i skierował się w stronę Belt Parkway. Jencks wsunął telegram z powrotem do kieszeni. Pozbędzie się go później. Może kiedy dotrze na lotnisko, spuści go w toalecie.

- Wybiera się pan za granicę? - zagaił taksówkarz.
- Tak - odparł oziębłe Jencks.
- Do Europy? - Mężczyzna zignorował jego ton.
- Nie, do Afryki.
- Do Afryki. Bez jaj. Gdzie dokładnie?
- Timbuktu.
- Nie mam pojęcia, gdzie to jest - przyznał taksówkarz. - Jest pan handlowcem, czy jak?
- Białym myśliwym - odparł Jencks, myśląc w duchu, że po

części to prawda.

Kierowca się roześmiał.

- W porządku, proszę pana. Człowiek wie, kiedy ktoś sobie z niego żartuje.

- Czasami - przyznał Jencks. - Ale tylko czasami.

NIEDZIELA, PIĘTNASTY CZERWCA

CANNES, FRANCJA

Peter Merritt Ganson IV wyszedł, drżąc, z wody i padł na pasiasty materac na plaży hotelu Carlton. Jenny pomachała mu radośnie i krzyknęła coś do niego.

- Suka - mruknął pod nosem.

Szybko wytarł się ręcznikiem, patrząc, jak skóra pokrywa się gęsią skórką. Woda była za zimna. Mówił jej, ale ona się uparła, wiedząc, że to go zdenerwuje. Peter nie lubił, gdy woda w oceanie była chłodniejsza od ciepłej kąpieli. Dlatego bardziej od śródziemnomorskich kurortów wołał dom swoich rodziców w St. Thomas. Co tu dużo gadać, przez większość roku Morze Śródziemne było po prostu zimne.

Ale nie chłodniejsze od Jenny, pomyślał poirytowany.

Jeszcze dwa tygodnie temu marzył o wakacjach z Jenny. Siedząc w małym pokoju w Eliot House, z widokiem na uliczny ruch na Boylston Street, planował sielankowe dwa miesiące na Starym Kontynencie. Dzięki marzeniom przetrwał trzy tygodnie egzaminów na trzecim roku studiów, a teraz wyglądało na to, że wszystko legło w gruzach.

Jenny oznajmiła, że nie prześpi się z nim aż do ślubu. Była to ta sama śpiewka, której miesiącami słuchał w Cambridge i wciąż nie miał pojęcia, jak zmiekczyć Jenny, choć Bóg jeden wiedział, że próbował już wszystkiego.

Kiedy zgodziła się spotkać z nim potajemnie w Paryżu, założył, że chce się z nim przespać. Przecież idiotyzmem było, aby dwoje ludzi, którzy wyjeżdżali wspólnie na osiem tygodni, ani razu nie poszło do łóżka, prawda?

Osobne pokoje, buziaki na dobranoc. Chryste.

Czując na plecach zimną wodę, podniósł wzrok i zobaczył Jenny, która strzepywała nad nim rękę.

- Dzięki - rzucił.

- Boże, aleś ty dziś radosny. - Usiadła obok niego na materacu i

zaczęła czesać ciemnoblonde włosy.

- Nie miej do mnie pretensji.

- Nie mam do ciebie pretensji. Po prostu nie rozumiem, skąd te zale, zwłaszcza że od początku byłam z tobą szczerą. Zachowujesz się, jakbym cię oszukała, a tak nie jest. Chciałabym, żebyś przestał zachowywać się jak nudziarz gadający bez końca o jednym i tym samym.

- Przykro mi, że uważasz mnie za nudziarza.

Jenny westchnęła, spojrzała na słońce i nic nie powiedziała.

- Może nie powinniśmy razem podróżować - rzucił, przygryzając wargę. Robił tak, gdy się denerwował.

- Skoro myślisz, że tak będzie lepiej.

Spojrzał na nią i zrozumiał, że nie żartuje. Bez niego byłaby szczęśliwa, prawdopodobnie odwiedziłaby przyjaciół rodziny w Szwajcarii i Amalfi. Na myśl o tym ciarki przeszły mu po plecach. Przeniósł wzrok z twarzy Jenny na jej ciało. Jak zwykle go kusilo - duże, jędrne piersi, wąska, gibka talia, długie, szczupłe, umięśnione nogi. Jenny była wysoka, miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, i emanowała zaraźliwym entuzjazmem charakterystycznym dla dziewczyn z zachodnich stanów. W jej przypadku był to Teksas. Ojciec Jenny pracował w przemyśle rafineryjnym i choć niejednokrotnie żaliła się, jak ciężko w tych czasach dorobić się na wydobywaniu ropy, musiała przyznać, że gdyby nie poszła do Wellesley nie byłaby w stanie zatrzymać swojego porsche.

W święta Bożego Narodzenia Peter pojechał do domu rodzinnego Jenny w Midland, w Teksasie, i poznał jej staruszkę. Wielkiego Jacka Camerona. Serdecznego, bezpośredniego i nieco nieokrzesanego osiłka, który palił hawańskie cygara, rozdawał przyjaciołom medaliki świętego Krzysztofa (choć nie był katolikiem), miał potężne dłonie i czerwone policzki. Jenny zawsze mówiła do niego „tatu”. Peter zwracał się do swojego ojca, który pracował w bankowości, „ojcze”, albo - w rzadkich chwilach bliskości - „tato”. Doszedł do wniosku, że na tym polega różnica między Massachusetts i Teksasem.

Jenny miała na sobie czarny jednoczęściowy kostium kąpielowy z głębokim dekoltem, który podkreślał jej pełne piersi i - nie wiedzieć czemu - właśnie fakt, że był to jednoczęściowy kostium, a nie bikini, stanowił w oczach Petera największy problem.

W milczeniu wytarła się ręcznikiem i położyła na materacu. Ugięła nogę i Peter spojrzał na szczupłe kolano, smukłe udo i cudownie gładką linię łydki. A niech to!

Uniosła głowę i musnęła palcami skórę tuż pod obojczykiem.

- Schodzi mi skóra? - spytała.
- Chyba nie. - Peter starał się nie patrzeć na jej piersi.

Uśmiechnęła się, pokazując urocze dołeczki, a on po raz kolejny pomyślał, jak zwodniczy był jej anielski wygląd.

- Mam nadzieję - mruknęła. - Podaj mi krem do opalania, dobrze?

- Chcesz, żebym cię nasmarował?
- Dam sobie radę - odparła, sięgając po tubkę. - Ale dzięki, że zapytałeś.

Położył się na plecach i mrużąc oczy, spojrzął na słońce. Jenny nigdy nie dała mu szansy ani żadnej sposobności. Zawsze tak było i Peter miał przeczucie, że nadal tak będzie - chyba że zrobi coś, co to zmieni. Może powinni zmienić otoczenie. Cannes było miłe, ale zbyt dobrze znane. Oboje byli tu wcześniej.

Nagle przypomniał sobie o ulotce, którą dzień wcześniej przeglądał w biurze podróży. Potrzebował nowego, odludnego miejsca, czegoś eleganckiego i położonego na uboczu. Tamten hotel mógłby się nadać. Próbował przypomnieć sobie, co wyczytał z broszury: trzysta pokoi, cztery sale restauracyjne, salon fryzjerski, sklepy, klub nocny, baseny i korty tenisowe. Odcięta od świata, mała luksusowa społeczność na Costa Brava.

Warto spróbować.

- Dość mam już Cannes - oznajmił. - Jedźmy gdzieś indziej.

Spojrzała na niego, przysłaniając oczy ręką.

- Mówisz poważnie?
- Tak.
- Co masz na myśli?
- Hiszpanię.
- To za daleko - stwierdziła. Zamknęła oczy i położyła się z powrotem.

- Dojedziemy tam w ciągu dwóch dni.

- Do Costa Brava? - Otworzyła oczy i spojrzała na niego z zainteresowaniem. Czyżby wyczuł w jej głosie radosne podniecenie? Nie potrafił powiedzieć.

- Tak - odparł. - Znam tam pewne miejsce.
- To jest myśl - przyznała. - Może porozmawiamy o tym później?

Chcę się chwilę zdrzemnąć.

- Jasne. Porozmawiamy później.

Nagle poczuł się dużo lepiej i odprężony położył się na materacu

twarzą do słońca.

• • •

Jenny Cameron udawała, że śpi. Kiedy kostium kąpielowy wyschł, a skóra nagrzała się od słońca, ogarnęła ją dziwna, potężna żądza. Przez moment wierciła się na materacu, aż w końcu przewróciła się na brzuch. Potrzebowała mężczyzny. Od ostatniego razu minęły miesiące, a ona coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że Peter nigdy nie spełni jej oczekiwań.

Tatko dał jej to do zrozumienia w ubiegłe święta. Po tym, jak poznał Petera, powiedział jej na osobności: „Znajdź sobie mężczyznę, Jen. Pewnego dnia zniszczysz temu dzieciakowi życie”.

Nie wzięła sobie do serca ojcowskiej rady. Miała nadzieję, że w Europie, z dala od harwardzkiego snobizmu, Peter się odpręży i będzie się zachowywał naturalnie. Był przystojny i pociągał ją za każdym razem, gdy udało mu się zapomnieć, że nie należy do klubu Porcellian, chociaż pochodzi z dobrej rodziny, nosi ubrania szyte na miarę i jeździ najnowszym modelem jaguara - fajnym samochodem, XKE w kolorze butelkowej zieleni, ale stosunek Petera do niego był typowy. Upierał się, żeby nazywać auto jag-u-arem, na angielską modłę. To smutne. Najwyraźniej Peter nie zamierzał się relaksować. Wielka szkoda, bo to znaczyło, że Jenny będzie musiała poszukać innego mężczyzny, a wiedziała z doświadczenia, że mężczyzn, którzy byliby w stanie ją zadowolić, jest niewiele i w dodatku trudno ich znaleźć.

A teraz Peter wymyślił podróż do Hiszpanii. Czyżby myślał, że wskoczy mu do łóżka tylko dlatego, że to hiszpańskie łóżko, nie francuskie? Jeśli tak, był głupcem i wkrótce się o tym przekona. Z drugiej strony może zmiana otoczenia sprawi, że w końcu wrzuci na luz. Niemal bezwiednie zaczęła ocierać udo o udo, powoli, w górę i w dół. Z trudem się powstrzymała. Postanowiła, że w Hiszpanii da mu ostatnią szansę.

GERONA, HISZPANIA

Piętnaście kilometrów od miasta Miguel zjechał z głównej drogi na piaszczystą drogę gruntową. Jechał nią mniej więcej trzy kilometry, aż do rosnącego na poboczu sosnowego zagajnika. Wjechał między drzewa i zatrzymał samochód. Ze wszystkich stron, jak okiem się-

gnąć, otaczały go łany żółtawej pszenicy, kołysane leniwie gorącą bryzą. Dookoła ani żywej duszy; nic dziwnego, przecież to niedziela w głęboko religijnym kraju. Wysiadł z samochodu, otworzył bagażnik i wyjął małą, pustą walizkę, nie większą od torby podróźnej. Ta pusta walizka mogła przysporzyć mu nie lada kłopotów, gdyby celnicy postanowili jednak zajrzeć do środka, choć Miguel przygotował na taką ewentualność wiarygodną bajeczkę. Nabył ją, żeby pomieścić wszystkie pamiątki, które zamierzał kupić.

Otworzył walizkę i rozłożył na ziemi. Wyścielił dno gazetą i włożył do środka paczkę z dynamitem. Wyjął spod deski rozdzielczej splotki i baterie i je także włożył do walizki, podobnie jak małą puszkę gazu łzawiącego. W końcu spakował coś, co rzeczywiście należało do niego - mały automatyczny pistolet i dwa magazynki z nabojami. Zadowolony zamknął walizkę. Była ciężka jak diabli, ale wolał nieść ją sam, tak by nikt nie dowiedział się, co jest w środku.

Zerknął na zegarek - 11.30. Droga do hotelu zajmie mu kolejną godzinę, półtorej, jeśli się zgubi. Miał więc mnóstwo czasu. Będzie jechał powoli przez wzgląd na ból głowy - pamiątkę po pijaństwie ubiegłej nocy w towarzystwie tamtej dziewczyny. Tej z wielkimi cyckami i wałeczkami na brzuchu - zapomniał, jak miała na imię. Do diabła, po co w ogóle miałby je sobie przypominać.

BARCELONA, HISZPANIA

Sześć tysięcy metrów poniżej rozpościerał się krajobraz Hiszpanii, brunatny i suchy jak pieprz. Był rozległy, poszarpany, majestatyczny i monotony - coś jak Nevada, pomyślał Jencks. Wyrzał przez okno samolotu, próbując zignorować pasażera na fotelu obok. Nie było to jednak proste.

- Od dawna jest pan w Hiszpanii? Ja od sześciu lat.

W Madrycie Jencks przesiadł się do samolotu lecącego do Barcelony. Niestety trafiło mu się miejsce obok tego idioty - przysadzistego, pocącego się kolesia w tandetnym garniturze z marszczoną tkaniną. Kołnierzyk jego koszuli był wilgotny, marynarka wymięta, a na łysiejącej głowie, mimo działającej klimatyzacji, perlily się krople potu.

- Nie. Dopiero przyjechałem.

- Jest pan Amerykaninem?

- Tak.

- Tak myślałem. Poznałem po akcencie - wyjaśnił mężczyzna. -

Co pana sprowadza do starej *Español*?

Jest tu od sześciu lat, pomyślał Jencks. Sześć pieprzonych lat.

- Odrobina przyjemności. Przyjechałem na wakacje.

- Tak, to cudowne miejsce na wypoczynek. Wspaniałe, mówię panu. Kiedy przyjechałem tu po raz pierwszy, zjeździłem je wszerz i wzdłuż. Wszerz i wzdłuż. Cudowne miejsce. A tak przy okazji, nazywam się Alan Brady.

Mówiąc to, wyciągnął spoconą rękę.

- Steven Jencks.

- Miło cię poznać, Steve. Co powiesz na drinka? - Uparcie potrząsał ręką Jencksa.

- Chętnie.

Ręka została uwolniona tylko po to, by wcisnąć przycisk przywoływania stewardesy. Ramię Brady'ego wylądowało na ramieniu Jencksa, który poczuł na szyi wilgotne ciepło.

- Jestem inżynierem rolnictwa - oznajmił Brady. - A ty czym się zajmujesz?

- Brzmi interesująco. Co właściwie robi inżynier rolnictwa?

Pojawiła się stewardesa, chłodna, ładna dziewczyna. Mężczyźni zamówili drinki, a gdy odchodziła, Brady wychylił się, żeby popatrzeć na jej tyłek.

- Oto, czym się zajmuję - odparł, wskazując głową jej pośladki. - Uprawiam. Sieję i zbieram plony - dodał z uśmiechem. - Sieję i zbieram plony.

- To miło. Gdzie mieszkasz?

- W Sewilli. Byłeś kiedyś w Sewilli? Wspaniałe miejsce. Ale mówiłeś, że...

- Nigdy nie byłem w Sewilli.

- Nie, chodzi mi o to, czym się zajmujesz.

- Ach. Jestem projektantem wzornictwa przemysłowego. Projektuję samochody.

- Samochody! Cudownie. Jestem wielkim fanem motoryzacji. Tu, w Hiszpanii, jeżdżę fordem galaxie. Nie wiem, co bym bez niego zrobił.

- Mam nadzieję, że z klimatyzacją - rzucił Jencks, podziwiając krajobraz.

- Ależ oczywiście.

- Czy podatki na amerykańskie samochody nie są tu za bardzo wyśrubowane?

- Niezupełnie. - Brady ściągnął brwi. - Od jak dawna projektujesz samochody?

- Od dziesięciu lat. Specjalizuję się w tylnych światłach. - Z chwilą, gdy to powiedział, zrozumiał, że popełnił błąd. Ten facet nie był idiotą, choć zgrywał głupiego.

Zareagował na słowa Jencksa ledwie zauważalnym zmrużeniem oczu, ale najwyraźniej informacja została zakodowana.

- Są nieodłączną częścią projektu - orzekł Brady.

Stewardesa przyniosła drinki.

- Cóż, na zdrowie. - Brady jednym haustem opróżnił szklaneczkę. - Jedyna rzecz u Europejczyków, do której nigdy się nie przyzwyczaję. Piją alkohol, jakby to była śmiertelna trucizna... sączą drinki dwa razy do roku. Wiesz, o czym mówię?

- Niewiele podróżuję.

- Tym razem wybrałeś właściwe miejsce. Gdzie dokładnie spędzasz wakacje? W samej Barcelonie?

- Nie, poza miastem.

- Polecam Torremolinos. Idealna pogoda, dobrzy ludzie... jeśli nie masz nic do Niemców, bo ja niestety mam... i mnóstwo cipek. Przy okazji będziesz mógł popatrzeć na barcelońskie panienki. Te to wiedzą, jak się zabawić. - Zarechotał głośno i poklepał Jencksa po ramieniu. Zawartość szklaneczki chlusnęła na spodnie Stevena.

- A niech to. Ale ze mnie niezgara. Bez przerw odwalam takie numery, to niewybaczalne. - Błyskawicznie wyciągnął chusteczkę i zaczął wycierać spodnie Jencksa, po czym wyraźnie skruszony odsunął się od niego.

Przez moment Jencks zastanawiał się, czy facet przypadkiem nie jest ciotą, ale kiedy Brady wyprostował się i usiadł wygodnie we własnym fotelu, wiedział już, że się pomylił.

- Naprawdę przepraszam - rzucił Brady, nerwowo szarpiąc mięsisty policzek. - Cholerna ze mnie niezgara.

Będziesz musiał się bardziej postarać, pomyślał Jencks. Dużo bardziej, i to już niebawem.

Brady uśmiechnął się z zakłopotaniem i poluzował krawat. Jencks patrzył na niego w milczeniu. Uśmiech Brady'ego przygaśł i chwilę później mężczyzna poderwał się z fotela.

- Chryste, muszę się odlać. Może zamówisz następną kolejkę? Ja stawiam. Chociaż tyle mogę zrobić. - Po tych słowach ruszył w stronę toalety.

Jencks nie odprowadził go wzrokiem. Podniósł rękę i poklepał się po górnej kieszeni marynarki. Zniknął.

Niezła robota, prawie idealna. Westchnął i wyjrzał przez okno.

Sprawy przybrały bardzo niepokojący obrót, nie z powodu tego, co Brady mógł odkryć - to było nic - ale dlatego, że coś, co zrobił albo powiedział Jencks wzbudziło jego podejrzenia.

Irytujące.

Przyciskiem przywołał stewardesę i zamówił następną kolejkę. Czekając, zastanawiał się, jak Brady mu to zwróci. Pewnie przy okazji kolejnego finezyjnego popisu, któremu daleko było do perfekcji.

Tylko dlaczego?

Przeanalizował ich rozmowę i nie doszukał się w niej niczego, co wskazywałoby na coś niezwykłego. Wzruszył ramionami.

Chwilę później wrócił Brady.

- Od razu lepiej - rzucił pogodnie, sadowiąc się w fotelu. - Znacznie lepiej. Zamówiłeś drinki?

- Tak.

Ostrożnie, pomyślał Jencks. Odrobina ponurej drażliwości, ale nie za dużo, żeby nie zorientował się, że wiesz.

Brady po raz kolejny wyciągnął rękę.

- Chryste, naprawdę przepraszam. Uścisk dłoni na zgodę?

- Jasne. - Jencks uśmiechnął się wbrew sobie. Nieźle to rozegrał.

- Nie chowaj do mnie urazy - dodał z uśmiechem Brady i klepnął go w kolano. - Właśnie to lubię w Amerykanach. Łatwo wybaczenie i zapominanie o całej sprawie.

- Taa - bąknął Jencks.

Dwadzieścia minut później stewardesa oznajmiła po hiszpańsku, francusku i angielsku, że samolot niebawem wylądaje w Barcelonie - kastylijski akcent sprawił, że zabrzmiało to jak „Barthelona”. Dzień był słoneczny, a temperatura powietrza wynosiła trzydzieści dwa stopnie Celsjusza.

- Ile to? - spytał Brady.

Zanim Jencks zdążył odpowiedzieć, stewardesa dodała, że to dziewięćdziesiąt stopni Fahrenheita. Brady jęknął.

Samolot chwilę krążył nad lotniskiem, po czym zszedł do lądowania. Kołował na pasie, a gdy się zatrzymał, pasażerowie jak na komendę podnieśli się z foteli i sięgnęli po bagaże podręczne. Jencks wkładał płaszcz przeciwdeszczowy, kiedy Brady szturchnął go i wskazał na podłogę.

- To twój? - spytał.

Jencks opuścił wzrok. U jego stóp leżał mały skórzany portfel. Podniósł go.

- Tak. Mój paszport. Jak myślisz, skąd się tu wziął?

Brady wzruszył ramionami.

- Musiał ci wypaść.

- Pewnie tak. - Jencks wsunął paszport z powrotem do kieszeni.

Opuścili lotnisko i skierowali się na postój taksówek.

- Jedziesz do miasta? - spytał Brady. - Może weźmiemy jedną taksówkę.

- W porządku - odparł Jencks.

Przez całą drogę nie miał ochoty rozmawiać z Bradym i udawał, że podziwia widoki. Grubas najwyraźniej nie miał nic przeciwko, choć trąkotał jak najęty, opowiadając o mieście, jego historii, obecnej sytuacji i problemach. Trzeba było przyznać, że rzeczywiście znał się na rzeczy.

- W którym hotelu się zatrzymałeś? - spytał, kiedy dotarli do centrum miasta.

- Arycasa - odparł Jencks.

Brady swym koszmarnym hiszpańskim wydał taksówkarzowi kilka poleceń i widząc zmarszczone czoło Jencksa, wytłumaczył pospiesznie:

- Mam kiepski słuch, jeśli chodzi o języki. Zawsze tak było. Żałuj, że nie słyszałeś mnie cztery lata temu.

Cztery lata? Sześć lat? Jencks nie odezwał się ani słowem.

- Mnie nie stać na takie luksusy jak Arycasa. Zatrzymam się w Regente.

Jencks mógł się tego spodziewać. Nie miał ochoty spotykać się na drinka.

- Fajnie byłoby umówić się na drinka - zaczął - ale będę dość zajęty.

- Myślałem, że jesteś na wakacjach.

Jencks pozwolił sobie na delikatny uśmiech.

- Spotykam się z dziewczyną.

- Ty draniu! - Brady poklepał go po plecach.

Na szczęście dotarli na miejsce i Jencks pospiesznie wysiadł z taksówki. Ucisnął dłoń Brady'ego, wyciągnął bagaż i zniknął za drzwiami hotelu.

• • •

Pokój był ładny, choć Jencks nie był w nastroju do podziwiania wnętrza. Krążył po pokoju, próbując ustalić dalszy plan działania. Wziął pod rozwagę wszystkie możliwości - wymelduje się z hotelu, wyjedzie z Barcelony, będzie śledził Brady'ego, włamie się do jego

pokoju i przeszuka go. Potrzebował więcej informacji, zanim będzie wiedział, jak się zachować, pytanie tylko, czy szukać tych informacji, czy zagrać w otwarte karty. Ostatecznie zdecydował, że pozostawi sprawy własnemu biegowi, i zszedł do recepcji zapytać o Muzeum Picassa.

Żaden oficjalny przewodnik turystyczny w Hiszpanii nie wspomina o Muzeum Picassa w Barcelonie. Picasso, który od czasu drugiej wojny światowej był komunistą, namalował kiedyś cykl rycin zatytułowany *Sen i kłamstwo Franco*. Nie wrócił do Hiszpanii, odkąd w 1937 roku został dyrektorem madryckiego muzeum Prado i był świadkiem, jak samoloty generała Franco niszczą bezcenne dzieła sztuki. Urodził się w Maladze, na wybrzeżu, na południe od Barcelony, i tam spędził większość młodzieńczego życia.

Muzeum znajduje się przy jednej z bocznych uliczek. Zostało zbudowane, by pomieścić kolekcję przyjaciela Picassa, poety Jaimego Sabartésa. To miły dla oka budynek, przeprojektowana rezydencja miejska ze słonecznym centralnym atrium i przestronnymi galeriami.

Jencks przechadzał się po nich swobodnie, udając turystę i ani razu nie oglądając się za siebie. Nie było to konieczne. Niski, wychudzony człowieczek, który go śledził, robił to wyjątkowo nieudolnie.

Jencks spędził w muzeum godzinę, po czym udał się na lunch do nadbrzeżnej restauracji. Widział chudzielca, jak opiera się o słup latarni po drugiej stronie ulicy i udaje, że czyta gazetę. Po wyśmienitym daniu z małży i raków smażonych na maśle z czosnkiem pojechał taksówką do gotyckiej dzielnicy i przez kolejne dwie godziny włóczył się wśród starych budynków mieszczących biura rządowe. Uważał, by nie zgubić ogona, aż do chwili, gdy wszedł do katedry - wówczas niepostrzeżenie wymknął się bocznym wyjściem. Wyszedł prosto na ulicę i złapał taksówkę do hotelu Regente.

Nie było to daleko, bo przy Rambla de Catalunya. Kupił numer „Timesa”, usiadł w holu i czekał. Dwadzieścia minut później w hotelu pojawił się niski chudzielec i dziarskim krokiem skierował się do windy.

Jencks spoglądał na numery. Winda zatrzymała się na piątym piętrze. Wstał i podszedł do recepcji.

- Przepraszam - zaczął. - Szukam przyjaciela, który zatrzymał się w państwie hotelu. Przyjechał dziś. Pan Alan Brady.

- Amerykanin?

- Tak.

Mężczyzna zajrzał do książki gości.

- Przykro mi, ale dziś nie mieliśmy gości z Ameryki. Jest pan pewien?

- Spotkałem go w samolocie z Madrytu - odparł Jencks. - To potężny mężczyzna... - rękami nakreślił przed sobą okazały brzuch - ...który ciągle się poci. - Mówiąc to, otarł czoło.

Recepcjonista ściągnął brwi i rozciągnął usta w uśmiechu.

- Ach tak. Chodzi panu o monsieur Berneta.

- Berneta? Jest Francuzem?

- Tak. Przyjechał trzy godziny temu. Czy to o niego panu chodzi, señor?

- Możliwe. - Jencks wydawał się zbity z tropu. - Jaki jest numer jego pokoju?

- Pięćset dwadzieścia jeden. Może pan skorzystać z telefonu. - Mówiąc to, recepcjonista wskazał domofony z numerami pokoi.

- Dziękuję - odparł Jencks.

Podszedł do aparatu i nie wybrawszy żadnego numeru, przez chwilę prowadził fikcyjną rozmowę. Chwilę później opuścił hotel z dziwnym uczuciem niepokoju.

PONIEDZIAŁEK, SZESNASTY CZERWCA

COSTA BRAVA, HISZPANIA

Panował upał. Przeklęty samochód jest nagrany jak piekarnik, pomyślał Bryan Stack, gramoląc się na zewnątrz. Trzasnęła drzwiami i przypomniał sobie, że nie wziął lornetki. Przez otwarte okno sięgnął do środka, chwycił lornetkę z fotela pasażera, zszedł z drogi i zaczął wspinaczkę na wzgórze porośnięte skarłowaciałymi krzewami. W powietrzu wyczuwało się bliskość morza - miało w sobie słoń rześkość; ziemia była piaszczysta i rozmiękła, a wiatr dawał wrażenie świeżości i chłodu. Niskie, cierniste krzewy drapały mu nogi i Stack zaklął siarczyście, był jednak zdecydowany zobaczyć wszystko na własne oczy.

Wszystko to było pomysłem Jencksa, który potrzebował przeszło trzech dni picia i rozmów w dusznym pokoju Great Russell Hotel na Russell Square, żeby przekonać Stacka. Jencks pojawił się wyposażony w plany i fotografie i trzeba przyznać, że na papierze wszystko wyglądało naprawdę dobrze - niemal łatwo. Jednak plany mają to do siebie, że gdy wciela się je w życie, sprawy zaczynają się komplikować. Stack chciał to zobaczyć na własne oczy, zanim da się wciągnąć w tę robotę. Jeśli coś go zaniepokoi, natychmiast się wycofa; Jencks będzie wściekły, a Miguel zdumiony, ale to niczego nie zmieni. Bo za coś takiego policja nie daje człowiekowi po łapach i nie odsyła do domu. Za coś takiego gnije się w podłym, cuchnącym hiszpańskim więzieniu.

Wszedł na grzbiet wzgórza i spojrzał w dół, skąd biały i lśniący hotel Reina był widoczny jak na dłoni - wysoki budynek w kształcie litery L, zbudowany na skraju skalistego cypla. Prawdę powiedziawszy, zbudowano go na niewielkiej wyspie połączonej z lądem krótkim mostem. Była to wyjątkowo dzika i wyludniona część Costa Brava, wiele kilometrów od najbliższych miast - Gerony i Bagur, obu niezbyt dużych i znajdujących się w głębi lądu. Hotel Reina, dumny i błyszczący, stał samotny na odludziu, odcięty od cywilizacji i zupełnie samowystarczalny. Bryan przypomniał sobie słowa Jencksa.

„Jest jak luksusowy liniowiec, w pełni wyposażony. Trzysta pokoi, salony fryzjerskie, kasyno, klub nocny, cztery restauracje, mnóstwo sklepów i sklepików, upchnięte w jednym ekskluzywnym miejscu, z dala od wszystkiego. To zupełnie nowa rzecz na Costa Brava i niebawem powstanie tam kilka podobnych hoteli; otwarto go zaledwie rok temu, a już świetnie prosperuje. Pełno tam zblazowanych bogaczy, którzy przyjeżdżają na tydzień albo dwa i zachowują się, jakby byli na pokładzie *Queen Elizabeth*. Chodzą na eleganckie przyjęcia, na dancingi, obiegają dwa baseny, chłają na umór, nurkują bez kombinezonów i uprawiają narciarstwo wodne. Sam rozumiesz?”

Bryan zrozumiał od razu. Wszystko wydawało się niemal zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Nie, wszystko to było zbyt piękne, by było prawdziwe. I takie było. Ktoś przecież musiał już wcześniej wpaść na ten pomysł...

To samo powiedział Jencksowi, który skwitował to jednym krótkim: „Gówno prawda”.

A teraz, stojąc pod palącym słońcem Katalonii, Bryan spoglądał na hotel Reina przez lornetkę. Obserwował drogę aż do mostu - konstrukcja wydawała się solidna - rondo z fontanną i palmami pośrodku (uznał, że musi tam być podziemny parking), budynek - nowoczesny, wysoki, z przeszklonymi ścianami i pokojami, z których każdy miał osobny balkon, i w końcu basen. Widział tylko jeden z basenów. Pozostałe, z wodą morską, kryły się za budynkiem.

To właśnie przy basenie skupiało się życie hotelu. Rozstawione wokół niego leżaki były zajęte co do jednego, niektóre przez kobiety w bikini. Nie mógł zobaczyć nic więcej - odległość była zbyt duża, by ocenić, kto jeszcze wypoczywa nad basenem. Pomyślał tęsknie o Jane i uświadomił sobie, że z każdym powrotem do Londynu przywiązuje się do niej coraz bardziej. Z nagłym ukłuciem niepokoju pojął, że po raz pierwszy tęskni za nią, będąc za granicą. Był to znak, że zwalnia tempo.

Bryan Stack zwalniał już od jakiegoś czasu. Rozpoczął w blasku chwały, uczęszczając do Eton i Oksfordu; dorobił się też pięknej karty wojennej, działając w ruchu oporu Epinephrine w południowej Francji. Jego dobra passa zakończyła się - jeśli można tak powiedzieć - po wojnie, kiedy utracił skromną rodzinną fortunę i odkrył, że edukacja i przebieg służby nie znaczą wiele w powojennej Anglii. Przez jakiś czas szukał stałej pracy, ale po sześciu miesiącach dał za wygraną i zaczął przyjmować rozmaite zlecenia, „pożyczając” obrazy z prywatnych kolekcji w Hiszpanii i Szwajcarii. Próbował swoich sił, śledząc

współmałżonków na zlecenie prominentnych klientów, aż w końcu poproszono go, by zajął się wyjątkowo trudną sprawą w ambasadzie w Lizbonie, która żądała wyjaśnienia przypadkowego utonięcia na jachcie wycieczkowym. Tamtejszy sukces doprowadził do innych rzeczy - kradzieży dokumentów z biura polskiego dyplomaty w Wiedniu, podrzucania fałszywych dowodów, żeby ułatwić usunięcie rosyjskiego attaché w Londynie, i tym podobnych zadań. Ta dobrze płatna praca była utrzymywana w tajemnicy i nigdy otwarcie się do niej nie przyznał - z wyjątkiem jednego razu, kiedy został przyłapany na kradzieży w Brighton i puszczony wolno bez zadawania żadnych pytań, choć czekała go później niezła reprimenda. Sam był sobie winien; akcja w Brighton została źle pomyślana i kiepsko zaplanowana. Stack wierzył w planowanie, praktykę i jeszcze więcej praktyki. Im był starszy, tym więcej wiary pokładał w przygotowaniach, a mniej w mięśniach.

Cóż, pomyślał, oto zadanie, które wymaga planowania. Jeśli miało się im udać, wycucie czasu musiało być niemal idealne, a koordynacja perfekcyjna. Zadanie wymagało finezji i opanowania, ale stawki były wysokie, a nagrody ogromne.

Wrócił do samochodu i pojechał do hotelu Reina. Przed lunchem zdąży jeszcze popływać, a po południu poćwiczy z planszami.

TANGER, MAROKO

Biały lincoln continental sunął krętymi uliczkami na przedmieściach Tangeru niczym ogromny wał. Siedzący za kierownicą Jean-Paul trzymał rękę na klaksonie, gdy zawołowane kobiety w czerni i mężczyźni w pasiastych galabijach rozpierchali się przed nim, uciekając na chodnik. Mimo to poruszał się powoli; ulice były pełne ludzi, którzy rozmawiali, kupowali i sprzedawali. Na chodniku handlarze siedzieli w kucki obok swoich towarów, wyklócając się z otaczającymi ich klientami.

Samochód minął dwie furmanki załadowane suszoną czerwoną papryką i płóciennymi workami z ziarnem. Powietrze na chwilę wypełnił zapach przypraw. Po raz kolejny Jean-Paul zatrąbił na starca niosącego na głowie skrzynkę z kurczakami.

- Musisz to robić? - Siedząca na tylnym siedzeniu panna Shaw była wyraźnie rozdrażniona.

Jean-Paul językiem przesunął wykałaczkę w kącik ust.

- Tylko to rozumiem - odparł. - Klakson.

- Ale robisz potworny hałas. Postaraj się nie używać go tak często. Pamiętaj, chłopcze, we wszystkim zachowuj należyty umiar.

Jean-Paul westchnął i zerknął w lusterko wsteczne na pomarszczoną niczym suszona śliwka twarz panny Shaw. Powtarzała mu to co najmniej pięć razy dziennie. Jednak teraz wydawała się naprawdę zdenerwowana; jej obwisłe policzki pokryte grubą warstwą pudru drżały żałośnie.

- Spróbuję - obiecał.

Teraz i tak nie miało to znaczenia. Dojeżdżali do Grand Socco, głównego placu i największego targowiska, z fontanną pośrodku i barwnym meczetem po jednej stronie. Na obrzeżach placu znajdowały się sklepy i stragany oferujące wszystko, od owoców, przez paski klinowe, aż po zużyte opony. Było to zatłoczone, ruchliwe miejsce, jednak wkrótce wyjadą na szerokie, zadbane aleje współczesnego świata - europejską dzielnicę Tangeru.

- Grzeczny chłopiec. Gdybym jeszcze wiedziała, gdzie położyłam tę gazetę. No proszę, jest, leży tuż obok. Zabawne.

Przez kilka minut jechali w milczeniu. Jean-Paul zerkał na eleganckie sklepy przy Boulevard Pasteur. Tanger nie jest już taki sam, pomyślał. Przed 1956 rokiem, jako port wolnocłowy, miasto było cudowne. W tamtych czasach można tu było robić dosłownie wszystko, kupować, co się chciało, i handlować, czym się chciało. Z rozrzewnieniem wspominał małe kantorki wymiany walut i uroczy „klub nocny”, którego właściciel, uchodźca polityczny z Egiptu, zatrudniał naprawdę wyjątkowe dziewczyny. Teraz były tu jedynie banki i występy artystyczne w sterylnie czystych nocnych klubach. Ogień, który płonął w tym mieście, i aura radosnego podniecenia zniknęły bezpowrotnie.

Zjechał z głównej ulicy i zatrzymał się przed sklepem ze sprzętem gospodarstwa domowego. Na wystawie stały lodówki, żelazka i pralki.

- Jesteśmy na miejscu, prawda? - spytała panna Shaw. - To dobrze. Zaraz wrócę.

Czekała, podczas gdy Jean-Paul sięgnął do kieszeni koszuli po papierosa.

- Drzwi, głupcze - warknęła panna Shaw. - Nie zapominaj się.

Wyskoczył z samochodu jak oparzony i otworzył jej drzwi. Staruszka wysiadła, oznajmiając:

- I od tej pory masz nosić czapkę. Nie na darmo kupiłam ci ten strój.

Jean-Paul pokiwał głową i wrócił za kierownicę. W środku gotował się ze złości. Ta niewysoka kobieta pomiałała nim, kiedy tylko chciała. Zwraçała się do niego tym nieznoszącym sprzeciwu, wyniosłym tonem, który Brytyjczycy z jej pokolenia doprowadzili do perfekcji, zanim imperium rozpadło im się w rękach. Pomyślał o pannie Shaw, po raz setny zadając sobie pytanie, co nią powoduje. Nie był w stanie jej zrozumieć. Prawie siedemdziesięcioletnia, ale zadziwiająco żywotna jak na swój wiek, z byстрыm umysłem zamkniętym w przysadzistym ciele, stanowiła dla niego nie lada zagadkę, odkąd zatrudniła go dwa tygodnie temu.

Zapalił papierosa i powoli zaciągnął się dymem, próbując się uspokoić. Nie lubił pośpiechu, wolał spokój i opanowanie.

Jean-Paul był szczupłym i całkiem przystojnym Francuzem o algierskich korzeniach, miał dwadzieścia osiem lat, no i był żigolakiem. Oczywiście sam nie myślał o sobie w tych kategoriach. Wolał się uważać za najemnika, romantycznego tułacza, mężczyznę o dobrym smaku, ale elastycznego. Był wysoki i dobrze zbudowany jak na Francuza i w swoim życiu miał się wielu różnych zajęć: był robotnikiem budowlanym, akrobatą cyrkowym, bramkarzem w klubie nocnym i facetem do towarzystwa. Tak naprawdę kochał tylko dwie rzeczy: szkocką i młode kobiety, ale wiedział z doświadczenia, że aby pozwolić sobie na whisky, musi często zapominać o młodych kobietach. Na szczęście był elastyczny.

Zanim poznał pannę Shaw, pracował dla firmy działającej na czarnym rynku, która obracała pieniędzmi. Jego zadanie polegało na tym, że w pasie na pieniądze przenosił naprawdę duże kwoty przez ciasne, mroczne uliczki dzielnicy arabskiej. Była to niebezpieczna praca, której normalnie by się nie podjął, ale wyjątkowo dobrze płatna. No i miał szczęście - w ciągu trzech miesięcy, będąc kurierem, tylko dwa razy natknął się na ponurą twarz i błysk noża w cuchnącej moczem, wąskiej uliczce. Za drugim razem omal nie stracił ręki, ale schwytał sukinsyna i zmusił go do gadania. Tak jak przypuszczał, była to wewnętrzna robota; Jean-Paul wrócił do biura swojego pracodawcy i skonfrontował się z delikwentem.

Biedak nadal przebywał w szpitalu.

Jednak zasadniczo Jean-Paul nie był zwolennikiem przemocy ani ciężkiej pracy. Wolał zarabiać na życie łagodnością i zręcznością. Z tym większą radością przystał na ofertę panny Shaw. Właśnie taką pracę lubił najbardziej.

Panna Elizabeth Shaw wyszła ze sklepu ze sprzętem gospodarstwa

domowego i Jean-Paul usłużnie otworzył jej drzwi samochodu. Męczyło go to ciągłe otwieranie i zamykanie drzwi, ale staruszka i tak była mniej wymagająca niż inne klientki. Przynajmniej nie miała żadnych zboczeń. Przekreślił kluczyk w stacyjce i silnik obudził się do życia. Samochód nie przestawał go zadziwiać - był wielki niczym łódź i doskonale się prowadził.

- Do portu - poinstruowała panna Shaw. - Nie spiesz się, mamy mnóstwo czasu.

Zerkając w lusterko wsteczne, patrzył, jak rozpina bluzkę i kładzie na ogromnych, ciężkich piersiach płaską paczkę zapakowaną w szary papier.

- Zabiera to pani do Hiszpanii? - spytał.

- Oczywiście.

- To rozsądne?

- Nie bądź głupi, drogi chłopcze. Oczywiście, że to rozsądne. Myślisz, że którykolwiek z tych impertynenckich hiszpańskich celników śmie zasugerować, by poddano mnie kontroli? Że każe mi się rozebrać? - spytała z oburzeniem, niemal ze zgrozą.

Grała, ale wychodziło jej to zadziwiająco dobrze. Jean-Paul wiedział, że kiedy trzeba, panna Shaw potrafi nastroszyć się jak wściekły ptak, a efekt tego nastroszenia niezmiennie budził grozę. Żaden Hiszpan nie będzie na tyle głupi, by narazić się na jej brytyjski gniew.

- Ile pani dostała? - spytał.

- Prawie kilogram wyjątkowo dobrego towaru. Boże, ależ to ciężkie - jęknęła, dotykając piersi. - Wolałabym włożyć to do torebki, ale Hiszpanie bywają wredni, jeśli chodzi o torebki. Kilka miesięcy temu moja przyjaciółka przeżyła bardzo nieprzyjemny incydent. - Mówiąc to, skrzywiła ze wstrętem pomarszczoną twarz. - To oczywiste, że ktoś dał im cynk, ale mimo to... Osobiście mnie to nie obchodzi - ciągnęła, delikatnie poklepując się po piersiach - wiesz o tym. Ale inni to lubią i czują, że powinniśmy się na coś przydać. Nie sądzisz?

- Z pewnością - odparł Jean-Paul, zastanawiając się, kim są ci „inni”. Ponownie skupił się na ulicznym ruchu, który gęstniał w miarę, jak zbliżali się do portu. Ostrożnie manewrował ogromnym samochodem ze starzejącą się, angielską pasażerką, jej pięcioma walizkami i kilogramem marihuany, kierując się do łodzi. Za trzy godziny dotrą do Algeciras w Hiszpanii.

Peter Ganson zjechał z krajowej siódemki na wschód od Awinionu i zaparkował przed zajazdem. Wyłączył silnik swojego jaguara XKE i z zadowoleniem słuchał cichnącego, gardłowego pomruku. Chwilę później spojrzął na Jenny.

- Nie bardzo jest na co patrzeć, co? - zwrócił się do niej, wskazując głową budynek. Zajazd był mały i pomalowany przyprawiającym o mdłości odcieniem różu.

- Kogo to obchodzi? Jestem zmęczona, a podobno mają tu dobre jedzenie.

- To tuż przy drodze. Nie zmrużymy oka przez ciężarówki.

- Może ty nie zmrużysz oka. Ja zamknę okna w swoim pokoju i nie będę nic słyszeć.

- Jest za gorąco, żeby spać przy zamkniętych oknach.

- Będę spała nago.

Peter jęknął w duchu, wyobrażając sobie Jenny zupełnie nagą w czystej pościeli.

- Posłuchaj - zaczął. - Może weźmiemy jeden pokój?

- Nie - odparła, a zaraz potem dodała: - Nie dziś.

HOTEL REINA, COSTA BRAVA, HISZPANIA

Spotkali się zgodnie z planem, dokładnie o ósmej piętnaście, w hotelowym barze. Była to duża sala z przygaszonymi światłami, wykonana z solidnych trwałych materiałów, które podkreślały rolę, jaką miejsce to odgrywało w życiu towarzyskim gości. Wystrój i meble były nowoczesne, gdzieś w kącie cicho grał gitarzysta. Miguel przyszedł tu pół godziny temu i obserwował samotną kobietę, która siedziała przy stoliku i niespiesznie sączyła drinka. Była szczupła i mocno opalona, przez co wydawała się egzotyczna. Po upływie stosownego czasu zaczęli wymieniać spojrzenia i Miguel zaproponowałby jej drinka, gdyby nie fakt, że czekał na Bryana. Odprężył się na stołku barowym - dziewczyna mogła zaczekać. Jego największym zmartwieniem był projekt. Choć wiele o nim myślał w ciągu ostatnich kilku dni, nadal nie wiedział, co się dzieje. Miał pewne podejrzenia, ale nie podobał mu się ten pomysł - porwanie albo zabójstwo na zlecenie. Wielu wysoko postawionych urzędników państwowych przybywało tu na wakacje, podobnie jak barcelończycy, którzy zjeżdżali tu na weekend. Miguel wiedział, że Bryan już wcześniej był zamieszany w różne polityczne przekręty, i to go martwiło. Martwiła go cała ta polityka, bo nie był nią zainteresowany ani nie miał do niej

serca. Miguel nie interesował się niczym poza pieniędzmi.

Bryan przyszedł do baru ubrany w jasnoniebieską sportową marynarkę i granatowy fular w małe kaczuszki. Wyglądał świetnie i bardzo po angielsku. Krótko przycięte, siwe włosy i ostre rysy przydały mu dostojności. Miguel pomyślał z aprobatą, że przyjaciel wygląda jak prawnik na wakacjach albo dyrektor, który na kilka dni urwał się z delegacji.

Bryan usiadł na stoliku barowym obok Miguela, nawet na niego nie patrząc, przywołał barmana i zamówił gibsona. Od niechcenia rozejrzał się po barze i wyciągnął papierosa. Chwilę później wyraźnie zakłopotany zaczął poklepywać się po kieszeniach.

Miguel uprzedził barmana i błyskawicznie wyciągnął zapalniczkę.

- Pan pozwoli - rzucił.

- Dzięki. - Bryan odpalił papierosa z mieszanką formalnej wdzięczności i konsternacji. Wyglądało na to, że wolałby, żeby to barman przyszedł mu z pomocą; teraz będzie musiał wdać się w uprzejmą rozmowę z siedzącym obok kolegą.

- Mówi pan po angielsku? - spytał ostrożnie.

- Tak, jestem Amerykaninem.

- Naprawdę? To ciekawe - stwierdził, choć wcale nie wyglądał na zainteresowanego. - Na zdrowie, - Uniósł szklanekę.

- Na zdrowie - odparł Miguel, unosząc swoją.

Mężczyźni spojrzeli na siebie w milczeniu. Bryan wydawał się zakłopotany.

- W dzisiejszych czasach niewielu Amerykanów przyjeżdża na Costa Brava - zauważył w końcu.

- Brytyjczyków również.

- To prawda - zgodził się. - Zauważyłem.

Znowu zapadła między nimi niezręczna cisza. Barman stał nieopodal, wycierając szklanki zwinnymi, wyćwiczonymi ruchami.

- Od dawna pan tu przebywa? - spytał Bryan.

- Przyjechałem wczoraj.

- Ze Stanów to kawał drogi, prawda? Leciał pan przez Madryt?

- Nie, przyjechałem przez Francję, z Paryża. Samochodem.

- Ach, to cudowny sposób, żeby tu dotrzeć. Miał pan udaną podróż?

- Tak, dziękuję.

Barman odsunął się nieco, żeby obsłużyć kolejnych klientów.

- Żadnych problemów? - spytał Bryan, tym razem bez cienia wymuszonej uprzejmości. Natychmiast przeszedł do interesów.

- Żadnych.
- Gdzie jest teraz?
- W moim pokoju, w walizce.
- Zamkniętej, mam nadzieję.
- Oczywiście, że zamkniętej. Nie jestem idiotą.
- To dobrze. - Bryan pociągnął łyk drinka.
- Może w końcu powiesz mi, o co tu chodzi?
- Nie - odparł Bryan bez zastanowienia. - Będziesz musiał poczekać na trzeciego członka naszej małej gromadki.
- Mózg całej operacji?
- Mniej więcej.
- A kiedy on przyjedzie?
- Jutro - odparł Bryan, dopijając wódkę. - Zgodnie z planem spotkamy się w jego pokoju. Wtedy poznasz szczegóły. Przeglądałeś karty pamięci?

Miguel czuł, jak narasta w nim złość. Traktowano go jak dziecko.

- Posłuchaj - zaczął. - Jeśli myślisz, że będę tu siedział, nie mając pojęcia...

- Właśnie tak myślę. I mów ciszej.
- Nie podoba mi się to - rzucił nadąsany Miguel.
- Spodoba ci się.

Miguel pokręcił głową.

- Powiedz mi tylko jedno. Czy to ma związek z polityką? Bo jeśli tak, to ja nie...

Bryan wstał, szykując się do wyjścia.

- Nie, to nie ma związku z polityką. Nie musisz się o to martwić. - Ruszył do wyjścia, ale zatrzymał się i odwrócił. - Jeszcze jedno. Na jutrzejszym spotkaniu nie błaznuj i nie nazywaj go „mózgiem”. To mu się nie spodoba.

Po tych słowach wyszedł z baru.

Miguel zaklął pod nosem, zamówił kolejny gin z tonikiem i ponownie skupił się na dziewczynie. Ku swemu rozczarowaniu zauważył, że przysiadł się do niej jakiś Hiszpan. Dziewczyna była wyraźnie znudzona rozmową i spoglądała na szybujące pod sufit smugi dymu papierosowego.

Spodobała się Miguelowi. Wyglądała na gorącą laskę. Przywołał barmana.

- Ta pani w rogu. Kto to? - spytał.

Barman wzruszył ramionami wbitymi w wykrochmaloną białą marynarkę. Dyskretny sukinsyn. Dwieście peset powinno rozwiązać

mu język. Przesunął pieniądze po barze.

- Kup sobie drinka.
- Maria Theresa Gonzales - powiedział barman i dodał konspiracyjnie - ale naprawdę nazywa się inaczej.
- Bez jaj. A jak brzmi jej prawdziwe nazwisko?
- Nie wiem.
- Chyba nie jesteś zbyt dobry w tym, co robisz, co?

Barman po raz kolejny wzruszył ramionami. Tym razem z ociąganiem i powagą. A zatem dalsze informacje kosztowały następne dwieście peset. Cóż, Miguel nie był zainteresowany. Miał czas i był pewien, że już niebawem dowie się dużo więcej na temat dziewczyny, bez względu na to, jak brzmiało jej prawdziwe imię. Wyglądała na taką, którą warto poznać.

BARCELONA, HISZPANIA

Steven Jencks gapił się na plany i światłokopie porozkładane na łóżku w jego pokoju hotelowym. Z boku, starannie złożone w pękatej kopercie leżały wydruki komputerowe. Przez trzy godziny ponownie przyglądał się planom i wydrukowi. Nie znalazł nic, co by go zaniepokoiło - każda możliwość, każda zmiana i każdy przypadek zostały wzięte pod uwagę, rozważone i ocenione.

Wszystko z wyjątkiem pana Alana Brady'ego-Berneta.

Jencks westchnął. Przez większość dnia zwiedzał miasto i podziwiał widok ze wzgórza Tibidabo, patrząc na katedrę Gaudiego. Chudzielec przez cały czas był w pobliżu. Późnym popołudniem zaczęło padać i Jencks wrócił do hotelu, żeby w spokoju pomyśleć.

Żadne odpowiedzi nie przychodziły mu do głowy. Sam plan był idealny, ale Brady-Bernet był zupełnie nowym, nieznanym czynnikiem. Jedyne, co Jencks mógł zrobić, to czekać i zobaczyć, co się wydarzy. Był pewien tylko jednego - grubas nie wiedział, bo przecież nie mógł wiedzieć, co zaplanowano. To było absolutnie niemożliwe.

Zerknął na zegarek - 22.30. Czas na spotkanie z właścicielem łodzi motorowej. Niewątpliwie będzie to męczące i ryzykowne spotkanie. Jencks znowu westchnął, znalazł dwie paczuski z pieniędzmi i wsunął je do kieszeni marynarki. Chwilę później opuścił hotel i ruszył ulicą Les Rambles w kierunku nabrzeża. Chudzielec dogonił go przecznice od hotelu.

Jencks go zignorował. Później będzie miał mnóstwo czasu, żeby go zgubić.

Les Rambles nie przestawała go fascynować, choć nie mógł powiedzieć, żeby szczególnie mu się podobała. Była to główna ulica portowej dzielnicy Barcelony - szeroka, pełna kafejek i barów. Pośrodku, oddzielając pasy ruchu, biegł szeroki chodnik. Spacerujący nim ludzie oddychali nocnym powietrzem i zatrzymywali się przy stoiskach, żeby kupić książki i gazety. Jak zawsze tłum był młody, radosny i hałaśliwy; chłopcy śmiali się i krzyczeli, a dziewczyny, chichocząc, opędzały się od ich rąk.

Kafejki same w sobie były ciekawostką. Te na północnym krańcu ulicy, nieopodal Placa de Catalunya, były czyste i eleganckie, a ich klientelę stanowili bogaci zagraniczni turyści. Im bliżej nabrzeża, tym stawały się mniejsze, ciemniejsze i coraz bardziej obskurne; siedzące beczynnienie dziwki czekały na klientów albo znudzone rozmawiały z innymi dziewczynami. Wreszcie kafejki ustępowały miejsca nadbrzeżnym barom, sprośnym i hałaśliwym, które wypełniały noc rockandrollowymi kawałkami o seksualnych podtekstach.

Jencks skręcił w lewo, w wąską uliczkę, pospiesznie przeszedł jedną przecnicę i znowu skręcił w lewo. Wszedł do baru pełnego żeglarzy i ich dziewczyn i cierpliwie czekał na swój ogon. Kiedy chwilę później pojawił się chudzielec, Jencks zaszył się w cieniu. Lokal był hałaśliwy, zatłoczony i panował w nim chaos. Chudzielec rozejrzał się dookoła i nie zauważywszy go, poszedł porozmawiać z barmanem.

Jencks tylko na to czekał. Niepostrzeżenie wyślizgnął się z baru. Przeszedł do końca ulicy i wszedł do następnego baru, gdzie czekał dziesięć minut, popijając piwo imbirowe. Gdziekolwiek spojrzał, marynarze i alfonsi przepychali się i kłócili. On jednak wpatrywał się w drzwi. Chudzielec się nie pojawił. Zadowolony Jencks opuścił spelunkę i wrócił na Les Rambles, złapał taksówkę i pojechał na północ do Placa de Catalunya, na zachód, na Avenida Jose Antonio, do Placa d'Espanya i z powrotem, w kierunku nabrzeża, do Calle Marques del Duero. Na Ronda de San Pablo przesiadł się do innej taksówki i wrócił na Les Rambles.

Wszedł w kolejną wąską uliczkę, rozświetloną czerwonymi i zielonymi neonami reklamującymi restauracje, bary szybkiej obsługi i obskurne kluby nocne. Wśród tutejszych lokali było kilka barów ze striptizem. Powietrze cuchnęło potem i rybami; kilku podejrzanych typków podeszło, żeby złożyć mu ofertę, ale odepchnął ich i szedł dalej labiryntem ulic, które z każdą chwilą stawały się coraz ciemniejsze i bardziej wyludnione. W końcu zatrzymał się przed

beziemiennym klubem nocnym, który migający neon reklamował jako „Klub Nocny”. Pchnął zniszczone drewniane drzwi i wszedł do środka.

Wnętrze było ciemne i zadymione. Jencksa, który nie palił, od razu to uderzyło. Piekły go oczy i przez moment stał, próbując dojrzeć coś przez kłęby dymu. Rozróżnił wysoki bar z lewej i niskie stoliki po prawej stronie. W klubie nie grała muzyka; jedynym dźwiękiem był szept rozmów garstki klientów.

Podszedł do baru i zamówił kieliszek sherry. Rozglądając się dookoła, zauważył otyłą blondynkę w obcisłej spódniczce i swetrze, która stanęła obok i ocierała się biustem o jego ramię. Najwyraźniej tutejsze dziewczyny nie traciły czasu. Przyjrzał się jej twarzy, starej, surowej i raczej męskiej; spod grubej warstwy makijażu patrzyły na niego złośliwe oczka. Kobieta wyczuła jego zainteresowanie i przysunęła się bliżej. Pachniała tanimi perfumami.

- Gdzie jest Barry? - spytał po hiszpańsku. Nie znał dobrze hiszpańskiego; ot, wystarczająco, żeby się dogadać.

Kobieta wzruszyła ramionami i rozciągnęła usta w lubieżnym uśmiechu. Zęby miała pożółkłe od papierosów; jej oddech cuchnął. Odwrócił się od niej i chwycił barmana za rękaw koszuli.

- Barry?

Barman, chudy, sterany życiem mężczyzna, spojrział na Jencksa z wyraźnym zainteresowaniem i kiwnięciem głowy wskazał mroczny zakątek sali. Jencks dostrzegł siedzącą przy stoliku samotną postać i nie czekając, podszedł do niej.

- Jestem Barry - oznajmił mężczyzna, pokazując Jenckowski, żeby usiadł. Wyglądał na bardzo zmęczonego. Ruchy miał powolne i znużone. - Mówimy po angielsku, tak?

Jencks pokiwał głową i podniósł do ust kieliszek. Hiszpania była jedynym miejscem na świecie, gdzie mógł pić sherry.

- Przejdźmy zatem do interesów - ciągnął Barry, ostrożnie kładąc dłonie na blacie stołu. Twarz miał okrągłą, opuchniętą i bez wyrazu. - Masz ważne zadanie i potrzebujesz łodzi.

- Tak.

- Kiedy?

- W sobotę w nocy.

- I co chcesz, żebym zrobił w sobotę w nocy? - Mówił powoli, jakby słowa wiele ważyły i z trudem przechodziły mu przez usta.

- Chcę, żebyś zabrał paczkę do pewnego miejsca niedaleko stąd, na wybrzeżu.

- Paczkę - westchnął Barry. - Jakie to skomplikowane. Co dokładnie jest w tej paczce?

Jencks pokręcił głową.

- Przyjacielu, za każdym razem, gdy kręcisz głową, tracisz więcej pieniędzy, ponieważ twoja dyskrecja oznacza dla mnie ryzyko. Rozumiesz?

- Szkoda - odparł Jencks.

- Gdzie dokładnie na wybrzeżu mam dostarczyć tę paczkę?

- Odbierzesz ją z hotelu Reina i zawieziesz do Palamós. To wszystko, co musisz zrobić.

- To drogi interes - stwierdził Barry.

- Oczywiście - przyznał Jencks. - Ile?

- To zależy od szczegółów...

- Nie. Ile? - powtórzył.

Barry westchnął i w zamyśleniu muskał palcami blat stołu.

- Trzy tysiące dolarów.

- Szukam kogoś, komu można zaufać, nie pirata.

Barry wzruszył ramionami.

- Dam ci tysiąc. Pięćset gotówką teraz i drugie pięćset w Palamós.

- Dwa tysiące siedemset. Nie mniej.

- Gospodarka kwitnie - Jencks się uśmiechnął - ale to jakiś absurd. Tysiąc pięćset.

Barry nie odezwał się ani słowem. Strzelił palcami i barman przyniósł mu kolejnego drinka.

- Lubię cię - oznajmił w końcu - i szanuję przyjaciół. Dwa tysiące trzysta.

Jencks odchylił się na krześle. Obaj wiedzieli, że przystaną w końcu na dwa tysiące. To kwota, którą Jencks był gotów zapłacić i która go satysfakcjonowała. Piętnaście minut później było już po wszystkim i mężczyźni niedbale uścisnęli sobie dłonie. Jencks wręczył Barry'emu kopertę zawierającą osiemset dolarów w starych banknotach, głównie dwudziestodolarówkach. Barry wziął ją, nie przeliczając, i chwilę później przeszli do szczegółów.

Ustalili, że późną nocą w sobotę Barry otrzyma sygnał z hotelu i podpłynie do pomostu dla miłośników narciarstwa wodnego. Silnik zostanie wytłumiony zgodnie z wymaganiami podanymi przez Jencksa - przeróbki będą tanie i względnie proste. Tuż przed pierwszą Barry otrzyma paczkę i małą walizkę, które przewiezie do Palamós i przekaze człowiekowi czekającemu we wskazanym pokoju hotelo-

wym. Mężczyzna wypłaci mu tysiąc dwieście dolarów w banknotach o niskim nominale.

Barry potwierdził, że wszystko rozumie, i Jencks wstał od stolika.

- A, jeszcze jedno - rzucił z rozbrajającym uśmiechem. - Paczka będzie zapieczętowana i należy się z nią obchodzić wyjątkowo delikatnie. Jeśli mężczyzna w Palamós zauważy, że ktoś przy niej majstrował, nie dostaniesz pieniędzy.

Barry uniósł ręce i spojrzał na niego zbolałym wzrokiem.

- Proszę, przyjacielu...

- Wiemy też, że masz liczną rodzinę. Brata w Bilbao, siostrę w Madrycie i syna na tutejszym uniwersytecie. Rozumiem, że to miły dzieciak.

Twarz Barry'ego stężała i spojrzał na Jencksa spod przymrużonych powiek.

- Powiedziałeś już swoje - stwierdził.

Jencks pokiwał głową i zadowolony wyszedł z klubu. Powietrze było chłodne i świeże; czuł się zmęczony. Wszedł do najbliższej kafejki i skorzystał z telefonu.

- Mówi Reese.

- Cafe Montaldo. Za dziesięć minut.

- W porządku.

Rozłączył się i wyszedł na Les Rambles, która mimo późnej pory przeżywała prawdziwe oblężenie. Alfonsi niczym szczury wylegli na ulicę; Jencks, zmierzając w kierunku Cafe Montaldo, czuł się, jakby opędzał się od natrętnych much. Cafe Montaldo okazało się jasno oświetlonym, przestronnym miejscem na świeżym powietrzu. Nowoczesny wystrój był nijaki, jednak nietrudno było się zorientować, kto stanowi tutejszą klientelę - głównie obcokrajowcy, dość zamożni i wyraźnie znudzeni. Dostrzegł wśród nich kobiety w długich do ziemi sukienkach i idealnych fryzurach oraz mężczyzn w smokingu. Trochę drelichu i stroje do jazdy konnej. Jimmy Reese już na niego czekał.

Był młodym mężczyzną o chłopięcej twarzy i atletycznym ciele. Jencks poznał go w Reno i od razu połączyła ich przyjaźń oparta na wspólnych zainteresowaniach. Jimmy Reese był oszustem, osobą znaną i bogatą, człowiekiem, który nigdy nie przedłużał ważności swojego paszportu. Twierdził, że nie ma sensu - za każdym razem, gdy chciał to zrobić, okazywało się, że ma w paszporcie tyle pieczętek, że lepiej wyrobić nowy. Reese wiecznie podróżował, dlatego zdaniem Jencksa jak nikt inny nadawał się do tej roboty.

- Wyglądasz na zmęczonego - zauważył Jimmy. - Kłopoty?
- Nie. Wszystko poszło jak należy.

Zamówili dwie kawy, a Reese dodatkowo kieliszek koniaku.

- Dobra, a teraz mów - rzucił Jencks. Lokal był zatłoczony; przy sąsiednim stoliku siedziało sześć osób.

- George pracuje nad powieścią; to jego pomysł. Chodzi o przeżyty. Główny bohater dostaje towar... LSD czy coś takiego... w Palermie, jedzie natychmiast do Barcelony i łapie poranny samolot do Rzymu. Doręcza towar tamtejszemu lekarzowi i zgarnia za to niezłą sumkę. Nie zagląda jednak do paczki i nie wie, co naprawdę znajdowało się w środku. I tu następuje nieoczekiwany zwrot akcji.

- Ale skoro bohater i tak cieszy się złą sławą, nie powinien się przejmować.

- I pewnie tak jest.

- Brzmi interesująco - skwitował Jencks - ale czegoś tu brakuje. I właśnie w tej sprawie chciałem się z tobą spotkać. - Sięgnął do kieszeni i wyciągnął sporą kolejną kopertę, w której znajdowało się dwadzieścia pięćdziesięci dolarówek. - To opowiadanie. Chciałbym, żebyś rzucił na nie okiem. Myślę, że ma potencjał, ale wiesz, jak jest. Ja nie jestem obiektywny. A, skoro mowa o Rzymie, następnym razem, gdy tam pojedziesz, chciałbym, żebyś odwiedził mojego przyjaciela. To niezwykle ciekawy człowiek. Oto jego wizytówka.

Reese wziął kartonik i spojrzał na niego w zamyśleniu.

- Nie podano godzin urzędowania.
- Możesz do niego zajrzeć o każdej porze. Nawet w niedzielę.
- W niedzielę?
- Tak.

- Musi ciężko pracować - zauważył Reese. - Nie to, co ja. Ja nigdy nie pracuję w weekendy. Prawdę mówiąc, w ten weekend wybierałem się na wyjątkową wycieczkę na Costa Brava. Zamierzałem zabawić tam jakieś trzy dni i wrócić tu w niedzielę rano, na jakąś małą imprezę. Prywatny bankiet.

Jencks się uśmiechnął.

- Ciężkie życie. Opowiedz coś więcej o powieści George'a.
- Znasz George'a. Dużo gada, a mało robi. Lubi sobie pogadać.

Ale tym razem myślę, że coś może z tego wyjść; lepiej, żeby tak było, bo potrzebuje pieniędzy. Podobno dostał niezłą propozycję od wuja, który mieszka we Włoszech i pracuje w branży wydawniczej. Facet ma kontakty na całym świecie. W każdym razie dostanie tysiąc dolarów zaliczki.

- I to mu wystarczy?
 - Najwyraźniej.
 - Cieszę się - odparł Jencks, dopijając kawę. - Muszę się zbierać - dodał. - Skontaktuj się ze mną, jak tylko przeczytasz opowiadanie. Jestem ciekawy twojej opinii.
 - Zostajesz w Barcelonie?
 - W przyszłym tygodniu wybieram się do Włoch. Mam tam coś do załatwienia. Zatrzymam się w hotelu Florian, w Mediolanie.
 - Hotel Florian? Czy w Rzymie nie ma hotelu o tej samej nazwie?
 - Tak - odparł Jencks. - Chyba jest.
 - Jestem pewien, że się spotkamy- oświadczył Reese - tak czy inaczej. Mediolan, Rzym, co za różnica?
 - Żadna - odparł ze śmiechem Jencks. - Absolutnie żadna.
- Wyszedł z kafejki, chichocząc pod nosem. Reese był wyjątkowo bystrym dzieciakiem.

WTOREK, SIEDEMNASTY CZERWCA

HOTEL REINA, HISZPANIA

Annette Dumarche, zastępczyni dyrektora hotelu Reina, wręczyła nowemu gościowi złotą kartę, jednocześnie bacznie mu się przyglądając.

- Proszę tu podpisać - poprosiła. - Jeśli zostawi pan paszport, wypełnię resztę.

- Oczywiście. - Mężczyzna złożył podpis: Steven F. Jencks. Położył na blacie swój amerykański paszport i spojrzał na kobietę. - To wszystko?

- Tak - odparła.

Niezwykły, pomyślała. Jego twarz wydawała się brzydka, a zarazem przystojna. Miał grube rysy, duży, kartoflowaty nos i kręcone włosy w nieokreślonym odcieniu brązu. Oczy zdradzały niebywałą inteligencję, a krępe ciało emanowało siłą. Czym się zajmował? Przekłęte amerykańskie paszporty nie zawierały takich informacji, podobnie jak nie było wiadomo, w jakim mieście zostały wydane.

- Gdzie wydano ten paszport? - spytała w pośpiechu, przerzucając kartki. Czymkolwiek zajmował się pan Jencks, wiele podróżował. Może był handlarzem?

- W Los Angeles - odparł.

- Dobrze. - Wpisała to do formularza. - Boy hotelowy zanieś pańskie bagaże. Numer pańskiego pokoju to dwieście pięć. - Zawahała się. - Obawiam się, że bez widoku na ocean. Niemal wszystkie pokoje są zajęte...

- Nie szkodzi - odparł z uśmiechem.

Pomyślała, że to dziwne. Zwykle Amerykanie czuli się rozczarowani, gdy dowiadawali się, że nie dostaną pokoju z widokiem na ocean. Byli wybredni, prawie jak Francuzi, ale ten sprawiał wrażenie obojętnego. Spojrzała na jego dobrze skrojone ubranie, po raz kolejny próbując zgadnąć, czym się zajmuje. Miał na sobie elegancki, ciemnoszary klasyczny garnitur, najwyraźniej szyty na miarę, żeby dobrze leżał na szerokich ramionach.

Boy hotelowy podszedł do biurka i wręczyła mu klucz do pokoju.

- Pan Jencks - oznajmiła - pokój dwieście pięć.

Chłopak pokiwał głową i poprowadził Jencksa w stronę windy. Kobieta odprowadziła ich wzrokiem, podziwiając lekki, równy krok Amerykanina. Wyglądał jak profesjonalny sportowiec. Annette Dumarche lubiła takich mężczyzn.

Była Szwajcarką, podobnie jak dyrektor, pan Bonnard. Konsorcjum, które zbudowało hotel Reina, miało wymagania w kwestii personelu i zażądało, żeby zarówno dyrektor, jak i jego zastępca byli Szwajcarami, maître d'hôtel Francuzem, a konsjerż Skandynawem.

Annette pracowała w hotelu od roku, odkąd został otwarty i, patrząc wstecz, musiała przyznać, że był to całkiem przyjemny rok. Jedyne, na co narzekała, to brak mężczyzn; pracownicy hotelu napawali ją obrzydzeniem, podobnie jak większość gości. Przeciętnie interesujący mężczyzna zatrzymywał się w hotelu raz na sześć, siedem tygodni, czyli zdecydowanie zbyt rzadko. Mając trzydzieści jeden lat, była u szczytu formy, jeśli chodzi o atrakcyjność i świadomość seksualną, a przelotne, sporadyczne romanse powoli przestawały jej wystarczać. Wiedziała, że prędzej czy później będzie zmuszona rzucić tę pracę i wrócić do Genewy, żeby poszukać męża. Nie paliła się do tego, by stać się przyzwoitą kobietą, ale żarliwie pragnęła cieszyć się życiem. Małżeństwo wydawało się jedynym rozwiązaniem.

Tymczasem jednak, pomyślała, nie powinno być problemu. Najpierw ten przystojny Anglik, który wczoraj zameldował się w hotelu, a teraz pan Jencks o barczystych ramionach i władczym spojrzeniu. Każdy z nich się nada. Z pewnością była gotowa na kogoś takiego jak oni; od wyjazdu Niemca minęły dwa miesiące. Był idealny, choć nieco zbyt chłodny i zarozumiały.

- Jak leci?

Podniosła wzrok i zobaczyła pulchną sylwetkę pana Bonnarda.

- W porządku. Pan Jencks właśnie zameldował się w hotelu i nie miał nic przeciwko temu, że dałam mu pokój dwieście pięć.

Bonnard w zamyśleniu pokiwał głową.

- Przyjechał sam? - spytał.

- Tak.

- Nie rozumiem - ciągnął, kręcąc głową. - Przez ostatni rok rzadko miewaliśmy gości, którzy przyjeżdżali sami. I nagle, w ciągu ostatnich dwóch tygodni, zameldowali się u nas trzej samotni mężczyźni. Najpierw ten Hiszpan, później...

- Meksykanin - poprawiła go Annette, pamiętając paszport, w którym wyraźnie napisano: Miejsce urodzenia Meksyk, D.F., Meksyk.

- Tak, Meksykanin. Rzeczywiście. Później ten dostojny Anglik o nieprzystępnym wyglądzie, a teraz Amerykanin. No i dziś po południu spodziewamy się przybycia czwartego mężczyzny, niejakiego Gordona.

- I?

- Wszystko to wydaje mi się jakieś dziwne.

Annette się nie odezwała. Dobrze wiedziała, co niepokoi pana Bonnarda. Kiedy sporządzano listę personelu, konsorcjum jasno określiło liczbę dziewczyn, które miały dotrzymywać towarzystwa samotnym mężczyznom. Konsorcjum, składające się z czterestu przedsiębiorców z całego świata, pomyślało o wszystkim. Pan Bonnard starał się postępować według ich instrukcji, ale po sześciu miesiącach zmienił plany z uwagi na coraz większą liczbę dziewczyn amateerek pojawiających się w hotelu. Zwolniono profesjonalistki, a każda z amateerek odbyła indywidualną rozmowę z panem Bonnardem, w trakcie której przedstawił im podstawowe zasady gry.

Za całym tym systemem kryła się pragmatyczna teoria dyrekcji hotelu. Annette dobrze rozumiała tę teorię, choć pan Bonnard wspominał o niej zaledwie raz, tuż po otwarciu hotelu.

„Samotni mężczyźni na wakacjach, powiedział, potrzebują samotnych kobiet. To znaczy najlepiej, gdyby to były samotne kobiety. Jeśli takich nie znajdą, zaczną uganiać się za żonami innych gości. Trzeba tego uniknąć za wszelką cenę”. Oczywiście miał rację, zwłaszcza w przypadku hotelu Reina, oddalonego od jakiegokolwiek większego miasta. Była to samowystarczalna społeczność, do której należało jakoś sprowadzić dziewczyny.

- Jakieś wieści o damie z trzysta trzystaście? - spytał.

- To nie jest dama - odparła Annette.

Kobieta w trzysta trzystaście stanowiła źródło potencjalnych problemów - szczupła, ciemnowłosa flirciara, która była tu prawie od tygodnia i prowadziła żarliwe rozmowy z niemal każdym mężczyzną, jaki zatrzymał się w hotelu Reina. Pokojówka przypuszczała, że panna Gonzales nie poprzestawała na rozmowach, ale nikt nie był tego pewien. Pan Bonnard, zaskoczony odkryciem wichrycielki, miał ją na oku - przynajmniej dwa razy dziennie pytał o pokój trzysta trzystaście.

- Nic nowego - dodała Annette po chwili.

Rozmowę przerwało przybycie dwojga nowych gości. Oboje byli młodzi i wszystko wskazywało na to, że są Amerykanami. Chłopak był szczupły, wręcz chudy, miał przyszcza na brodzie i przydługie jasne włosy, choć na swój próżny, niedojrzały sposób wydawał się przystojny. Towarzysząca mu dziewczyna była wysoka i piękna. Miała idealne ciało, średniej długości jasne włosy, gładką cerę i jasnoniebieskie oczy okolone firanką długich rzęs. Byłaby to anielska twarz, gdyby nie usta i brwi, które zdradzały, że dziewczyna jest zdziwą i flirtującą.

- Dzień dobry - zaczął chłopak. Widać było, że czuje się niezręcznie w towarzystwie dziewczyny. - Nazywam się Ganson. Dokonałem rezerwacji w państwa hotelu.

Miał bezbarwny akcent, z północnego wschodu Stanów Zjednoczonych, a w jego zachowaniu było coś protekcyjnego. Annette natychmiast poczuła do niego niechęć. Przez chwilę kartkowała księgę gości.

- Tak. Dwuosobowy pokój na tydzień.

Twarz chłopaka oblała się rumieńcem.

- Nie - odezwała się dziewczyna. Mówiła ze spokojem, delikatnie przeciągając samogłoski.

Tych dwoje różni się pod każdym względem, pomyślała Annette. Co więc robią razem?

- Obawiam się, że zaszła pomyłka - ciągnęła dziewczyna. - Rezerwowaliśmy dwa pokoje jednoosobowe. Na różnych piętrach - dodała ze słodkim uśmiechem.

Chłopak gorączkowo szukał papierosa, nie mając odwagi podnieść wzroku na żadną z kobiet.

Co za para, pomyślała Annette.

- Tak - odparła w końcu. - Mamy dwa wolne pokoje. Obawiam się jednak, że żaden z nich nie jest z widokiem na morze.

- Cóż - zaczął chłopak. - Nie sądzę...

- To nic - przerwała mu dziewczyna. - Jestem pewna, że będzie cudownie.

- Posłuchaj, ja...

- Och, zamknij się, Peter. Czasami jesteś takim nudziarzem. Przejechaliśmy taki szmat drogi, więc równie dobrze możemy tu zostać na kilka dni. Moim zdaniem to czarujące miejsce. - Wręczyła Annette swój paszport i obejrzała się na chłopaka. - Oczywiście nie musisz zostawać, jeśli nie chcesz.

Jej towarzysz w milczeniu wyjął portfel i wyciągnął z niego pasz-

port. Annette sięgnęła po żółte karty i zaczęła wypełniać formularze na nazwiska Jennifer Cameron i Peter M. Ganson.

- Proszę mi powiedzieć - zagadnęła dziewczyna. - Zauważyłam, że macie tu fryzjera. Czy mogłabym umówić się na dziś?

- Myślę, że tak.

- Cudownie. - Poklepała się po głowie. - Po podróży moje biedne włosy wyglądają tragicznie.

- Oczywiście - odparła Annette, podsuwając im formularze. - A teraz proszę to podpisać. Zaraz poproszę kogoś, żeby zaprowadził państwa do pokoi.

- Jest pani bardzo miła - rzuciła dziewczyna, w pośpiechu składając podpis.

Chłopak milczał. Chwilę później boy hotelowy zaprowadził ich do windy.

- Wpadnę do ciebie, żeby zobaczyć, czy wszystko w porządku z twoim pokojem - zaproponował Peter.

- Na pewno niczego w nim nie brakuje.

- Skąd możesz wiedzieć...

- Peter.

- Na litość boską, chciałem tylko pomóc.

- Zjemy razem lunch?

Stali obok windy, czekając, aż zjedzie na parter.

- Dobrze - odparł. - Może zejdiesz do mojego pokoju i...

- Widzimy się w sali restauracyjnej za pół godziny.

Drzwi windy otworzyły się i weszli do środka.

- Cóż - jęknął chłopak. - Chciałbym, żebyś...

Drzwi zamknęły się z cichym syknięciem i hol pogrzyżył się w ciżmy.

Annette westchnęła i spojrzała na pana Bonnarda, który siedząc za biurkiem, ze stoickim spokojem obserwował całe zajście. Podziwiała go za umiejętność pozostawania niezauważonym; była to cecha, która przewyższała zwykłą dyskrecję, i Annette przypuszczała, że jest wrodzona. W przypadku pana Bonnarda pomagała mu dodatkowo jego aparycja. Był mężczyzną średniego wzrostu, średniej wagi, w przeciętnym wieku, o pospolitych brązowych włosach, równie pospolitych brązowych oczach i nijakich rysach twarzy.

- Co o tym myślisz? - spytała Annette.

- Nie podoba mi się to. Będą kłopoty.

- Dlaczego się nie rozstaną? Wciąż się nad tym zastanawiam.

- Nie potrafię tego pojąć - odparł znużony Bonnard. - Myślisz, że

zostaną na tydzień?

Annette wzruszyła ramionami.

- Mam nadzieję, że nie - odparł, jakby wyrażał na głos swoje myśli. - Mam szczerą nadzieję, że nie.

- Mówisz, jakbyś liczył na to, że jedno z nich rzuci się z balkonu - zauważyła ze śmiechem.

Pan Bonnard spojrział na nią z powagą.

- Możemy się śmiać, kiedy już wyjadą, nie wcześniej.

• • •

Marię Theresę Gonzales obudziło pukanie do drzwi. Obróciła się na plecy, kiedy kelner w swoim wykrochmalonym uniformie wszedł do pokoju z filiżanką kawy i dwoma gotowanymi jajkami. Zerknęła na zegarek, jedyną rzecz, której nie zdejmowała do snu. Dochodziła jedenasta. A więc przyszedł na czas.

- *Buenos dias, señorita.*

Był zawsze taki uprzejmy. Przespała się z nim raz, ale ją rozczarował. Co prawda, był młody i silny, ale nie umiał panować nad sobą. Jak to mówią, zachowywał się jak słoń w składzie porcelany. Siał spustoszenie, był zbyt podniecony, a przez to bezużyteczny - szkoda.

- *Buenos dias* - odparła ze swym najlepszym kastylijskim akcentem.

Chłopak zostawił tacę na stoliku i wyszedł z pokoju.

Maria Theresa Gonzales odrzuciła prześcieradła i ziewając, stanęła w porannym świetle wlewającym się do pokoju przez cienkie białe zasłony, które nie przestawały jej zadziwiać. Przywodziły na myśl pozostałości przezroczystych woali i egzotycznego życia, jakże innego od iberyjskiego ascetyzmu, który znała z dzieciństwa. Ale teraz, pomyślała, są inne warunki. Niegdyś była przecież znana jako Cynthia Sahara - „dziewczyna z błyszczącym pępkiem”. Łamała serca i przyprawiała o brak tchu mężczyzn w Londynie, Hamburgu i Monte Carlo. Uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie ciemnych, zadymionych pomieszczeń, gorących światła, które ślizgały się po jej nagim ciele i niemal niewidocznej publiczności, wilgotnego lśnienia tysięcy błyszczących oczu...

Weszła do wyłożonej białymi kafelkami, nieskazitelnie czystej łazienki i puściła strumień chłodnej wody. Przez chwilę rozkoszowała się mgiełką drobnych kropelek, które przyjemnie kąsały jej skórę, po czym pospiesznie wytarła się szorstkim ręcznikiem. To był jej po-

ranny rytuał - zimny prysznic i porządne wycieranie się. Jej dni rozpoczynały się w pozbawionym zmysłowości pośpiechu, stanowiąc kontrast do tego, co zwykle następowało później.

Ze skórą zaróżowioną od wycierania stanęła przed sięgającym podłogi lustrem i dokonała chłodnej oceny własnego ciała. Choć nie była już taka młoda, ciało miała gibkie, umięśnione i ponętne. Jej twarz i wyraziste migdałowe oczy z biegiem czasu stały się bardziej zmysłowe; bez wątpienia była to zasługa doświadczeń - tych odrażających i tych przyjemnych, którymi mogło się pochwalić bardzo niewiele kobiet.

Smukłe, kuszące ciało wciąż było atrakcyjne. Małe, krągłe piersi pozostały jędrne i sprężyste; wąskie, niemal chłopiące biodra poszerzyły się i nabrały krągłości. Nogi były równie smukłe i umięśnione jak wówczas, gdy miała szesnaście lat i po raz pierwszy przespała się z mężczyzną, a brzuch pozostał idealnie płaski.

Delikatnie dotknęła pępka. Agenci prasowi, autorzy tekstów reklamowych i redaktorzy rubryk towarzyskich mieli rację - jej pępek był zbyt duży i zbyt widoczny, kiedy się poruszała. Na próbę zakręciła biodrami, naśladując ruch, który tak bardzo lubiła publiczność. Pępek poruszył się, jakby podążał śladem skomplikowanych ruchów jej ciała. Ten zmysłowy widok graniczył z nieprzyzwoitością. To było miłe.

Swoją ciemną, niemal fioletowobrazową opaleniznę zawdzięczała naturalnej oliwkowej cerze i długim godzinom spędzonym nad brzegiem basenu i w słonecznym zaciszu tarasu. Ta opalenizna była dla niej powodem do dumy. Lubiała, gdy słońce pieściło każdy skrawek jej nagiego ciała; dzięki temu nabierało zdrowego, kuszącego wyglądu, którego nie psuły białe plamy ani ślady po ramiączkach. Chcąc podkreślić gładkość skóry, Maria każdego dnia goliła swe ciało. Miała świadomość, że jest to kwestia próżności i zmysłowego spełnienia, które dawał jej dotyk ostrza na skórze. Lubiała to, a gdy Maria Theresa Gonzales coś lubiła, nie zamierzała z tego rezygnować.

Czesząc proste, opadające na ramiona czarne włosy, myślała o ubiegłej nocy. W gruncie rzeczy była nudna. Ten odrażający przemysłowiec z Saragossy po raz kolejny wymknął się żonie i przysiadł się do jej stolika, płosząc siedzącego przy barze ciemnoskórego Amerykanina. Amerykanin był zbyt pulchny jak na jej gust, ale miał wygląd zadziornego dzieciaka, i to ją zaintrygowało. Poza tym nie знаła go, a to przecież nie do pomyślenia.

Może dziś rano spotka go przy basenie. Jeśli tak się stanie, zapozna

się z nim. Zawieranie znajomości z mężczyznami nigdy nie sprawiało jej problemów.

Maria Theresa podeszła do stolika nocnego i upiła łyk kawy. Dziś włoży swoje najlepsze bikini, skąpe, w kolorze soczystej czerwieni. Przewidywała, że będzie potrzebowała pół godziny.

. . .

Miguel wylegiwał się na płóciennym leżaku i podziwiał słoneczne refleksy, które tańczyły na powierzchni wody marszczonej delikatnym wiatrem wiejącym od strony morza. Mimo że dochodziło południe, niewielu gości wyszło, by cieszyć się słońcem; nad basenem siedziało mniej więcej dwanaście osób i nikt nie pływał. Najwyraźniej klientela hotelu Reina lubiła spać do późna, albo może większość gości wstała wczesnym rankiem. Miguel położył się spać przed północą, zostawiając siedzącą w rogu dziewczynę w towarzystwie Hiszpana.

Bryan pojawił się w odległym końcu basenu z książką w ręku. Powitali się przelotnym, chłodnym skinieniem głowy i Bryan usadowił się na leżaku z usztywnianym oparciem, nieopodal trampoliny, plecami do basenu i Miguela.

Miguel położył się, zamknął oczy i zwrócił twarz ku słońcu. Bryan był spokojny, może aż za bardzo. A może po prostu nie lubił Miguela, choć wydawało się to mało prawdopodobne - jego pierwszego zaprosił do tej roboty. Jednak Miguel był pewien, że wczoraj wieczorem Bryan mógł powiedzieć mu, o co właściwie chodzi, gdyby tylko chciał. Zwlekanie z wyjaśnieniami mogło być unikiem, albo - co gorsza - podstępem. Nie podobało mu się to.

Oczywiście, pomyślał, może być tak, że nawet Bryan nie zna sytuacji albo wie o niej bardzo niewiele. Biorąc pod uwagę absurdalnie tajny charakter postępowania, wszystko było możliwe. Amerykański mózg, kimkolwiek był, mógł wtajemniczyć Bryana na tyle, na ile to konieczne, a Bryan nie chciał tego przyznać.

Przyszła mu do głowy kolejna ewentualność. Może Bryan bał się trzeciego gracza. Uśmiechnął się. Chciałby to zobaczyć - chciałby poznać człowieka, który przerażał Bryana Stacka. W swoim życiu Miguel widział wielu mężczyzn równie twardych jak Bryan i wiedział, że każdy twardziel trafia w końcu na lepszego od siebie.

Usłyszał plusk i podniósł wzrok. Ktoś był w basenie. Dziewczyna. Dostrzegł czubek ciemnej głowy, która chwilę później zniknęła pod wodą. Dziewczyna płynęła, leniwie przebierając rękami. Kiedy

podpłynęła do brzegu basenu, zatrzymała się i stanęła po pas w wodzie. Dopiero teraz zauważył, że to dziewczyna z baru. Miała na sobie ogniste czerwone bikini. Uśmiechnęła się do niego, sprawiając, że poczuł w żołądku lekkie ukłucie. Chwilę później popłynęła na drugi koniec basenu.

Po kilku chwilach wróciła i oparła o brzeg basenu wypielęgnowaną dłoń. Spojrzała na niego, a on odpowiedział uśmiechem. Zamierzał zagaic do niej po hiszpańsku, ale przypomniał sobie, co mówił Bryan.

- Dzień dobry - odezwał się po angielsku.

- Dzień dobry - odparła z lekkim brytyjskim akcentem. - Powinien pan wejść do wody, działa orzeźwiająco.

- Mam taki zamiar, ale zaczekam, aż zrobi się trochę cieplej. Może w tym czasie wypije pani ze mną drinka?

Pokręciła głową.

- Jest za wcześnie. A może być lemoniada?

- Myślę, że nie będzie problemu.

- W takim razie dobrze.

Zafascynowany patrzył, jak dziewczyna wspina się po drabince, wychodzi na beton i ociekając wodą, zmierza w jego stronę. Bikini było skąpe, niemal przezroczyste; przez materiał prześwitywały brodawki.

- Jedna warstwa materiału - oznajmiła, siadając na leżaku naprzeciw niego. Nie sprawiała wrażenia oburzonej jego spojrzeniem, wręcz przeciwnie, rozbawiło ją ono. - Tak jest lepiej. Materiał szybciej schnie, a człowiek czuje się w wodzie mniej skąpowany. Zresztą ubrania krępują mnie bez względu na to, co robię. Ma pan może papierosa?

Wręczył jej paczkę i dał znać kelnerowi, żeby przyniósł piwo i lemoniadę.

- Ubiegłej nocy widziałem panią w barze - zagadnął niezobowiązująco.

- Też pana zauważyłam i przez większość wieczoru żalowałam, że nie podszedł pan do mojego stolika i nie uwolnił mnie od towarzystwa tego strasznego człowieka.

- Myślałam, że to może pani mąż.

Uśmiechnęła się.

- Zawsze jest pan taki ostrożny?

- Zazwyczaj.

- Kto nie ryzykuje, ten nie ma.

- Ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

Roześniała się, pokazując olśniewająco białe zęby. Usta miała lekko zaróżowione od szminki, jednak w połączeniu z opalenizną efekt był oszałamiający. Zwrócił uwagę na jej ciemne, migdałowe oczy i zastanawiał się, jaka krew krąży w jej żyłach.

- Jest pani Hiszpanką?

- Niezupełnie. Należę do ludzi, których trudno sklasyfikować. Jeśli wierzyć archiwom, jestem w połowie Marokanką, w jednej czwartej Hiszpanką i w jednej czwartej Portugalką. Proszę nie pytać, kto jest odpowiedzialny za jaką część.

Miguel pokiwał głową. Mieszana krew nie była niczym niezwykłym na Półwyspie Iberyjskim. Domieszka arabskiej krwi tłumaczyła jej ciemną karnację i piękne, choć surowe rysy twarzy. Migdałowe oczy świadczyły o portugalskich korzeniach, a temperament - zmienny i wybuchowy - z pewnością zawdzięczała swoim hiszpańskim przodkom. Wszystko razem tworzyło delikatną, intrygującą kombinację.

- Ma pan coś przeciwko? - spytała.

- Jestem w połowie Meksykaninem - odparł, jak gdyby było to wystarczające wyjaśnienie. Wydawała się zadowolona.

- Co pan tu robi?

- Wypoczywam. W Stanach sprzedaję ramy do łóżek. Pochodzę z Cincinnati w Ohio. Nazywam się Michael Sands. Przyjaciele mówią na mnie Miguel.

- Ja nazywam się Maria Theresa Gonzales. Przyjaciele mówią na mnie Cynthia.

- Dziwne przezwisko.

- Nadano mi je, kiedy pracowałam w Londynie.

- Czym się zajmujesz?

- Różnymi rzeczami - odparła z uśmiechem. - Mam problemy z utrzymaniem pracy.

- Uczylaś się angielskiego w Londynie?

- Tak. Mam tam mnóstwo przyjaciół.

Na widok kelnera skrzyżowała długie szczupłe nogi. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, popijając drinki.

- A co ty tu robisz? - spytał w końcu.

- To samo co ty. Wypoczywam. - Nie dodała nic więcej, jednak sądząc po tonie, jakim to powiedziała, wołała, by nie drażył tematu.

- Czy w ramach relaksu dałabyś się zaprosić na lunch?

- Jesteś bardzo bezpośredni, prawda?

- Przyjechałem tu tylko na tydzień.
- Niech będzie kolacja - odparła. - W moim pokoju. Jestem tu wystarczająco długo, żeby wiedzieć, na co stać tutejszą kuchnię i obiecuje... niezapomniany posiłek.

A niech to, pomyślał Miguel. Niech to szlag. Właśnie takie igraszki losu doprowadzają człowieka do szału.

- Przykro mi, ale jestem już umówiony na kolację. Co powiesz na jutrzejszy wieczór?

- Lunch? Jutro? Około dwunastej trzydzieści?
- W twoim pokoju?
- Oczywiście. Numer trzysta trzystaście.
- Zapamiętam - obiecał. Dopił drinka i wstał. - Myślę, że jest już wystarczająco ciepło. Idziesz?

- Jasne. - Sprężystym ruchem poderwała się z leżaka i przeciągnęła się, eksponując piersi. - Widzisz? Już wysechł. To naprawdę fantastyczny kostium.

- Tak - przyznał Miguel, żałując, że zamiast spędzić wieczór w towarzystwie tej kobiety, będzie jadł kolację sam we własnym pokoju, przeglądając plany i wykresy, które Bryan przyniesie o osiemnastej, przed ważnym spotkaniem. Wszystko zostało zaplanowane, prawdopodobnie w najlepszej wierze, ale Miguel nie mógł przestać myśleć, jak ciężki jest los człowieka rozdartego między chciwością i pożądaniem.

• • •

Bryan Stack zjadł kolację w dużej sali restauracyjnej, którą umeblowano wyściełanymi czerwoną skórą krzesłami mającymi wysokie oparcia, a szklane ściany ozdobiono czerwonymi zasłonami. Zasłony odsunięto, by goście mogli podziwiać zachód słońca nad skalistym wybrzeżem; widok z usytuowanej na czwartym piętrze sali zapierał dech w piersi. Teraz jednak słońce zniknęło za horyzontem, a granat nieba powoli przechodził w czerń.

Złożył na rachunku niedbały podpis, zapisał numer pokoju i wyszedł. Przed spotkaniem miał ochotę na spacer i zastanawiał się, jak niby przypadkiem wpaść na recepcjonistkę. Wydawała się najlepszą kandydatką.

Zjechał windą do holu - przestronnego kwadratowego pomieszczenia z podłogą z biało-czarnego marmuru i szerokimi krętymi schodami, które zaczynały się obok biurka i pięły wysoko w górę. Rozejrzał się, jednak dziewczyna zniknęła, prawdopodobnie

udała się na kolację. Rozczarowany wyszedł na zewnątrz i stanął nad basenem.

Basen był prostokątny i całkiem spory; Bryan nie znalazł się na odległościach, ale zgadywał, że mierzy dwadzieścia pięć metrów. O zmroku nie było tu żywej duszy. Zmęczony Hiszpan zmiatał niedopałki z betonowego tarasu, podczas gdy drugi czyścił dno specjalnym odkurzaczem. Stack okrążył basen i zniknął za rogiem hotelu, minął korty tenisowe, na których teraz pracowały automatyczne zraszacze. Obracając się powoli, wydawały rytmiczne syczące dźwięki. Podszedł do basenu z wodą morską, znajdującego się po stronie hotelu z widokiem na morze. Był tak duży jak poprzedni i równie wyludniony. Po lewej zauważył wycięte w skale stopnie prowadzące na pomost, do którego przywiązano motorówkę wykorzystywaną do jazdy na nartach wodnych. Znak w językach hiszpańskim, angielskim, francuskim i niemieckim ostrzegał kąpiących się przed pływaniem w tym miejscu.

Obchodząc wyspę, natknął się na kolejne schody, które tym razem prowadziły w dół do małej, skalistej zatoczki. Nieco dalej dostrzegł niewielką platformę, która zdawała się wyrastać spod powierzchni wody. I kolejne ostrzeżenie w czterech językach, opatrzone flagami czterech państw. Informowało kąpiących się, że dno w tym miejscu opada gwałtownie, dzieci nie powinny być pozostawiane bez opieki, a wszelkie urazy należy zgłaszać niezwłocznie do hotelowego lekarza. W dołączonej do ostrzeżenia krótkiej notatce zapisano, że akwalungi można wynajmować u dyrekcji hotelu.

Nieźle pomyślane, przyznał w duchu Stack. Od początku do końca hotel Reina był szczegółowo przemyślaną i doskonale zarządzaną placówką. Słuchał szumu fal rozbijających się o skały; był to hipnotyzujący, usypiający dźwięk.

- Jak się panu podoba?

Zaskoczony podniósł wzrok. To była dziewczyna z recepcji. W gęstniejącym mroku wydawała się oszałamiająco piękna, z długimi kasztanowymi włosami, delikatnym makijażem i lekko piegowatą cerą. Miała na sobie rozpiętą pod szyją, białą jedwabną koszulę i prostą, szarą, rozkloszowaną spódnicę. Mogłaby uchodzić za niezbyt inteligentną i elegancką, gdyby nie mądre, niebieskie oczy i czarne lakiery na wysokim obcasie.

- Podoba mi się - odparł. - Ale co panią tu sprowadza? Myślałem, że będę sam.

- Przychodzę tu codziennie, mniej więcej o tej porze, żeby

upewnić się, że wszystko jest gotowe na następny dzień. Trzeba pilnować pracowników; jeśli człowiek zacznie się objać, oni będą robić to samo.

Uśmiechnął się.

- Mówi pani jak dyrektor.
- Jestem zastępcą dyrektora.

To wiele tłumaczy, pomyślał. Inteligentna twarz i bezpośredniość nie były rzeczami, których można się spodziewać po pustogłowej recepcjonistce. Mówiła z lekkim akcentem i Bryan stwierdził, że musi pochodzić ze Szwajcarii. Szwajcarzy, jak nikt inny, potrafili kierować hotelami.

- Myślałem, że dyrektorzy, zastępcy dyrektorów i wiceprezesi siedzą w swoich gabinetach i zajmują się papierkową robotą.

- Staramy się tego unikać - odparła. - Lubimy wiedzieć, kim są nasi goście, kto się wprowadza, kto wyprowadza. Lepiej mieć kontakt z rzeczywistością, a naszą rzeczywistością są nasi goście. Jeśli coś im się nie podoba, nam też się to nie podoba... nie stać nas, żeby było inaczej.

- Rozumiem, że jedzą państwo to samo co oni.

- To chyba nie problem.

- Nie - przyznał, wracając myślami do kolacji, szerokiego wyboru wyśmienitych przystawek i menu pełnego regionalnych specjałów. Zwykle hotelowe kuchnie balansujące gdzieś między kuchnią niby-francuską a pseudoamerykańską, których jedyną cechą była nijakość, nie przemawiały do niego. Podobnie rzecz się miała z kuchnią hiszpańską, z jej zamiłowaniem do oliwy. W tej kwestii kucharze hotelu Reina zachowywali idealną równowagę. Powiedział o tym dziewczynie.

- To głównie Francuzi - wyjaśniła. - Są naprawdę dobrzy - dodała. - Niełatwo było ich znaleźć. Mamy też Hiszpana z Madrytu, który używa masła, nie oliwy. Jego też trudno było znaleźć. Ale jesteśmy zdania, że jedzenie jest ważne.

Stack poczuł jej perfumy, delikatny zapach konwalii.

Nagle jedzenie wydało mu się zadziwiająco mało istotne. Nie było sensu się tym interesować. Poczęstował ją papierosem i podał jej zapalniczkę.

- Długo tu pani pracuje?

- Rok, odkąd otwarto hotel.

- To ciekawa praca? - Nienawidził się za to. Była miłą dziewczyną. Tym bardziej było mu ciężko.

- Zazwyczaj tak. Czasami robi się trochę nerwowo. Mieliśmy też kilku dziwnych gości.

- Chętnie o nich posłucham. Może da się pani zaprosić na drinka?

Nie zabrzmiało to zbyt szarmancko, ale przynajmniej autentycznie.

Spojrzała na niego chłodnym wzrokiem.

- Z miłą chęcią - odparła - ale nie dziś.

- Może jutro? - Naciskał, ryzykując, ponieważ mogła się wystraszyć.

- Tak. Dziękuję.

Uśmiechnął się.

- Przedstawiłbym się, ale zdążyła mnie pani poznać.

Odpowiedziała uśmiechem.

- Annette Dumarche - odparła. - Proszę, mów mi Annette.

- Bryan.

- A więc do jutra, Bryanie. Lepiej skończę obchód. Dobranoc.

- Dobranoc.

Odeszła, zostawiając go samego w mroku nocy. Odprowadził ją wzrokiem, dopalił papierosa i spojrzał na światła hotelowych pokoi. Setki światel, setki pokoi.

Zerknął na zegarek. Czas na spotkanie.

NOC, SIEDEMNASTY CZERWCA

Dokładnie o 20.45 kelner przyniósł szklaneczkę wytrawnego wermutu z lodem dla pana Jencksa do pokoju 205. Mężczyzna siedział przy biurku, pisząc list na hotelowej papeterii. Widząc kelnera, wstał, wziął drinka i wręczył mu dwadzieścia peset. Kelner przyjął napiwek, pomyślał, jak Amerykanie szastają pieniędzmi, i wyszedł z pokoju.

Steven Jencks nawet nie tknął drinka. Podszedł do swojej aktówki, otworzył ją i wyciągnął z niej trzy koperty. Pierwsza zawierała zdjęcia lotnicze i naziemne. Druga była pełna pomniejszych odbitek światłokopii. W trzeciej znajdowały się wydruki komputerowe. Rozłożył zawartość wszystkich trzech kopert na łóżku, wrócił do biurka i powoli wypił drinka. Musiał przyznać, że smakował wybornie. Nazywano go „drinkiem dyplomatów”, ponieważ wyglądał jak wódka, albo coś mocniejszego, ale był na tyle słaby, że można go było saczyć przez całą noc bez obaw, że człowiekowi rozwiąże się język. Jednak zawierał wystarczająco dużo alkoholu, żeby człowiek zrobił się bardziej towarzyski albo - jak w przypadku Jencksa - skoncentrowany i gotowy do rozmowy. Jencks nie wierzył we wsparcie psychiczne, ale miał świadomość, że czekający ich wieczór nie będzie łatwy, dlatego wolał mieć pewność, że przedstawi wszystko pozostałym dwóm mężczyznom w sposób prosty i dokładny. Zwłaszcza skomplikowane wydruki z komputera mogły stanowić problem; wystarczy, że Bryan i Miguel rzucą na nie okiem i dojdą do wniosku, że nie są w stanie tego pojąć. A przecież najważniejsze było, żeby wszyscy zrozumieli, co przedstawiają te liczby. Żeby każdy z nich czuł się pewnie. Bez tego tak misterny projekt z pewnością nie wypali.

Była 20.55, gdy zjawił się Bryan, wszedł bez pukania. Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i usiedli na krzesłach w przeciwnych końcach pokoju. Jencks wiedział, że Bryan mu się przygląda, choć zapalając papierosa, silił się na swobodę. Bryan badał ludzi, szukając ich słabości. Robił to bezustannie, automatycznie, z każdym, kogo

spotykał. Jencks nie czuł do niego urazy.

- Nadal wygląda dobrze? - spytał Bryan. Głos miał spokojny, ale Jencks wiedział, co się za nim kryje. Ustalono, że Bryan pojawi się pięć minut przed przyjściem Miguela, i każdy na jego miejscu wietrzyłby podstęp albo porażkę.

- Wygląda nieźle - odparł Jencks. - Omówimy wszystko, kiedy przyjdzie Miguel. Najpierw jednak chciałem porozmawiać z tobą na osobności.

Bryan wydmuchał w kierunku sufitu chmurę dymu. Twarz miał beznamiętną, czekał.

- W porządku.

- Opowiedz mi o Miguelu. Nie chodzi mi o to, skąd pochodzi; te informacje przekazałeś mi już wcześniej i uważam, że są jak najbardziej zadowalające. Opowiedz mi, jaki jest. - Jencks zerknął na zegarek. - Masz trzy minuty.

Bryan pokiwał głową i ściągnął brwi, jakby nie wiedział, od czego zacząć.

- Cóż, z tego, co wiem to dobry człowiek. Jest pozbawiony wyobraźni, tak jak chciałeś: wciąż nie rozumie tego, co zostało zaplanowane, choć do tej pory każdy głupi by się domyślił. Jest godny zaufania, bezpośredni, przeciętny i ma talent do wszystkiego. Nie jest tchórzem, ale nie należy też do bohaterów. Najzabawniejsze jest to, że ponieważ brak mu wyobraźni, facet ma jaja. Raz opowiadał, jak w pięćdziesiątym dziewiątym przechytrzył egipskich celników, i wierzę mi, nie zapomnę tego do końca życia. Przewoził czterdzieści tysięcy amerykańskich dolarów, żeby wymienić je na rynku; paczka była pokaźnych rozmiarów. Podejrzał, że ktoś mógł go zakapować, i spodziewał się kontroli, ale i tak postanowił przekroczyć granicę. Wyjął z futerału aparat fotograficzny Rolleiflex i włożył pieniądze do środka. Celnicy na lotnisku w Kairze wzięli go na bok i dokładnie przeszukali. Facet był jednak na tyle ostrożny, żeby wziąć ze sobą czeki podróżne, które wyszczególnił w formularzu, podobnie jak drobne w drachmach. Jego zachowanie podczas kontroli było dobrze przemyślane. Najpierw udawał oburzonego, później wykazywał zainteresowanie, w końcu cała ta sytuacja zaczęła go śmieszyć; był przecież turystą i niczego nie szmugłował. Najwyraźniej uznał, że będzie miał o czym opowiadać przyjaciółom po powrocie do domu, a historyjka o złych Egipcjanach przeszukujących niewinnych turystów zrobi prawdziwą furorę. W każdym razie wzięli go do jednego z tych małych pomieszczeń, w których jedynym meblem jest duży stół, i

zaczęli go przeszukiwać, kładąc wszystko, co znaleźli, na stole. Sprawdzili podszewkę marynarki, walizkę, otworzyli pudełka z rolkami klisz i wypuścili go. Nawet nie zajrzeli do futerału. Taki właśnie jest Miguel.

- Brzmi idiotycznie - rzucił Jencks. - Równie dobrze mógł ukryć pieniądze wewnątrz aparatu.

- Może, ale to nie w jego stylu. Mówiłem przecież, facet jest pozbawiony wyobraźni. Wychodzi z założenia, że nawet osobista kontrola nie jest dokładna, celnicy przeszukują tylko miejsca, które wydają się podejrzane, do innych w ogóle nie zagląдают. Dla niego to najskuteczniejsza metoda i ma rację, jeśli wziąć pod uwagę zdolność do zachowania zimnej krwi przy ciągłym blefowaniu. Miguel może siedzieć w pokoju i gapić się na swój aparat, podczas gdy gliniarze rozpruwają podszewkę jego marynarki. Ja bym tak nie potrafił.

Jencks pokiwał głową. Coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że Miguel jest właściwym człowiekiem.

- To zawodowiec - ciągnął Bryan - i ma wyrobione zdanie na temat tej roboty. Jego zdaniem przemyt to stan umysłu, któremu należy się poddać. Wie również, że w razie przeszukania przemytnik ma zawsze przewagę. Bez względu na to, jak wiarygodny był cynk, funkcjonariusze niechętnie biorą się do takich spraw i wolą być ostrożni. Zwłaszcza jeśli chodzi o turystów, a Miguel jest przecież wytrawnym turystą. Przyznał, że wtedy w Kairze do pewnego momentu był naprawdę nieźle przestraszony. Ale w pewnej chwili, kiedy stał zupełnie nagi na środku pokoju, pokazali mu palec i powiedzieli... - Urwał, widząc zdziwienie na twarzy Jencksa. - Coś nie tak? - spytał.

Nagle Jencks wybuchnął śmiechem.

- Masz na myśli badanie per rectum - skwitował.

- Tak, oczywiście.

- Przepraszam, ale w amerykańskim slangu „pokazać komuś palec” znaczy coś innego. - Jencks zademonstrował obraźliwy gest.

Widząc to, Bryan pokiwał głową.

- Anglicy pokazują dwa palce*.

* W Anglii pokazanie drugiej osobie palca wskazującego i środkowego jest traktowane jako obraźliwy gest.

Obaj się roześmiali.

- W każdym razie - ciągnął Bryan - zbadali go i nawet zajrzeli mu do ust. Wtedy Miguel zrozumiał, że jest bezpieczny, bo uświadomił sobie, że celnicy nie mieli pojęcia, czego właściwie szukają. Pracowali na oślep i wiedział, że mu się uda. No i się udało.

Jencks pokiwał głową i dokończył drinka.

- Najdziwniejsze jest to, że Miguel jest zupełnie inny, niż byś się tego spodziewał. To obmierzły, ograniczony facet, bywa sarkastyczny i łatwo go obrazić. Kiedy się dowiedział, że nic mu nie powiem, był niezłe wkurzony i chyba odebrał to jako zniewagę. Za dużo pije, niewiele gada i z tego, co zauważyłem, przespałby się z każdą. Nie widziałem, żeby kiedykolwiek odmówił jakiejś dziewczynie, chyba że akurat nie ma siły albo pieniędzy. Już zdążył zakręcić się wokół pewnej babki; widziałem ich rano przy basenie. To jakaś ślicznotka i, prawdę mówiąc, nie wiem, co w nim widzi, ale nie mnie to oceniać.

- Dałeś mu scenariusz? - spytał Jencks.

- Tak, dziś po południu. Jadł kolację w pokoju, więc pewnie go przeczytał.

Jencks podniósł wzrok.

- Nie przejmuj się - uspokoił go Bryan. - Na pewno go przeczytał. Dla niego biznes to biznes, a przede wszystkim pieniądze.

Bryan odchylił się na krześle i zgasił papierosa. Jencks, który nie palił, poczuł, że zaczynają go piec oczy, i poszedł otworzyć szklane balkonowe drzwi. Chłodny wiaterek sprawił, że od razu zrobiło mu się lepiej; nabrał do płuc powietrza i wypuścił je powoli.

Bryan przyglądał mu się z uwagą. Szanował go tak, jak szanował wszystkie wybitne umysły. Naturalnie fotograficzna pamięć Jencksa w znacznej mierze odpowiadała za jego bystrość. Bryan widział, jak Jencks czyta z szybkością błyskawicy, jakby ledwie zerkał na stronę. Ściśle mówiąc, była to prawda; Jencks nie czytał. Zapamiętywał w mgnieniu oka, pomijając proces przyswajania.

Jencks był imponującym człowiekiem. Bryan zastanawiał się, jakie ma wady i słabości. Nigdy nie palił i tylko od czasu do czasu coś wypił. Kobiety? Bryan nie słyszał o żadnej, choć Jencks z pewnością był męski i energiczny. Nie mówił o swoich kobietach ani o swojej przeszłości - wyłącznie o interesach, choć Bryan pamiętał jedną wyjątkową sytuację. To było w Londynie, kiedy po raz pierwszy rozważali ten pomysł, albo raczej gdy Bryan brał pod rozwagę pomysł Jencksa.

Mieli za sobą długi wieczór, podczas którego dyskutowali o ewentualnych problemach i możliwościach, i Jencks najwyraźniej poczuł potrzebę pogadania o czymś innym. Wyszli za róg do The Helping Hand, dużego i hałaśliwego pubu przy Russell Square; klientela była tam mieszana, od napakowanych robotników, przez długowłosych, smutnych studentów, aż po sztywnych dyrektorów z

City, którzy wyglądali na kompletnie zagubionych. Popijając whisky, Jencks opowiedział Bryanowi o swoim dzieciństwie na farmie w Massachusetts, o tym, jak rzucił szkołę średnią i zdecydował, że nie pójdzie do college'u. Jedna rzecz utkwiła Bryanowi w pamięci.

Kiedy Jencks wrócił z Korei ze znakomitymi papierami i w jednym kawałku („Po prostu ryzykowałem”), włączył się po Nowym Jorku i Bostonie, chwytając się przypadkowych zajęć. Potem z tym, co udało mu się zaoszczędzić, pojechał do Reno z opracowanym systemem. Wiedząc, że jeśli wygra dużą sumę, zwróci na siebie uwagę, zadawał się skromnymi wygranymi i przez cały czas miał w głowie swoje tabelki. Nie nosił przy sobie skrawka papieru, na który mógłby zerknąć i przez kilka lat doił kasyna na stały zysk 2,4 procenta. Był teraz dość majątnym człowiekiem, który dwa razy w roku odwiedzał światowe kasyna i jaskinie hazardu. Bryan domyślał się, że majątek Jencks'a jest wart blisko milion dolarów.

Ktoś zapukał do drzwi i obaj mężczyźni podnieśli wzrok.

- Proszę - odezwał się Jencks.

Miguel wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

- Stań twarzą do drzwi - warknął Jencks. Zaskoczony Miguel odwrócił się i utkwił wzrok w sosnowych drzwiach.

- A teraz opisz pokój.

- Dwa łóżka jednoosobowe, na jednym, ułożone w rzędzie, leżą trzy stopy papierów. Drzwi szafy są otwarte, w środku wiszą trzy garnitury - brązowy po lewej, w środku niebieski, a po prawej szary. Obok szarego garnituru wiszą brązowe spodnie. Na biurku nie ma nic poza wiecznym piórem z widoczną stalówką i dwoma kartkami papieru. Drzwi do łazienki są zamknięte, a balkonowe uchylone na jakieś trzydzieści centymetrów. Przy drzwiach leży otwarta walizka z ubraniami; brakuje dwóch par skarpet; obok biurka stoi zamknięta aktówka z czarnej skóry. Wystarczy?

- W porządku. - Jencks wstał, Miguel odwrócił się i mężczyźni podali sobie ręce. - Wybacz - rzucił Jencks - ale musiałem się upewnić.

- Odrabiam pracę domową - odparł Miguel, wracając pamięcią do dni, kiedy kartkował zdjęcia wewnątrz pokoi, przez trzydzieści sekund spoglądał na obrazki i robił sobie testy, żeby się zorientować, jak dobrze zapamiętał szczegóły. - Masz coś do picia?

- Nie - odparł Jencks. - Siadaj. Zapal, jeśli chcesz. - Wrócił na krzesło i usiadł tak, by widzieć obu mężczyzn, łóżko i leżące na nim trzy stopy papierów. Interesował go Miguel, zwłaszcza że widział go

pierwszy raz. Średniego wzrostu, pulchny w niemal słodki, chłopięcy sposób. Może miał w twarzy coś diabolicznego, jednak nie była ona groźna i zdradzała człowieka niezdolnego do popełnienia poważnej zbrodni. Różnił się od nich wyglądem, ale różnica ta mogła im wyjść jedynie na dobre.

- Przejdźmy od razu do interesów - zaproponował Jencks. - W luksusowym hotelu takie spotkania należą do rzadkości, więc nie chcę przeciągać go bardziej niż to konieczne. Poza tym posiedzimy tu tyle, ile trzeba. - Spojrzał na Miguela. - Przyniosłeś scenariusz?

Miguel rzucił go na łóżko. Była to kopia małej broszurki w czerwonej okładce z napisem: A HARVEY B. MANTLEY PRODUCTION. Jencks wiedział, że w środku znajduje się strona tytułowa, na której napisano: „Zaginiona markiza - półgodzinny film telewizyjny”. Na następnej stronie spisano listę postaci, a na kolejnej sceny i rekwizyty. Dopiero potem zaczynał się właściwy scenariusz, z wyjaśnieniem akcji, dialogami i notatkami dotyczącymi krótkich, średnich i długich ujęć, zapisanymi wielkimi literami na lewym marginesie. Dla przypadkowego czytelnika broszura wyglądała jak prawdziwy scenariusz; dla kogoś bardziej wnikliwego, kto rzeczywiście chciałby go przeczytać, scenariusz okazałby się tak nudny i banalny, że po kilku stronach miałby dość. Jednak w jednej trzeciej grubości broszury scenariusz gwałtownie się urywał, zastąpiony szczegółowym opisem całej procedury przedstawionej od początku do końca.

Jenckowski spodobał się pomysł nazywania tego „scenariuszem”. Traktował cały projekt jak scenariusz, choć nie w hollywoodzkim znaczeniu tego słowa. W znaczeniu używanym przez Rand Corporation i the Hudson Institute - oznaczającym krótkie opisy hipotetycznych wydarzeń, które doprowadzały dane założenie do logicznego wniosku, albo wniosków, żeby zobaczyć, co się stanie... jeśli. Naturalnie The Rand Corporation wykorzystuje scenariusze, żeby doradzać Departamentowi Stanu w kwestii międzynarodowych strategii, jednak metoda ta może być stosowana w różnych przypadkach. To właśnie jej użył Jencks.

W pewnym sensie był to skutek uboczny jego zainteresowania statystykami. Jencks odkrył w młodości, że ma talent do abstrakcyjnego myślenia, a zwłaszcza do matematyki. To, w połączeniu z fascynacją tym, co niepewne, prawdopodobne i zmienne, sprawiło, że zainteresował się statystyką, którą następnie wykorzystał, uprawiając hazard.

Zaczął od czytania prostych tekstów na temat podstaw statystyki - rozkładu częstości, możliwości i metod. Niebawem przeszedł do korelacji i regresji, testów istotności, a w końcu do procedur o wielu zmiennych z wykorzystaniem komputerów. W trakcie swych badań przeczytał kilka książek o stosowaniu matematyki i statystyki w życiu codziennym, które wywarły na nim wielkie wrażenie. Jedną z nich była cienka broszura zatytułowana *Procedury wielowymiarowe stosowane w naukach behawioralnych*, omawiająca wykorzystanie komputerów w przewidywaniu i wyjaśnianiu „ludzkich” sytuacji. Kolejna, autorstwa Thomasa Schellinga, nosiła tytuł *Strategia konfliktu* i traktowała o tym, jak przeciwstawne grupy mogą i powinny na siebie reagować. W książce podano ciekawy przykład możliwych reakcji człowieka na wieść, że w jego domu jest włamywacz - co mógłby zrobić i co mógłby chcieć zrobić, a wszystko wyrażone czysto matematycznym językiem.

Przykład ten podsunął Jencksowi pewien pomysł.

Jednak książka, która wywarła na nim największe wrażenie, nosiła tytuł *O wojnie termonuklearnej*. Autor, Herman Kahn, z wykształcenia statystyk i fizyk, w sposób obiektywny przedstawiał, co mogłoby się stać, gdyby wybuchła wojna totalna, i jak można by zminimalizować jej skutki. Jego trzeźwe, często brutalnie logiczne myślenie, wzmacnianie faktów i opinii z wykorzystaniem matematycznych dowodów i brak jakiegokolwiek sentymentalizmu przemawiały do Jencksa. Czytając książkę, postanowił poszukać dla statystyki innych zastosowań niż gry wojenne i hazard. W efekcie powstał ten projekt.

- Czytałeś scenariusz? - zwrócił się do Miguela.
- Tak.
- Jakież pytania?
- Całe mnóstwo pytań.
- W porządku. Myślę, że łatwiej będzie, jeśli szczegółowo omówię plan, od początku do końca. Może w trakcie odpowiem na twoje pytania. Jeśli nie, przerwij mi. Jasne?

Miguel pokiwał głową. Bryan zapalił kolejnego papierosa. Atmosfera w pokoju zrobiła się śmiertelnie poważna.

- Podstawowy cel jest prosty - zaczął Jencks. - Zamierzamy okraść hotel Reina.

Z upływem czasu Bryan patrzył na Jencksa z rosnącym zdumieniem. Facet mógłby zbić majątek, będąc handlowcem, pomyślał. Miał niesamowitą siłę perswazji. Mówił z przekonaniem i pewnością siebie.

- Jednym z najważniejszych czynników jest ten, o którym większość ludzi nawet nie pomyśli - po co okradać luksusowy hotel? Co tu można znaleźć? Kilka kobiet z kosztowną biżuterią. Goście mają pewnie przy sobie sporo gotówki. Jednak największą wartość stanowią czeki podróżne, a te są zabezpieczone przed kradzieżą. Podobno. Jeśli chodzi o hotelowy sejf, jest w nim pewnie spora ilość gotówki przywiezionej przez gości, trochę klejnotów i pieniądze na wypłaty dla pracowników. Ostatnia kwota nas nie interesuje... hiszpańskie pokojówki i kelnerzy zarabiają grosze. Tak więc pozornie okradanie hotelu nie ma sensu. Na tym polega nasza główna przewaga. Dokonałem jednak szacunkowej oceny majątku, którym możemy się zająć. W hotelu jest trzysta pokoi. W weekendy, przy tłumach zjeżdżających tu z Barcelony, wszystkie pokoje będą zajęte. Powiedzmy, że mieszkańcy każdego pokoju przywiozą ze sobą dwa tysiące dolarów, w tej czy innej formie, nie licząc biżuterii.

Miguel wydawał się zaskoczony.

- Nie zapominajmy, że to średnia - dodał pośpiesznie Jencks. - Na każdego bogatego Amerykanina z dziesięcioma tysiącami może przypadać czterech kompletnie bez pieniędzy. - Miguel pokiwał głową, więc Jencks kontynuował. - Przy trzystu pokojach daje to sześćset tysięcy dolarów. Trudno oszacować wartość klejnotów, ale założmy, że minimalna wynosi sto tysięcy, choć prawdopodobnie dwa razy tyle. W każdym razie minimalna kwota, którą możemy wyciągnąć, to siedemset tysięcy. Choć w praktyce może ona dojść nawet do miliona.

Miguel zapalił kolejnego papierosa. Rozmawiali o naprawdę dużych pieniądzach, a duże pieniądze oznaczały duże ryzyko.

- Większość z tego miliona będzie w czekach podróżnych, może nawet dwie trzecie albo trzy czwarte. Formalnie rzecz biorąc, pieniądze te są dla nas bezużyteczne i nie warto ich kraść. W rzeczywistości, jak obaj wiecie, to pieniądze jak każde inne, jeśli zrezygnujemy z odsetek i pozbędziemy się czeków. Poczyniłem pewne przygotowania; wszystkie czeki podróżne, które ukradniemy, wylecą z Barcelony i trafią do naszego człowieka w Rzymie. Facet jest doskonałym fałszerzem i można mu ufać. Przewiezie czeki do Egiptu oraz Turcji i pozbędzie się ich na czarnym rynku, gdzie nikt nie przejmuje się czymś takim jak paszporty i wypisywanie czeków na miejscu. Wymieni czeki na byle jaką walutę, prawdopodobnie francuskie franki i niemieckie marki. Jego usługi będą nas trochę kosztowały. Wymiana również.

- Ile? - spytał Bryan.
- Trzydzieści procent.
- Zysku brutto czy netto?
- Brutto.
- Jak szybko to załatwi? - wtrącił Miguel.

Jencks się uśmiechnął. Bryan miał rację, ten facet znał się na rzeczy.

- W dniu, kiedy weźmiemy czek, nasz człowiek zabierze je do Rzymu. Spędzi czterdzieści osiem godzin w Kairze i dwadzieścia cztery w Stambule. W ciągu pięciu dni wszystkie czek zostaną spieniężone, a gotówka wróci do Włoch. Do tego czasu American Express i inne banki zatrzymają zlecenia na większość czeków, ale my będziemy działać zbyt szybko i potajemnie, by miało to dla nas jakiegokolwiek znaczenie. Niewątpliwie część lewych czeków trafi do spekulantów na czarnym rynku, a reszta do właścicieli sklepów i małych banków na Bliskim Wschodzie. My jednak będziemy bezpieczni.

- Chryste - jęknął Bryan - wybuchnie niezła panika. Fałszywe czek podróżne o wartości sześćset tysięcy dolarów w Europie.

- Szkoda - odparł z uśmiechem Miguel.

- Pieniądze, które tu znajdziemy - ciągnął Jencks - to gotówka. Nie będzie z nią żadnych problemów. Gorzej z klejnotami. Nie możemy przewidzieć, ile będą warte ani jak najlepiej się ich pozbyć, dopóki nie zobaczymy, co właściwie mamy. Ogólnie jestem przeciwny cięciu dużych kamieni.

Dwaj mężczyźni zgodnie pokiwali głowami. Takie rozwiązanie było zbyt drogie i tracili w ten sposób zbyt dużo pieniędzy. Mając dobrego pasera, można było sprzedać kamienie w całości i wyjść na tym jeszcze lepiej.

- W porządku. Chyba rozumiecie już, że to opłacalna robota. Pozostaje tylko pokazać wam, jak to zrobimy. Od razu powiem, że to skomplikowane. Ale musi takie być.

Podszedł do łóżka, sięgnął po plik zdjęć i rozłożył je na drugim łóżku.

- Właściwie - zaczął - planując tę operację, napotkałem trzy główne przeszkody. Po pierwsze, jak dobrać się do pieniędzy. Po drugie, jak je ukraść. I po trzecie, jak z nimi uciec. Po zastanowieniu drugi i trzeci problem są ze sobą powiązane; innymi słowy, to, jak ukradniemy pieniądze, bezpośrednio wpłynie na nasze szanse uniknięcia przytulnego hiszpańskiego więzienia. Tak więc problem

kradzieży ma tu kluczowe znaczenie. - Mówiąc to, wskazał na fotografie. - To zdjęcia hotelu zrobione z różnych perspektyw. Możecie przejrzeć je później, ale chcę, żebyście szczególnie przyjrzeni się temu. - Podniósł zdjęcie zrobione z lotu ptaka, ukazujące hotel, wyspę i most łączący ją z lądem. Dwa baseny, rondo i taras na czwartym piętrze, z płóciennymi daszkami i krzesłami, były widoczne jak na dłoni. - Żeby kradzież się udała, potrzebujemy odosobnienia... przynajmniej na jakiś czas. Ten hotel jest zupełnie odcięty od świata. Dlatego musimy zrobić dwie rzeczy: przeciąć linie telefoniczne i wysadzić most.

- Kto wysadzi most? - spytał Miguel.

- Ja - odparł Jencks.

- Masz w tym jakieś doświadczenie?

Jencks spiorunował go wzrokiem.

Widząc to, Bryan dodał pośpiesznie:

- Bez mostu jak się stąd wydostaniemy?

- Nie wydostaniemy się. Na tym polega cały urok. Będziemy tu siedzieć razem z tymi, których okradniemy. Nasze czeki podróżne zostaną podrobione i rozprowadzone razem z innymi. Jak wszyscy będziemy żalić się policji i psioczyć w konsulacie. I przynajmniej przez rok nie ruszymy pieniędzy, które zostaną zdeponowane w wenezuelskich bankach.

- Odważne - skwitował Bryan. - I bardzo ryzykowne.

- Prawdę mówiąc, to najmniej ryzykowne rozwiązanie. Ponieważ sfingujemy naszą ucieczkę. Sprawimy, by policja uwierzyła, że złodzieje wydostali się z wyspy, zanim ktoś wysadził most.

Bryan wyprostował się na krześle. To było coś nowego; nie rozmawiali o tym w Londynie.

- To pomysł komputera? - spytał.

- Komputer nie ma żadnych pomysłów. Ocenia tylko moje, ale dojdę i do tego. Podstawowy plan jest taki: o dwunastej czterdzieści w sobotnią noc na rondzie zatrzyma się taksówka, najwyraźniej wezwana aż z Bagur, żeby zabrać pasażerów. Taksówkarz i portier z hotelu wymienią uprzejmości; będzie środek nocy. O dwunastej czterdzieści osiem w hotelu zgasną wszystkie światła i zapanuje chaos: krzyki, hałasy, panika. Portier wróci w te pędy, żeby dowiedzieć się, co się stało. Usłyszy jeszcze trzask zamykanych drzwi samochodu i taksówka odjedzie. O dwunastej pięćdziesiąt most zostanie wysadzony.

- Taksówkarz sam zamknie drzwi? - spytał Bryan.

- Tak.
- Skradziona taksówka?
- Skradzione tablice.
- A jeśli portier nie usłyszy trzasku drzwi i nie zobaczy odjeżdżającej taksówki?
- Powinien usłyszeć. A nawet jeśli będzie zbyt zaaferowany zamieszaniem, żeby cokolwiek zauważyć, przypomni sobie później, gdy w niedzielę rano okaże się, że taksówka zniknęła. Bez trudu skojarzy fakty.

- Nieźle - odezwał się Miguel.

Bryan pokiwał głową.

- To kluczowa część planu. Musimy sprawić, żeby wszystko wyglądało na robotę z zewnątrz, w przeciwnym razie będziemy skończeni. Jeśli uciekniemy, to tak, jakbyśmy przyznali się do winy; nigdy nie wyjedziemy z kraju. Jeśli zostaniemy, a policja będzie miała powody, żeby przypuszczać, że to robota kogoś z hotelu, zaczną sprawdzać wszystkich i wówczas okaże się, że wśród szanowanych biznesmenów i wypoczywających gwiazd kina jest trzech koleśi z podejrzaną przeszłością. Wtedy jest już po nas. Ale jeśli dostaną niezbitę dowody, że to nikt z uwięzionych na wyspie i że złodziej musiałby być kompletnym idiotą, by pozostać na miejscu zbrodni, wypuszczą wszystkich po krótkim przesłuchaniu. Będą przeświadczeni, że muszą być dla nas mili, bo jesteśmy obcokrajowcami, którzy zostali okradzeni przez bandę miejscowych chuliganów. Będą obchodzili się z nami jak z jajkiem. - Jencks się uśmiechnął. - A my i tak będziemy psioczyć, mając do tego wszelkie prawo. Mnie na przykład złodzieje ukradną tysiąc pięćset dolarów.

- Mnie dziewięćset - dodał Miguel.

- Sześćset funtów - rzucił Bryan.

- Bogaty sukinsyn - roześmiał się Miguel i zapalił następnego papierosa.

- Sama kradzież - ciągnął Jencks - to bardzo delikatna sprawa. Przeprowadzimy ją w ciągu jednego dnia, w sobotę. Cały dzień będziemy kraść. To kolejna, niezwykła cecha naszej operacji.

- Nie rozumiem - przyznał Miguel. - Czytałem o tym w scenariuszu i nie wiedziałem, o co chodzi.

- To bardzo proste. Każda osoba zatrzymująca się w hotelu ma swoją prywatną kartę kredytową - numer pokoju. Może robić, co chce, i nie potrzebuje pieniędzy, dopóki nie przyjdzie się wymeldować i uregulować rachunku. Dlatego hotelowi goście są nieostrożni, jeśli

chodzi o pieniądze. Nie noszą ich przy sobie, bo przebierają się kilka razy dziennie, a pływając i opalając się, nie potrzebują gotówki. Zostawiają pieniądze w pokojach. Poza najgorętszą porą popołudnia i późną nocą rzadko w nich bywają.

Nagle Miguel pojął, do czego potrzebowali planszy.

- Chcesz powiedzieć, że przez cały dzień będziemy chodzić po pokojach, nie ruszać niczego i zabierać tylko pieniądze?

- Otóż to. Wątpię, żeby w ciągu dnia komukolwiek chciało się sprawdzać, czy pieniądze nadal są w pokoju. Gdyby jednak ktoś wpadł na taki pomysł, kradzież będzie ostatnią rzeczą, jaka przyjdzie mu do głowy. W końcu pokoje nie zostaną splądrowane; wszystko będzie na swoim miejscu. Każdy przy zdrowych zmysłach pomyśli, że zawieruszył gdzieś pieniądze. Poza tym większość z nich to czeki podróżne, a kto chciałby je kraść?

- Bardzo, bardzo sprytne - pochwalił z autentycznym podziwem Miguel.

- A co z kluczami? - spytał Bryan.

- Problem kluczy zajął mi trochę czasu. Hotele mają różne zamki; w niektórych małych hotelach jest jeden uniwersalny klucz do wszystkich drzwi; w innych jeden klucz otwiera drzwi na całym piętrze. Przez kilka tygodni nie mogłem zdobyć żadnych informacji na temat hotelu Reina.

- Ale w końcu ci się udało?

- Tak. To dość skomplikowane. Drzwi nie mają indywidualnych zamków, jak się tego obawiałem. Używają systemu zygzakowego. Każdy klucz otwiera drzwi na jednym piętrze, naprzemiennie po obu stronach korytarza, za każdym razem przeskakując o jeden.

Widząc ich obojętne twarze, Jencks zaczął tłumaczyć od nowa.

- Mój pokój ma numer 205. Następny pokój po tej stronie korytarza to 207, a jeszcze następny 209. W drugą stronę od mojego pokoju biegną numery 203 i 201.

Pokój naprzeciwko ma numer 206, wszystkie numery po tamtej stronie są parzyste. Nadążacie?

- Po jednej stronie parzyste, po drugiej nieparzyste.

W porządku - oświadczył Miguel.

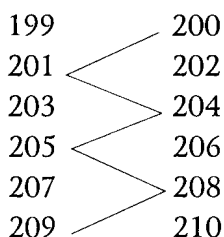
- Klucz do mojego pokoju otworzy też pokoje 208 i 204 po przeciwnej stronie korytarza, a także 201 i 209 po tej samej stronie. Tak więc otworzy pokoje 200, 201, 204, 205, 208, 209... Rozumiecie?

- Przeskakuje numery 1-3-1-3 - odezwał się Bryan. - To ma sens. Dzięki temu człowiek, który zapomni, w którym pokoju mieszka,

przypadkiem nie otworzy innych drzwi. Nie otworzy drzwi do pokoju obok i tych z naprzeciwka.

- Wciąż nie rozumiem - przyznał Miguel. Nie okazywał zakłopotania i Jencks to doceniał. Człowiek, który bez dumy czy fałszywej skromności potrafił przyznać, że czegoś nie rozumie, zasługiwał na jego szacunek.

- Rozrysuję to - zaproponował Jencks. Narysował dwie kolumny liczb i połączył je zygzakiem.



Miguel od razu pojął.

- Dwa klucze na każde piętro - stwierdził. - Pięć pięter, dziesięć kluczy. Dobrze kombinuję?

Jencks wyjął z kieszeni brelok z dziesięcioma lśniącoymi, srebrnymi kluczami.

- Szybki jesteś - skwitował Bryan. - Skąd je wytrzasnąłeś?

- Przygotowania - odparł Jencks, jakby nie musiał dodawać nic więcej. W sobotę każdy z was weźmie po pięć kluczy - mówił dalej. - W ciągu dnia zajrzycie do pokoi, do których warto zajrzeć.

- A co ty będziesz robił? - spytał Miguel. Chciał dodać: „Siedział na tyłku?”, ale w porę ugryzł się w język.

- Będę dużo bardziej zajęty niż wy - odparł enigmatycznie Jencks. - A wy będziecie bardzo, ale to bardzo zajęci.

- Mamy przeszukać wszystkie pokoje? - spytał Miguel.

- Nie, nie wszystkie - wyjaśnił Jencks. - Po pierwsze, to niewykonalne. Po drugie, w wielu przypadkach szkoda zachodu. W ciągu najbliższych trzech dni... od dziś do soboty... musimy ustalić, które pokoje sobie darować. To znaczy, że musimy poznać tak wielu gości, jak to możliwe.

- I wybrać najlepsze pokoje? - dopytywał się Miguel.

- Nie. Wybrać te najgorsze. Będziemy eliminować pokoje, a nie dodawać je do listy. Zrozumiano?

Obaj mężczyźni pokiwali głowami.

- To, kiedy dokładnie przeszukacie pokoje, będzie zależeć od

was - ciągnął Jencks. - Ogólnie najlepsze pory dnia to od południa do czternastej, od szesnastej do osiemnastej i ostatnia, od dwudziestej pierwszej do dwudziestej trzeciej. Wczesnym rankiem ludzie śpią albo pokojówki zmieniają pościel. Po południu goście odpoczywają, żeby koło szesnastej znowu wyjść z pokoju. Między osiemną a dwudziestą szykują się do kolacji. Tych godzin należy unikać.

Bryan, wyraźnie zniecierpliwiony, podrapał się w głowę.

- Jakiś problem? - spytał Jencks.

- Tak. A co ty będziesz robił w ciągu dnia?

- Ja zajmę się mostem, linią telefoniczną i liniami wysokiego napięcia. Unieruchomię windę, zrobię kilka innych usterek. I zajmę się sejfem.

- Właśnie miałem o to spytać - przyznał Miguel. - W scenariuszu nie ma za wiele czasu na...

- Rzeczywiście - przerwał mu Jencks. - Ale tyle wystarczy. Hotelowy sejf kosztował mnie dziesięć tysięcy dolarów.

Na chwilę w pokoju zapadła cisza, zanim obaj mężczyźni zrozumieli, co właśnie usłyszeli. Pierwszy odezwał się Miguel.

- Chcesz powiedzieć, że znasz kombinację?

- Właśnie to chcę powiedzieć.

- Słodki Jezu - jęknął Bryan. - Jak to zrobisz?

Najpierw klucze, pomyślał, a teraz kod do sejfu. Jencks był mistrzem, nie było co do tego żadnych wątpliwości.

- Nie pytaj. Dziesięć tysięcy to niewiele, ale są miejsca, gdzie nawet takie kwoty potrafią zdziałać cuda. Fakt, że znamy kombinację, zwiększa nasze szanse z siedemdziesięciu siedmiu do osiemdziesięciu dziewięciu procent.

- Według komputera?

- Tak. Widzicie, najważniejsze jest wycucie czasu. Możemy cały dzień przeszukiwać pokoje, ale priorytetem jest sejf i musimy włamać się do niego o odpowiedniej porze. Czterdzieści osiem minut po północy wejdę do biura dyrektora i zajmę się sejfem. Dokładnie o tej porze zgasną światła. Cztery minuty wcześniej wybuchnie pożar w klubie nocnym.

- Nie mówiłeś nic o pożarze - oburzył się Miguel.

- Właśnie do tego zmierzam. Pożar spowoduje to. - Mówiąc te słowa, cisnął na łóżko coś, co wylądowało z głośnym hukiem.

Miguel wyciągnął rękę.

- Najpierw zgaś papierosa - ostrzegł Jencks.

Miguel zgasił niedopałek i z uwagą przyjrzał się paczce

chesterfieldów.

- Napalm? - spytał.

Jencks pokiwał głową.

- Był używany w czasie wojny, ukrywany w wiecznych piórach i innych małych przedmiotach. To marzenie sabotażysty.

- Taa - rzucił Miguel. - Tyle że na wojnie używali zapalników kwasowych. Z takim zapalnikiem trudno cokolwiek zaplanować.

- Ten ma mechanizm zegarowy, z dokładnością do trzech sekund. Ustawimy go na zero czterdzieści cztery. Bryan zostawi go w klubie za zasłonami. - Sięgnął po paczkę. - Kiedy zagęszczona benzyna zacznie się palić, będzie niezły bajzel.

- Dyrektor hotelu na pewno opuści swoje biuro.

- I to pędem. - Jencks się roześmiał. - Wtedy pojawię się ja, otworzę sejf i zgarnę całą jego zawartość. Maksymalnie potrzebuję minuty i piętnastu sekund, choć powinienem się wyrobić w ciągu czterdziestu, pięćdziesięciu dwóch sekund.

- A co, jeśli kombinacja została zmieniona?

- Mam informację, że nic się nie zmieniło, ale wszystko może się zdarzyć. Jeśli sejf nie otworzy się za pierwszym razem, spróbuję jeszcze raz. Dlatego daję sobie dodatkowe pół minuty; na wypadek, gdybym musiał próbować dwa razy. Jeśli za drugim razem też się nie otworzy, dam sobie spokój i będziemy kontynuować operację zgodnie z planem. Nie mamy innego wyboru.

Miguel chrząknął, a Bryan przez chwilę wiercił się w fotelu. Jencks pomyślał, że czują dokładnie to, co on, i nie była to przyjemna myśl. Musieli liczyć się z tym, że zawartość sejfu może pozostać poza ich zasięgiem.

- Niezależnie od tego, czy mi się uda, czy nie, wyjdę z gabinetu dyrektora gdzieś za dziesięć pierwsza. Pójdę do holu i tam spotkam się z Bryanem. Do tego czasu Bryan zabierze twoje łupy, Miguel. Zapakujemy wszystko do wodoszczelnych gumowych worków, takich jak te. - Mówiąc to, podniósł trzy gumowe worki, które przypominały miniaturowe termofory.

- Trochę małe - zauważył Miguel.

- Nie muszą być duże. Nie kradniemy świeczników, tylko pieniądze i biżuterię. Nie zajmują dużo miejsca. - Zacisnął sznurek do ściągania na jednym z worków. - Zauważcie, jak są zrobione: zakładając sznurek na ramię, można je schować pod pachą jak kaburę. Jeśli włożycie marynarki, nikt niczego nie zauważy.

Miguel pokiwał głową. Przytłaczała go doskonałość planu i dba-

łość o szczegóły.

- Po spotkaniu z Bryanem w holu zamknę worki w aktówce, wyjdę na zewnątrz i zaniosę je do doku. Tam będzie czekała motorówka. Wyjątkowo szybka motorówka, której silnik został wytłumiony zgodnie z moimi wymogami.

Bryan czuł, że nic go już nie zaskoczy. Jencks, który zdecydował o tym, jak wytłumić silnik, równie dobrze mógł decydować o wszystkim innym.

- Przekażę aktówkę między dwunastą pięćdziesiąt a dwunastą pięćdziesiąt jeden. Nikt mnie nie zobaczy, tak jak nikt nie usłyszy odjeżdżającej motorówki. Ponieważ uwaga wszystkich skupi się na moście, który chwilę wcześniej zostanie wysadzony. Jak gdyby nigdy nic, wrócę do hotelu i dołączę do ogólnego chaosu spowodowanego brakiem światła, pożarem i wysadzeniem mostu. To wszystko. - Usiadł w fotelu.

- Jedna rzecz - odezwał się Miguel. - Detektywi hotelowi.

- Detektywi? Jest ich trzech, w pokojach sto cztery, dwieście czterdzieści cztery i dwieście trzydzieści siedem.

- Nie powinniśmy się nimi zająć?

- Nie. Nie rozumiesz; to rabunek, o którym nikt nie wie. Ani detektywi, ani goście hotelowi. Zwykle mają na oku oszustów, którzy bajerują staruszki, i włamywaczy, którzy o czwartej nad ranem zakradają się przez okna do pokoi. Nie zwracają uwagi na to, co dzieje się za dnia. I z pewnością nie spodziewają się, że ktoś obrobi cały hotel.

Miguel przez chwilę rozważał jego słowa, analizował w myślach plan i wszystkie jego szczegóły. Pocieszał go fakt, że plan nie był prosty; to nie była łatwa robota, proste rozwiązania bywały niezadowolające albo zwoźniczo niebezpieczne.

- Nie może się nie udać - oznajmił w końcu.

Bryan, który rozmyślał z brodą opartą na piersi, podniósł głowę.

- Co mówi komputer? - spytał.

- Komputer mówi, że w granicach rozsądku nie może się nie udać.

. . .

Jenny Cameron usiadła w łóżku i opierając się o poduszki, przeglądała numer „Time'a”.

- Odejdź - rzuciła do Petera, nawet na niego nie patrząc.

Peter siedział w fotelu, w drugim końcu pokoju, palił i udawał, że

panuje nad sytuacją, która - dobrze to wiedział - już dawno wymknęła się spod kontroli.

- Daj spokój - powiedział. - Chodźmy do klubu. - Patrzył na nią, owiniętą prześcieradłem, które zatknęła pod pachy. Miała nagie ramiona i domyślał się, że jest goła.

- Powiedziałam już, że jestem zmęczona. Ile razy mam ci to powtarzać? Chcę poczytać i iść spać. Tak trudno to zrozumieć?

- Tylko jeden drink. No chodź.

Jenny westchnęła. Koleś był niemożliwy. Najchętniej w ogóle nie wpuściłaby go do pokoju, ale jak zwykle zostawiła otwarte drzwi. Nigdy nie zamykała drzwi, nawet do łazienki. Taka już była. Peter wszedł bez pytania. Pewny siebie, choć spuścił z tonu, gdy zobaczył ją w łóżku. Zostawiła ubrania na oparciu krzesła; leżący na spódnicy i bluzce stanik od razu rzucił się w oczy.

Peter gapił się na niego jak na jakieś zwierzę. Był takim nudziarzem.

- Wyjdź - powtórzyła.

- Mówiłaś, że wieczorem skoczmy do klubu - rzucił, wydymając usta.

- Powiedziałam „może”. To było przy kolacji. Po kolacji poczułam się zmęczona, więc się położyłam. Nadal jestem zmęczona, a ty męczysz mnie jeszcze bardziej.

Siedział w milczeniu; niemal wyczuwała jego frustrację. Normalnie potraktowałaby to jako coś interesującego, może nawet podniecającego. Ale Peter był takim marudą. Skoro jej pragnął, dlaczego po prostu nie podszedł i jej nie wziął? Potrzebowała mężczyzny, nie chłoptasia z wiecznie skwaszoną miną.

W końcu wstał i zgasił papierosa.

- W porządku - rzucił. - Ale masz mnie pocałować.

Jenny ściągnęła brwi, zastanawiając się, dlaczego w ogóle zgodziła się wyjechać z nim do Europy. Cała ta wyprawa była jedną wielką katastrofą. Peter nadawał się na mecze futbolowe i koktajle w Cambridge, ale na tym koniec.

Podszedł do łóżka i pochylił się, żeby pocałować ją w usta. Jenny pospiesznie odwróciła głowę i poczuła na policzku wilgotne cmoknięcie.

- Dobranoc - jęknął żałośnie.

- Na litość boską, Peterze. Dobranoc. - Wyciągnęła rękę, objęła go za szyję i namiętnie pocałowała. Była dla niego zbyt surowa. Nie chciała zachowywać się jak zdzira; po prostu tak bardzo ją wkurzał.

Ukradkiem sięgnął ręką w dół i przez chwilę pieścił ukrytą pod prześcieradłem, nagą pierś. Odepchnęła go delikatnie, lecz stanowczo.

- Dobranoc - powtórzyła.

Pokiwał głową i ruszył do wyjścia. Zatrzymał się w drzwiach i przez chwilę wydawało jej się, że wróci i ją weźmie. Ta myśl obudziła w niej dziwną mieszankę złości i podniecenia. On jednak wyszedł i jedyne, co usłyszała, to szczeł zamykanych drzwi.

Spojrzała na nie beznamiętnym wzrokiem i wróciła do czytania magazynu. W rubryce „Współczesne życie” natknęła się na artykuł o domu mody Balenciaga. Przeczytała go z zainteresowaniem, zgasiła światło i przewróciła się na bok, ale sen nie nadchodził. Miała wrażenie, że jej ciało płonie. Zastanawiała się, czy nie pójść do pokoju Petera, ale uznała, że to kiepski pomysł. Gdyby wskoczyła mu do łóżka, przyznałaby się do porażki, a on nigdy nie pozwoliłby jej o tym zapomnieć.

Przewracała się z boku na bok, jakby piekła ją spalona słońcem skóra. Myśl ta przypomniła jej o basenie. Jutro pójdzie na basen i zobaczy, kogo spotka. Przecież w którymś z pokoi musiał się zatrzymać prawdziwy mężczyzna.

. . .

Steven Jencks trzymał w dłoni gruby plik wydruków komputerowych.

- Oto co ma do powiedzenia komputer - oznajmił. Patrzył, jak Miguel i Bryan nerwowo zaciągają się papierosami. Nieufnie spojrzeli na białe strony zadrukowane rzędami liczb. Matematyka uchodzi za taką nieprzystępną, pomyślał. Dlaczego? Dla Jencksa była prosta i elegancka jak dobry wiersz. Tyle że napisany w innym języku; ale przecież języki można tłumaczyć. Zwłaszcza ten.

Na górze pierwszej strony wydruku było napisane:

CRIPA, ANALIZA ŚCIEŻKI KRYTYCZNEJ,
ROZPOCZYNAJĄC OD BEZWZGLĘDNEJ
LICZBY PUNKTÓW

Następnie była data, nazwisko osoby, która zakodowała program i podstawowe zestawienie w algebrze macierzy. Dalej notatka, że wymagano podprogramów VARIMIN, RSPACE i PARA. Na samym końcu zamieszczono instrukcje.

WYMIAR FMT (36), FMR (36), X (50), SX (50), SS
(50, 50)

DO 1 1 = 1,M

XL(1) =ABSF(1)

DO 2 1 = 1,M

DO 2 J = 1,M

B(IJ) =X(IJ)^oXL(J)

Instrukcje zajmowały całą stronę i kończyły się słowem: KONIEC. Na drugiej stronie wydruku znajdował się wykaz lokalizacji dla zmiennych, które zostały wykorzystane, a na trzeciej spis punktów wejścia do podprogramów. Na końcu zamieszczono spis: CAŁKOWITA LICZBA ZAPISU PAMIĘCI, ZAPIS ODCZYTÓW, ZAPIS ZAKŁÓCEŃ, OGÓLNA REDUNDANCJA, BŁĘDY POZYCJONOWANIA. Po nim ciągnęły się kolumny zer.

I wreszcie ostatnie słowo:

WYKONANIE

- To FORTRAN - wyjaśnił Jencks. - FORTRAN to język, który komputer rozumie, tak jak Francuz rozumie język francuski. Trzeba dać komputerowi odpowiedni program albo serię wskazówek w FORTRANIE. Bardzo jasno sprecyzowanych wskazówek. Nie można kazać mu obliczyć średnią pięciu liczb... najpierw musi je dodać, następnie podzielić przez pięć i dopiero podać wynik. Musicie dokładnie powiedzieć komputerowi, czego od niego chcecie. On niczego nie zakłada. Jeśli nie polecicie mu wydrukować odpowiedzi, nie zrobi tego. Rozumiecie?

Mężczyźni ostrożnie i niepewnie pokiwali głowami. Jencks niemal słyszał, jak Miguel myśli: to nie takie proste. A przecież to było proste.

- Program komputerowy to zestaw poleceń, które można wykorzystać do różnych zadań. To jak z dodawaniem. Jeśli nauczycie dziecko dodawać, będzie potrafiło dodać wszystko: jabłka, samoloty, obwód biustu. Z komputerem jest tak samo. Do tego projektu wykorzystałem specjalny program o nazwie CRIPA. Jak większość programów komputerowych, CRIPA został stworzony na potrzeby pewnego zadania, a następnie wykorzystany do innych, podobnych, choć nie takich samych. Miał posłużyć do wynalezienia najlepszego sposobu budowania pocisków Polaris. Był to skomplikowany sprzęt składający się z tysięcy oddzielnych części. Gdyby którakolwiek z

nich została pominięta albo zmontowana w niewłaściwej kolejności, cały projekt zostałby wstrzymany. Analiza stawiała pytanie: w jakiej kolejności najlepiej montować poszczególne elementy? To właśnie ścieżka krytyczna.

- Nie bardzo rozumiem, co to ma wspólnego z hotelem - przyznał Bryan.

- Bezpośrednio nic, ale budowa pocisku i obrabowanie hotelu to analogiczne sytuacje. Obie wymagają wycucia czasu i w obu należy ustalić kolejność wydarzeń. W obu przypadkach chcemy wiedzieć, co i jak przygotować, żeby osiągnąć zamierzony cel. Prosty przykład: najpierw powinniśmy wysadzić most, a dopiero potem okraść pokoje, czy na odwrót? Komputer o tym zdecyduje.

- Na jakiej podstawie? - spytał Bryan.

- Na podstawie przekazanych mu informacji. Gdybyśmy budowali pocisk, powiedzielibyśmy komputerowi, że ostatnim razem, kiedy zamówiliśmy elementy sterowania, otrzymaliśmy je z dwutygodniowym opóźnieniem i tak dalej. Komputer zdecydowałby, że należy składać zamówienia odpowiednio wcześniej, żeby części dotarły na czas i nie wstrzymywały projektu. W przypadku hotelu podałem mniej więcej godziny, w jakich odwiedzimy poszczególne pokoje, całkowitą liczbę pokoi, informacje o tym, jak często goście korzystają z basenu, baru i kortów tenisowych i tym podobne.

- Rozumiem - powiedział Bryan.

- Komputer określił optymalną kolejność wydarzeń. Ustalił na przykład, że najpierw powinien wybuchnąć pożar w klubie nocnym, dopiero potem należy wyłączyć światła, a na koniec wysadzić most. Obliczył długość przerw między kolejnymi wydarzeniami. Postępowałem zgodnie z jego wskazówkami.

- Dlaczego sam na to nie wpadłeś? - spytał Miguel.

- Nie dałbym rady. Chwilami komputer przetwarzał jednocześnie dwanaście tysięcy faktów. Żaden człowiek by tego nie zrobił.

Miguel pokiwał głową. Jencks zauważył z satysfakcją, że obaj mężczyźni w końcu przezwyciężyli swój lęk i z zaufaniem patrzyli na stos papierów.

- Komputer nie tylko podał najbardziej odpowiednią kolejność wydarzeń, ale obliczył szanse powodzenia dla wszystkich możliwych kombinacji wydarzeń. Wypisałem je tu. - Przerzucił kartki ze skalowanymi wektorami i macierzami korelacji, tłumacząc: - To możecie pominąć. Potraktujcie je jak pełen bazgrołów notatnik komputera. Oto wynik, na którym nam zależy.

CRIPA, OPTYMALNE
PRAWDOPODOBIENSTWO WSZYSTKICH
KOMBINACJI

J, K, L, M .89

J, K, M, L .83

J, L, K, M .77

J, M, K, L .76

- I tak dalej. Dwadzieścia cztery możliwe kombinacje czterech kroków, z których każdy symbolizuje jedna litera. Naturalnie wybrałem kolejność z największą szansą na powodzenie. Ponieważ sto procent to gwarancja całkowitego sukcesu, sami widzicie, że są spore szanse, że nasz plan się powiedzie. Ustaliłem, że przeciętnie każde przestępstwo ma sześćdziesiąt osiem procent szans na powodzenie, a w wielu przypadkach prawdopodobieństwo nie przekracza pięćdziesięciu procent.

Miguel zapalił kolejnego papierosa, nawet na chwilę nie odrywając wzroku od wydruków.

- Liczby te powstały przy pewnych założeniach. Przyjąłem na przykład, że znana mi kombinacja liczb otworzy sejf. W przeciwnym razie szanse na powodzenie całej operacji drastycznie zmaleją. Założyłem też, że w trakcie akcji żadnemu z nas nie przydarzy się nic, co nie miałyby bezpośredniego związku z napadem, na przykład atak serca. Przyjąłem, że poznawszy gości hotelowych, do soboty będziemy w stanie wyeliminować dwadzieścia procent pokoi. Jeśli wyeliminujemy dwadzieścia pięć procent, nasze szanse na powodzenie wzrosną do dziewięćdziesięciu, a jeśli wyeliminujemy trzydzieści procent, podskoczą do dziewięćdziesięciu czterech. Innymi słowy, będziemy mieli dziewięćdziesiąt cztery procent szans, że wszystko pójdzie zgodnie z planem.

- Takie statystyki to ja rozumiem - rzucił Miguel.

- Przeprowadzono kilka innych testów - ciągnął Jencks. - O niektórych z nich, jak na przykład test znaczenia, nie warto nawet wspominać. Chciałem wiedzieć, czy to coś zmieni, jeśli użyjemy kolejności J, K, L, M albo J, K, M, L.

- Pewnie, że tak - odparł Miguel. - W przypadku pierwszej prawdopodobieństwo wynosi osiemdziesiąt dziewięć, a drugiej osiemdziesiąt trzy.

- To prawda, ale statystycznie może to nie mieć znaczenia. Założmy, że dwadzieścia razy rzuciłeś monetą i w piętnastu przypadkach

wypadł orzeł. Czy to znaczy, że jeśli dalej będziesz rzucał, wciąż częściej będzie wypadał orzeł?

- Nie, to kwestia przypadku.

- Właśnie. Tak samo jest z prawdopodobieństwem. Niektóre liczby reprezentują rzeczywiste różnice, a inne nie. Żeby się o tym przekonać, można przeprowadzić testy matematyczne, ale to skomplikowana sprawa i nie zamierzam się w nią zagłębiać. Ważny jest kolejny test, który przeprowadziłem. Wiecie już, jakie są szanse na to, że wszystko pójdzie zgodnie z planem. Dzięki temu możemy ustalić, jakie jest prawdopodobieństwo porażki. Mnie interesowało coś więcej. Chciałem wiedzieć, jakie jest prawdopodobieństwo, że zostaniemy złapani.

Bryan i Miguel niemal poderwali się z foteli.

- Komputer potrafi to obliczyć? - spytał z niedowierzaniem Bryan.

- Niezupełnie. Dane, które podałem, były orientacyjne, ale pomyślałem, że zainteresuje was wynik. Wynosi zero zero sześć. To znaczy, że gdybyśmy tysiąc razy obrabowali hotel, złapano by nas sześć razy.

- To ma znaczenie? - spytał Miguel.

Jencks się uśmiechnął. Młody szybko się uczył.

- Nie, nie ma. Te sześć razy na tysiąc to szanse, przypadkowe liczby. Nie ma powodu wierzyć, że, czy nam się uda, czy też nie, zostaniemy złapani.

- A niech mnie - jęknął Miguel.

Bryan się uśmiechnął.

- Jeszcze kilka istotnych rzeczy - stwierdził Jencks, zerkając na zegarek - i będziecie mogli wrócić do siebie. Użyłem komputera, żeby przeprowadził kilka symulacji rabunku. Chodzi o to, że kilka razy... dokładnie dwanaście... odtworzyłem rabunek na papierze i w każdym przypadku dodawałem inny czynnik. Jakiś niespodziewany błąd. Raz ktoś zgłosił do recepcji, że skradziono mu czek. Innym razem były problemy ze wznieceniem pożaru w klubie. Jeszcze innym jeden z nas został złapany na gorącym uczynku. Wziąłem pod uwagę dwanaście różnych sytuacji i ich kombinacje. Chciałem wiedzieć, co powinniśmy robić w danym przypadku. Wykorzystałem system alternatyw stworzony dla ludzi zajmujących się strategią obronną. Tak to mniej więcej działa: w razie jakichkolwiek problemów, czyli tak zwanej niekontrolowanej sytuacji, jest szereg rzeczy, które można zrobić. Ja wykorzystałem trzy dość ogólne podejścia; potraktujcie je w kategorii

zakładu. Założyliście się z kimś, możecie więc zmaksymalizować minimalny zysk albo zminimalizować możliwe straty. Możecie też zabezpieczyć się na obie strony. Wyniki są dość zaskakujące. Komputer ustalił, że niektóre sytuacje powinny wzbudzić nasz niepokój i w każdej z nich powinniśmy zmaksymalizować minimalny zysk; postawić wszystko na jedną kartę i nie przerywać operacji. Wyjątek stanowi sytuacja, gdyby któryś z nas został przyłapany na kradzieży. Wówczas należy niezwłocznie przerwać wszelkie działania. - Jencks bacznie się im przyjrzał. - Nie dajmy się złapać - zakończył.

Westchnął i wstał. Wyjaśnienia i próby zilustrowania ich prostymi przykładami zmęczyły go. Może zanim się położy, wypije jeszcze szklaneczkę wytrawnego wermutu.

- Jak dzielimy zyski? - spytał z udawaną swobodą Miguel, podnosząc się z fotela.

- Pięć-trzy-dwa - odparł rzeczowo Jencks. - Ja, Bryan i ty. Wszystkie dodatkowe koszty pokrywam ja; opłacam też taksówkarza i przewoźnika. W porządku?

- W porządku.

Uścisnęli sobie dłonie, umówili się na kolejne spotkanie i Miguel opuścił pokój. Bryan odczekał pół minuty i miał już wychodzić, gdy usłyszał, jak Jencks mówi: - Mam mały problem.

Bryan usiadł i zapalił kolejnego papierosa.

- Tak? - spytał.

- Miałem pewne kłopoty w samolocie. Facet ukradł mi paszport i kazał mnie śledzić w Barcelonie. Wielki gruby Amerykanin, który przedstawił się jako Alan Brady. Zameldował się w tym hotelu jako Francuz nazwiskiem Bernet.

- Nic mi to nie mówi. - Bryan ściągnął brwi. - Domyślasz się, o co mu chodzi?

- Nie. Oprócz tamtej nocy nie zrobiłem nic niezwykłego. Zgubiłem ogon, ale wyszło to bardzo naturalnie, nic oczywistego.

- Gliniarz?

- Nie sądzę. Nie wiem czemu, ale nie wygląda mi na gliniarza.

- Tak czy siak, musimy mieć się na baczności - skwitował Bryan.

- Będę o tym pamiętał. Mam powiedzieć Miguelowi?

- Nie - odparł Jencks. - Lepiej nie.

Bryan wrzucił ramionami.

- W porządku - rzucił, wstając. - A przy okazji, nawiązałem kontakt z jednym z pracowników, tak jak kazałeś.

- To dobrze.

Nie było tego w programie, ale Jencks wspomniał o tym Bryanowi, gdy widzieli się w Londynie. Dobrze by było, gdyby znali rozkład zajęć personelu.

- Kto to?
- Zastępca dyrektora.
- Co to za koleś?
- To kobieta - odparł z uśmiechem Bryan. - Dziewczyna z recepcji.
- Rudawe włosy? - Jencks uniósł brwi.
- Ta sama. Jest bardzo miła.
- Baw się dobrze - odparł Jencks.

Bryan wyszedł i Jencks został sam w pokoju. Sięgnął po wydruki i fotografie i schował je z powrotem do aktówki. Chwilę później zadzwonił po kelnera i zamówił drinka.

W kolejnych dniach czekało ich mnóstwo roboty. Będą musieli wyeliminować dwadzieścia procent pokoi i nawiązać mnóstwo nowych znajomości. Może Bryan dowie się czegoś od dziewczyny; w tej sytuacji każde ułatwienie było na wagę złota. Zdobyte informacje mogły zaoszczędzić im mnóstwa pracy, głównie przy eliminacji gości.

Wstał i podszedł do okna. Czarna, bezksiężycowa noc wisiała nad oceanem. Niebo upstrzone było gwiazdami.

Zaczęło się.

ŚRODA, OSIEMNASTY CZERWCA

WALENCJA, HISZPANIA

Mijali niekończące się sady drzew pomarańczowych i cytrynowych, pod gorącym, bezchmurnym niebem. Lincoln continental zdawał się płynąć; klimatyzacja utrzymywała temperaturę na poziomie dwudziestu stopni Celsjusza.

Jean-Paul czuł się dobrze. Znowu zarabiał łatwe pieniądze, a jego piersiówka pełna była wybornej whisky Cutty Sark. Trzymał w ustach papierosa i gwizdał przez zaciśnięte zęby.

Siedząca na tylnym siedzeniu panna Shaw podniosła wzrok znad książki - używanego egzemplarza *Ostatniego brzegu*, który kupiła w Rabacie. Zwierzyła się Jean-Paulowi, że lubi lektury, których bohaterowie są uśmierceni. Dlatego rozczarowała ją *Fail-Safe* - w całej książce zniszczono tylko dwa miasta.

- Jean-Paul - odezwała się, marszcząc nos. - Musisz?

- Jeśli pani chce, zagwiżdżę *Waltzing Matilda*, żeby lepiej się pani czytało. - Jak zwykle nie czytał książki, ale oglądał film. Uważał, że Ava Gardner to naprawdę niezła dupa.

- To nie będzie konieczne - odparła panna Shaw, poprawiając się na tylnej kanapie. - Uważaj tylko, żebyśmy nie przejechali żadnych kurczaków. I wyciągnij z ust tego papierosa. Przez niego wyglądasz jak Francuz.

- Ale ja jestem Francuzem.

- No właśnie - skwitowała. - Widzisz? - Po tych słowach wróciła do lektury.

Przemykający za szybą krajobraz był monotony. Ziemia gorąca i bladoszara, spalona słońcem, przywodziła na myśl okolice greckiego Nauplionu. Grecja była dobrym krajem, jednym z ulubionych miejsc Jean-Paula. Szczególnie lubił jeden dom w Pireusie, gdzie Madame Pappas ubierała dziewczyny w najbardziej niesamowite kostiumy. Poza tym starannie dobierała swoją trzódkę - dziewczyny były piękne, miały idealne ciała i specjalizowały się w dość egzotycznych technikach.

Właściwie, pomyślał, panna Shaw wygląda trochę jak Madame Pappas. Obie były niskie, ociężałe i przysadziste niczym ropuchy. Miały jasne oczy osadzone w pomarszczonych twarzach i niebawale cięte języki. Widać nie wszyscy łagodnieli z wiekiem.

Przypomniał sobie ostatni raz, kiedy widział Madame Pappas. To była wiosna 1963 albo 64 roku, tuż po tym, jak uciekł od przeklętej hrabiny Morelli i jej męża szaleńca. Poznał hrabinę na Hydrze i natychmiast wpadł jej w oko. Była młodą, ledwie dwudziestopięcioletnią dziewczyną o wyjątkowej urodzie. Nie jego wina, że hrabia ich nakrył; powinna była wiedzieć, że mąż wraca z Rzymu.

W następstwie Jean-Paul przez trzy tygodnie uciekał w popłochu, mając na karku dwóch paskudnych typów. Brutale niemal go dorwali, kiedy ukrywał się na wyspie Mykonos. W Koryncie jeden z nich złapał Jean-Paula, ale on z całej siły kopnął go w czułe miejsce. W końcu, zmęczony i zdesperowany, wślizgnął się do hotelu Hilton w Atenach i zaskoczył hrabiego. Przez pół godziny tłumaczył mu, co się właściwie wydarzyło, przyciskając mu nóż do gardła.

Hrabia posłuchał głosu rozsądku i odpuścił sobie sceny zazdrości.

Z nożem na gardle ludzie robią się zadziwiająco mili, pomyślał Jean-Paul.

Westchnął.

Ruch nie był duży i mieli całkiem niezły czas. Strzałka prędkościomierza wskazywała 85 mil na godzinę. Czy to dużo? Dokonał w głowie szybkich obliczeń - mniej więcej 130 kilometrów na godzinę. Trzeba przyznać, że panna Shaw dbała o samochód i nie przeszkadzała jej szybka jazda. Niektóre staruszki darły się wniebogłose, gdy strzałka ledwie przekroczyła osiemdziesiątkę. To było straszne. Jean-Paul nienawidził jeździć wolno.

- Lunch w Barcelonie - odezwał się. - Późny lunch.

Panna Shaw wydała z siebie niegodne damy chrząknięcie.

- To zwyczaj miejscowych barbarzyńców - zauważyła. - Jak późny?

- O piętnastej.

- Będziemy bardzo modni i bardzo głodni. Chcesz banana? - Machnęła w jego stronę owocem. - Nie? Jak sobie chcesz. Uwielbiam banany. To naturalne jedzenie, jeśli coś takiego w ogóle istnieje. No i miało duże znaczenie historyczne. Zobacz, jak bardzo lubi je nasza małpia brać - dodała i z nieskrywaną przyjemnością odgryzła kawałek banana. - Czasami dostrzegam u siebie zachowania atawistyczne -

ciągnęła. - Na pewno nie chcesz spróbować? Ja chyba skuszę się na jeszcze jednego.

Jean-Paul się uśmiechnął. Jadła tyle bananów, ile chciała, a i tak ich nie ubywało. Obok niej, na siedzeniu, leżała sterta owoców, niemal tak wysoka, jak panna Shaw.

Jego uśmiech nie był złośliwy; raczej pobłażliwy i pełen zrozumienia. Jean-Paul wierzył, że każdy człowiek może pozwolić sobie na pewne dziwactwa i drobne wady.

- À propos - zaczęła panna Shaw - gdzie jest towar?

- Tam. - Wskazał głową schowek na rękawiczki.

- Zamknięty?

- Tak. - Zawahał się. - Co zamierza pani z nim zrobić?

- Jesteś pewien, że nie masz ochoty na banana?

- Proszę. Z chęcią zjem jednego.

- Dobrze, dobrze. - Pospiesznie obrała owoc i podała mu. - Prawdę mówiąc, mam względem tej paczuski poważne plany. Myślę, że będzie niezły ubaw. Co ty na to?

- Tak - przyznał, choć nie miał pojęcia, o co chodzi.

- Część jest dla mojej siostrzenicy - wyjaśniła panna Shaw. -

Polubisz ją.

Jean-Paul uprzejmie skinął głową.

- Uwierz mi - dodała. - Na pewno ją polubisz.

HOTEL REINA, HISZPANIA

Peter patrzył na Jenny z niesmakiem. Siedział na leżaku, podczas gdy ona leżała kilka metrów dalej, nad brzegiem basenu. Było oczywiste, że pozuje. Problem w tym, że to działało i inni mężczyźni gapili się na nią. Peter ich nienawdził. Mogli znaleźć sobie inne kobiety. Nie docierało do nich, że ta jest zajęta?

Zajęta. Słowo utkwilo mu w głowie i irytowało go.

Jenny wstała i podeszła do niego niespiesznym, leniwym krokiem. Kręciła biodrami, świadoma każdego ruchu i jego efektu. Opadła na sąsiedni leżak.

- Dlaczego nie przestaniesz?

- O co ci chodzi? - Głos miała zmęczony, leniwy; zamknęła oczy i zwróciła twarz ku słońcu.

- Przechadzasz się jak królowa piękności.

- Nie bądź śmieszny, Peterze.

- Nie jestem śmieszny. I nie jestem głupi. Widziałem, jak pa-

trzyś na tamtego faceta.

- Którego? O czym ty mówisz?

- Tamtego w rogu, z siwymi włosami i książką, którą czytał, dopóki się nie pojawiłaś. Tego przystojnego.

- Nie zauważyłam go - odparła Jenny, podnosząc się do pozycji siedzącej. Zmrużyła oczy. - Gdzie on jest? Pokaż, o którego ci chodzi.

- Nieważne. - Peter nerwowo zapalił papierosa. - Po prostu przestań, dobrze?

Nagle spowaźniała i zerknęła na niego przez ramię.

- Peterze, robię, co chcę i kiedy chcę - oświadczyła lodowato.

Słyszac to, poczuł w żołądku ukłucie bólu. Miała cudowne ciało: opalone i nieco atletyczne.

- Ty też możesz robić, co tylko chcesz - dodała.

Jenny patrzyła, jak z twarzy Petera znika niepewność, zastąpiona chwilową stanowczością. Ta jednak zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Dziewczyna westchnęła i położyła się z powrotem. Bez nadzieiny, pomyślała.

Rozmyślała o siwowłosym mężczyźnie w drugim końcu basenu. Przystojny i dobrze zbudowany jak na swój wiek - żadnej zwiotczalej skóry czy oznak starzenia się. Był zadbany i miał w sobie srogość, która ją pociągała. Rysy jego twarzy były ostre, arystokratyczne i Jenny domyślała się, że jest świetny w łóżku. Kto wie, może wieczorem spotka go w barze. Jeśli tak się stanie, pozwoli, by sprawy potoczyły się zgodnie z naturalną koleją rzeczy. Czas, żeby Peter pogodził się z faktami.

Znowu westchnęła. Najbliższe dni zapowiadały się dość nieciekawie. Ich nieoficjalne zaręczyny zostaną zerwane i Peter będzie skomlał jak zbity pies.

- Nie zamierzasz ze mną rozmawiać? - spytał.

- Cieszę się słońcem - odparła, nie otwierając oczu. - O czym chcesz rozmawiać?

- Do diabła z tym - rzucił. Usłyszała szuranie plastiku o beton, kiedy poderwał się z leżaka. Jego cień padł na nią, ale nawet wówczas nie otworzyła oczu.

- Idę po drinka - oznajmił.

- Jeszcze za wcześnie.

- Muszę się napić. - Zawahał się. - Idziesz?

- Nie sądzę.

- Jak chcesz.

. . .

Bryan Stack obserwował z drugiego końca basenu, jak przyszczaty chłopak odchodzi i zostawia swoją towarzyszkę samą. Dziewczyna niemal natychmiast usiadła, rozejrzała się dookoła i spojrzała na niego. Stack utkwiał wzrok w książce i zapalił papierosa; nie zamierzał się w to mieszać.

Nie musiał słyszeć, o czym rozmawiali, żeby wiedzieć, co się między nimi działo.

Dziewczyna położyła się i zamknęła oczy. Widząc to, Bryan wstał i wrócił do hotelu. Najwyższy czas wziąć się do roboty.

Stała za biurkiem, ubrana w czarny sweter bez rękawów i granatową spódnicę. Pochyliła głowę i wypełniała formularze; włosy spadały jej na twarz.

- Dzień dobry - zaczął.

Podniosła wzrok.

- Dzień dobry. Myślałam o pańskiej propozycji. - Zawahała się i spojrzała wprost na niego. Przez chwilę myślał, że wszystko odwoła, ale spytała: - Może być szesnasta?

- Muszę zerknąć do kalendarza - odparł z uśmiechem - ale brzmi nieźle. Gdzie?

- W tym cały problem. Utrzymywanie kontaktów towarzyskich z gośćmi jest niemile widziane, obawiam się więc, że bar i basen odpadają.

- W takim razie spotkajmy się w moim pokoju - zaproponował.

Rozważyła jego słowa i skinęła głową.

- Ale proszę wyświadczyć mi przysługę i zamówić drinki przed moim przyjściem. Nie zatrudniamy wielu osób i lepiej będzie, jeśli nie zaczną plotkować.

- Oczywiście - odparł, śmiejąc się w duchu z jej szwajcarskiej dyskrecji. - Co pani pije?

- Woli pan mocniejsze czy słabsze drinki?

- Zwykle piję mocniejsze.

- Mocniejsze niż wódka gimlet?

- Boże, mam nadzieję, że nie.

- To dobrze. W takim razie widzimy się o szesnastej. - Posłała mu łagodny, pełen nadziei uśmiech. Nie wiedział, co o nim myśleć.

- O szesnastej.

Wrócił nad basen. Wychodząc, minął się z Jencksem. Mężczyźni nawet na siebie nie spojrzeli.

. . .

Miguel obudził się i łaskawym wzrokiem spojrzął na światło poranka. Było zbyt wcześnie, żeby zaglądało do pokoju, ale niczym kałuża rozlewało się po balkonie. Spojrzął w niebo, jakby chciał utwierdzić się w przekonaniu, że zapowiada się dobry dzień, i poszedł do łazienki się ogolić.

Była 11.45, kiedy zaczął się ubierać. Za niecałą godzinę spotka się z Cynthią i zdecydują, co będą robić do końca dnia. Wkładając spodnie, sportową koszulę i mokasyny, pomyślał, że ma kilka propozycji. Był głodny, ale pora śniadania minęła, chyba że zamówi jedzenie do pokoju. To bez znaczenia; zje z Cynthią wczesny lunch. Lunch przed czy po? Zaczeka i zobaczy. Uśmiechnął się do swoich myśli i zapalił papierosa. Nie widział już kobiet wylegujących się nad brzegiem basenu. Myślami błądził gdzie indziej.

. . .

Cynthia opalała się na tarasie. Leżała na brzuchu, na niedźwiedziej skórze, którą zabierała ze sobą, dokądkolwiek się udawała. Lubiła dotyk futra, kiedy wylegiwała się na niej naga.

Wiejący od strony morza delikatny wiaterek pieścił jej gołe pośladki. Ziewnęła i sięgnęła po zegarek, żeby sprawdzić, która godzina. Dochodziło południe. Niedługo przyjdzie ten koleś, Miguel. Zastanawiała się, czy się nie ubrać, ale zdecydowała, że nie.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę - zawołała. Nie widziała drzwi, ale usłyszała, jak się otwierają. - Kto to?

- Miguel.

- Przyszedłeś wcześniej.

- Nie mogłem się doczekać. Gdzie jesteś?

- Na tarasie.

- Piękny dzień, prawda? - zauważył, przechodząc przez pokój.

Usłyszała, jak na jej widok wciągnął powietrze. Zerknęła przed siebie i zobaczyła jego stopy. Chwilę później podniosła wzrok i spojrzała mu w twarz.

- Jesteś niesamowita - stwierdził.

Roześmiała się.

- Przyszedłeś w samą porę. Muszę nałożyć mleczko do opalania. Zajmiesz się tym?

Sięgnął po tubkę, usiadł przy niej i zaczął wmasowywać balsam w

nagie ramiona Cynthii.

- Jak tam spotkanie przy kolacji? - spytała.

- Co? Ach, tak. W porządku.

- To dobrze. - Oparła głowę na przedramieniu i czując na plecach jego dłonie, spojrzała na ocean. Dotyk miał stanowczy, choć obojętny. Starał się. Kiedy dotarł do odcinka lędźwiowego, przerwał masaż, przesiadł się i zaczął wcierać balsam w jej kostki, pnąc się w górę, w kierunku kolan. Gdy dotknął ud, jej nogi stężały.

Zawahał się.

- Mam cię całą nasmarować? - spytał.

- Mmmhmmm - odparła rozmarzonym głosem. Dotknął dłońmi jej nagich pośladków. Jego nieśmiałe ruchy stawały się bardziej odważne i chwilę później ugniatał je zapamiętale. Cynthia czuła w lędźwiach przyjemne mrowienie.

- To bardzo przyjemne - zauważyła. Chciała rozkoszować się tym uczuciem, sprawić, by trwało jak najdłużej. - Może też się poopalasz?

- Nie wziętem kąpielówek - odparł odruchowo i natychmiast się zreflektował. Wstał i usłyszała szelest materiału, kiedy zdejmował ubrania. Położył się obok niej i spojrzał na nią. Pożądanie nadawało jego twarzy zmęczony, pełen napięcia wyraz.

- Za chwilę - powiedziała. - Pomasuj mnie jeszcze.

Wyciągnął rękę i przesunął wzdłuż kręgosłupa, od karku aż do bioder. Tam jego palce zatrzymały się i leniwym ruchem pieściły jej skórę. Uczucie mrowienia się wzmogło.

- Nie zamówiłam lunchu - stwierdziła. - Mam zrobić to teraz?

- Nie - szepnął. - Nie teraz.

Odwróciła się na plecy i bez słowa podała mu tubkę balsamu. Miguel dzwignął się i pochylił nad nią. Musnął dłońmi jej wysokie kości policzkowe, czoło i brodę. Jego ręka sunęła w dół, po jej szyi. Napięcie między nimi było niemal wyczuwalne.

Miguel utkwił wzrok w jej twarzy. Patrzyła na niego omdlewająco, między rozchylonymi wargami widać było drobne białe zęby. Długie, lśniące, czarne włosy okalały twarz. Oddychała szybko i widział, jak tężeją mięśnie jej szyi.

Przesunął dłonie w dół jej ramion, musnął palcami obojczyk i dotknął piersi.

- Jesteś piękna - mruknął.

Czuł, jak twardnieją jej sutki. Balsam na jej ciele lśnił w słońcu. Miguel delikatnie ugniatał dłońmi brzuch Cynthii, by chwilę później

wsunąć rękę między jej uda. Gładka skóra przypominała satynę. Dotknął wżgórka łonowego, gdzie ogolona skóra była równie gładka i miła w dotyku. Czuł, jak narasta w nim pożądanie.

Gdy jego palce dotarły do najbardziej intymnych zakamarków jej ciała, Cynthia jęknęła. Miała wrażenie, że płonie; że jej ciało stanęło w ogniu, który trzeba ugasić. Przywarła do niego całym ciałem.

- Pragnę cię. Pragnę cię teraz...

• • •

Miguel wyczerpany leżał obok Cynthii. Jest cudem, pomyślał, prawdziwym cudem. Podejrzewał też, że jest nimfomanką, ale to mu nie przeszkadzało. Nimfomanki miały swoje miejsce w świecie i Miguel cieszył się, że spotkał jedną z nich.

W ciągu trzech godzin kochali się trzy razy i w tym czasie zdążyli jeszcze zjeść lunch. Podczas lunchu udało mu się ją podpytać i uznał, że pokój Cynthii jest jednym z tych, do których zdecydowanie warto zajrzeć. Niepokoił go jednak fakt, że ona także go wypytywała. Pytania zawsze sprawiały, że czuł się nieswojo; wymagały kłamstw, a kłamstwa bywały podstępne. Człowiek nigdy nie wiedział, kiedy przyjdzie mu się zmierzyć z kłamstwem, o którym zapomniał. Miguel kłamał tak rzadko, jak było to możliwe, ale czasami nie miał wyjścia.

Jest zabawną dziewczyną, pomyślał, rozglądając się po pokoju, który wydawał się dziwnie pusty. Nie było tu kremów, lokówek i buteleczek z kosmetykami. No, ale zobaczył polaroid. Leżał na komodzie, obok zdjęcia przedstawiającego wnętrze pokoju. Kiedy o nie zapytał, powiedziała, że zawsze fotografuje miejsca, w których się zatrzymuje. Twierdziła, że dużo podróżuje. Nie kupił tego, ale wyobrażał sobie zdjęcia, które rzeczywiście mogła robić polaroidem. To było w tym wszystkim najlepsze; nie trzeba dawać zdjęć do wywołania.

Zabawna dziewczyna.

Spała smacznie, jej piersi unosiły się i opadały. Nogi, które chwilę temu wydawały się takie silne, leżały bezwładnie na łóżku. Patrząc na nią, uświadomił sobie, że on także jest zmęczony. Położył się na brzuchu i zaraz potem zasnął.

• • •

Jencks odwrócił się, żeby spojrzeć na mężczyznę z rzednącymi siwymi włosami i starannie przyciętymi wąsami. Miał na sobie białe

lniany garnitur i krawat w barwach college'u Balliol. Staruszek siedział wyprostowany obok swej starej, pomarszczonej żony.

- Państwo wybaczą - zaczął uprzejmie Jencks - ale przypadkiem słyszałem waszą rozmowę o Afryce. Pomyślałem, że może znali państwo mojego ojca.

- Służył może w Ósmej Armii? - spytał staruszek, poruszając wąsami.

Nie mówi z brytyjskim akcentem, pomyślał Jencks. Może jest pół-Brytyjczykiem.

- Tak, proszę pana. Major Jencks, Siódma Dywizja Pancerna. To coś panu mówi?

Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę, po czym pokręcił głową.

- Przykro mi, ale nie. Może dlatego, że byłem tam dość krótko. Ale wystarczająco długo, jeśli wie pan, co mam na myśli - zarechotał. - Zdecydowanie za długo jak dla kogoś, kto nie przepada za skorpionami i piaskiem. Do dziś nie znoszę piaszczystych plaż. Pański ojciec był Anglikiem?

- Tak - odparł Jencks. - Matka też. Poznali się w Oksfordzie.

- Ale pan nie jest Brytyjczykiem?

- Już nie. Jestem czarną owcą, która odłączyła się od stada. Sześć lat temu przyjąłem ofertę pracy w fabryce Forda w Detroit.

Staruszek pokiwał głową. Może jego ojciec pracował później w Nuffield. Ludzie z branży samochodowej zwykle kontynuowali rodzinne tradycje.

- Pański ojciec nie był doradcą zawodowym?

Typowy Anglik, pomyślał Jencks. Interesują ich tylko przodkowie i status społeczny. Wszystko musi być jak należy.

- Nie, aż do wojny pracował w ICA. Zginął pod El Alamein.

- To straszne - stwierdził staruszek.

- Dla mnie to bez znaczenia. I tak prawie go nie znałem. - W głosie Jencksa wesołość mieszała się z przejęciem.

- Cóż, skoro pan tak mówi.

- Co sprowadza państwa na Costa Brava? - spytał Jencks, jakby nagle zapragnął zmienić temat.

- Jesteśmy w drodze do Afryki - odezwała się po raz pierwszy kobieta. Miała zadziwiająco silny głos jak na kogoś w jej wieku. Jencks nie chciał nawet zgadywać, ile miała lat. Mogła mieć sześćdziesiąt, ale równie dobrze dziewięćdziesiąt - nie potrafił powiedzieć. - Odwiedzamy ulubione miejsca Alfreda.

Alfred się roześmiał.

- Tak, wie pan, hotel Shepherd's i tym podobne. Chociaż, oczywiście, hotel Shepherd's został przebudowany. Kiedyś to było wyjątkowe miejsce. - Uśmiechnął się i czule poklepał dłoń żony, jakby chciał ją zapewnić, że nie będzie opowiadał o swoich miłosnych podbojach; przynajmniej nie w jej obecności.

- Sam nigdy nie byłem w Afryce - skłamał Jencks. - To z pewnością niezwykle ekscytujące.

- Cudowne - odparł staruszek. - Po prostu cudowne.

Rozmowa toczyła się dalej. Jencks dowiedział się, że staruszka stać było na taką wyprawę; przebywał na emeryturze, ale co dwa lata podróżował po świecie, choć nienawidził kompletowania garderoby przed każdą wyprawą. Ubrania kupione w Simpson's nie są już tak dobre, jak kiedyś. Czyli w czasach Jerzego VI, ha ha. Ale Alfred czekał na tę podróż; kupił nowy aparat marki Leica i chciał go wypróbować. Jencks zauważył też, że staruszek nosi na rękę rolexa.

Zapytał, czy podoba im się pokój, i przyznali, że tak. Wprawdzie znajdował się na drugim piętrze, ale z okien rozpościerał się widok na morze. O proszę, nawet stąd go widać; to ten z pasiastym ręcznikiem na balustradzie balkonu. Powiesili go, żeby wysechł. To cudowne, jak szybko wszystko schnie w tym klimacie.

Jencks podniósł głowę i dokonał w myślach szybkich obliczeń. Był to pokój 148. W sobotę na pewno go nie pominą.

Wrócili do rozmów o Afryce i sir Bernardzie Law Montgomerym. Jencks, który czytał autobiografię Montgomery'ego, wspominał cytaty, który zrobił na nim wyjątkowe wrażenie: „W bitwie sztuka dowodzenia polega na tym, by zrozumieć, że nie ma dwóch takich samych sytuacji; każdą należy traktować jak zupełnie nowy problem, który wymaga zupełnie nowych rozwiązań”.

Po godzinie przeprosił swoich rozmówców i twierdząc, że jest głodny, wrócił do hotelu.

- Miły człowiek - zauważył Alfred, kiedy Jencks się oddalił. - Cholernie miły, jak na Amerykanina.

- Nie zapominaj, mój drogi, że jego rodzice byli Brytyjczykami. To łagodzi ordynarność Nowego Świata.

- To prawda - przyznał Alfred, głaszcząc swoje wąsy.

BARCELONA, HISZPANIA

Zatrzymali się na lunch w przydrożnej restauracji na wschód od miasta. Jedząc gazpacho, panna Shaw pomyślała, że jest to niezwykle

przygnębiająca okolica. Obszar tanich kurortów dla klasy średniej, na południowym krańcu Costa Brava.

Panna Shaw nie lubiła wszystkiego, co tanie i przeznaczone dla klasy średniej. Odkąd przysła na świat w Hampstead i żyła w Brighton, później, gdy dorastała wśród piękna i luksusu. Kiedy rodzinny majątek, z trudem zainwestowany poza granicami kraju, przepadł podczas wojny, robiła, co mogła, by nadal żyć jak dama. Jak do tej pory z powodzeniem. Była to ciągła walka, daleka od przyjemności. Ale sukces dawał małe radości.

Spojrzała na drogę, na continentala zaparkowanego przed restauracją. Jej zdaniem samochód był za szybki, za duży i za bardzo rzucał się w oczy. Nie mogła powiedzieć, że wybrała go, kierując się dobrym smakiem. Był symbolem luksusu kupionym w chwili słabości i tak właśnie go postrzegała. Lubiła duże samochody, mimo ich wulgarności. Może pewnego dnia kupi ferrari. Byłoby miło.

Spojrzała na Jean-Paula, który zdążył już zjeść supkę.

- Musisz nauczyć się jeść powoli - stwierdziła. - Za bardzo się spieszysz. We wszystkim należy zachować umiar.

Jean-Paul uśmiechnął się słabo i pociągnął z piersiówki.

- Proszę, nie w miejscach publicznych - upomniała go. - Wystarczy, że pozwalam ci jeść w swoim towarzystwie; w końcu jesteś moim szoferem. Nie nadużywaj moich demokratycznych odruchów. Mam ich bardzo niewiele.

Posłusznie schował piersiówkę do kieszeni na biodrze. W istocie nie jest złym chłopcem, pomyślała. Jest dobroduszny i miły, mimo swych okropnych przyzwyczajzeń. Na pewno jej się przyda.

- Wie pani - zaczął Jean-Paul - naprawdę mnie pani intryguje.

Czy ta niepozorna staruszka mogła być dealerką narkotyków? — pomyślał.

- Cierpliwości - odparła słodko panna Shaw.

Kelner przyniósł drugie danie, *pollo eon ajillo*, kurczaka z czosnkiem. Po czymś takim oboje będącymi mieli cuchnący oddech, pomyślała panna Shaw; musi pamiętać, żeby kupić miętówki. Pomagały rozwiązać wiele życiowych problemów - odrobina rozsądnej słodyczy, żeby zamaskować nieprzyjemności.

Z bananami jest tak samo, pomyślała. Może więc zamiast miętówki zje banana.

. . .

Po lunchu wyjechali na nadbrzeżną drogę biegnącą przez Mataro,

Blanes i Tossa del Mar. Krajobraz był tu bardziej surowy. Wąska droga zaczęła z czasem przypominać cienki pasek, który wrzynał się w zalesione wzgórza i prowadził prosto do morza. Była tak kręta, że Jean-Paul dwoił się i troił, by pokonać zakręty. Mijali kolejne miejscowości wypoczynkowe - nowo wybudowane tanie białe hotele czekające na turystów, którzy w ciągu ostatnich trzech lat zjeżdżali na Costa Brava. Tabliczki w obcych językach, głównie niemieckim, reklamowały działki na sprzedaż, osiedla mieszkaniowe i apartamenty. Powietrze było rześkie i słone, ziemia czerwona, a morze błękitne i krystalicznie czyste.

- Całkiem tu przyjemnie - odezwała się panna Shaw, podziwiając widoki. Jean-Paul zauważył, że pociągała nosem za każdym razem, gdy mijali samochód z niemieckimi tablicami.

Gwałtownie skręcił, żeby wyprzedzić małego hillmana sedana. Za kierownicą siedział przysadzisty mężczyzna z grubą czerwoną szyją. Sprawiał wrażenie, jakby było mu gorąco i niewygodnie.

- Boże jedyny! - wykrzyknęła panna Shaw, oglądając się za nim. Za kolejnym zakrętem straciła go z oczu.

- Ktoś znajomy? - spytał Jean-Paul, delikatnie hamując.

Kobieta w milczeniu oglądała się za siebie. Hillman wychynął zza zakrętu i chwilę później znowu zniknął.

Dopiero wtedy się odwróciła.

- Nie - odparła. - To nikt. Jedź.

• • •

Bryan Stack otworzył drzwi i do pokoju weszła Annette.

- Cześć - rzuciła, uśmiechając się. Ma ładny uśmiech, pomyślał i odpowiedział tym samym.

Na biurku stała duża srebrna taca, a na niej butelka wódki, butelka soku z limonki, dzbanek z lodem i dwie szklanki. Annette omiotła je wzrokiem.

- Wygląda na to, że planujesz imprezę - zauważyła.

- Miałem nadzieję, że zostaniesz na więcej niż jednego drinka i opróżnimy butelkę.

Roześmiała się i usiadła na łóżku. Zastanawiał się, czy miało to jakieś znaczenie; mogła przecież wybrać krzesło.

- Jesteś dobrym barmanem?

- Dlaczego pytasz? Macie wolny etat?

- Właściwie tak. Od otwarcia hotelu mieliśmy trzech i żaden nie był wystarczająco dobry. Nie mają pojęcia, jak zrobić wytrawne

martini, o które proszą wszyscy Amerykanie i Anglicy.

- Patrz - rzucił. - Dwa drinki wódka gimlet. - Zawahał się skonsternowany. - Zapomniałem o skórce z limonki. W porządku?

- Pewnie tak.
- Widzę, że nie jesteś purystką.
- Nie, jeśli chodzi o drinki.
- Mężczyzna, który pije, czuje, że żyje.
- Kobieta niekoniecznie.

Podszedł do tacy, wlał do dzbanka dziesięć kieliszków wódki, kilka kropli soku z limonki i zmieszał. Włożył lód do szklanek, zalał mieszanką i podał jej gotowego drinka. Annette upiła łyk i ściągnęła usta.

- Wystarczająco wytrawne?
- Masz tę robotę.
- A ile płacicie?
- Obawiam się, że nie za dużo.

Usiadł naprzeciw niej i nagle nie wiedział, co ma mówić. Dziwne, do tej pory wszystko szło jak należy i sądził, że bez problemu tak pokieruje rozmową, żeby zaczęła mówić o swojej pracy i życiu w hotelu. Spojrzał w jej niebieskie oczy i stwierdził, że wcale nie ma na to ochoty. Robię się miękki, pomyślał i się uśmiechnął.

- Co cię tak bawi? - spytała.
- Nic. - Wyciągnął w jej stronę paczkę papierosów. - Właśnie pomyślałem, że jesteś bardzo ładna.

Daj spokój, pomyślał. Stać cię na więcej. Włóż w to odrobinę serca. W końcu chodzi o milion dolarów. Za taką sumę stać cię chyba na niewinne kłamstwo.

Annette wstała, podeszła do drzwi balkonowych i wyjrzała na zewnątrz.

- Czym się zajmujesz? - spytała.

- Importem i eksportem. Głównie owoców.

- Dużo podróżujesz? - Patrzyła na wysłużoną walizkę.

- Niemal bez przerwy - odparł. - A ty? Często masz okazję się stąd wyrwać?

- Tak. W nieparzyste tygodnie. Jeżdżę tu i tam.

- To znaczy dokąd? - Nie mógł pozbyć się uczucia, że jest zbyt spięty, a przez to sztuczny.

- Na Majorkę i w tego typu miejsca. Można by pomyśleć, że uciekam na północ, żeby odpocząć od słońca, ale nie. Lubię słońce.

Spojrzał na jej skórę o delikatnym miodowym odcieniu.

- Nie jesteś za bardzo opalona - stwierdził.
- Z reguły pracuję w budynkach.
- W recepcji?
- Aha. - Wyprostowała się i spojrzała na niego z lekkim zakłopotaniem. Trzymała drinka w smukłych palcach o starannie pomalowanych paznokciach.

- Coś nie tak? - spytał.
- Nie. To bardzo dobry drink. Mogę prosić kolejnego?

Wyjął z jej dłoni pustą szklankę i napełnił. Czuł na sobie jej wzrok i miał wrażenie, że robi coś nie tak; coś, czego ona nie rozumie.

- Co cię sprowadza do hotelu Reina?
- Jestem na wakacjach, podobnie jak pozostali goście.
- Masz żonę?

To się nazywa bezpośredniość, pomyślał. Żadnego owijania w bawełnę, od razu przechodzimy do konkretów. Gdzie się podziała szwajcarska dyskrecja?

- Prawdę mówiąc, nie. Czy to ważne?
- Nie - odparła, choć niezbyt pewnie.

Bryan wstał i podszedł do niej. No już, pomyślał, zabieraj się do roboty. Pocałuj ją, przyciśnij do szyby i zrób, co trzeba. Rozmowa w łóżku jest zawsze łatwiejsza.

- Pewnie miło pracuje się w takim miejscu - zauważył, spoglądając na kort tenisowy.

- Tak i nie. - Wzruszyła ramionami.
- Dlaczego zapytałaś, czy jestem żonaty?
- Nie wiem - odparła. - Naprawdę. - Nigdy nikogo o to nie pytam, pomyślała.

Roześmiał się i dopił drinka.

- Napijmy się jeszcze.
- Nie powinnam. Pracuję po południu.
- Zawsze pracujesz popołudniami? - Nalewając drinka, był na siebie wściekły.

- Tak. Od szesnastej do dziewiętnastej.

- W recepcji?

- Tak. Mam biuro obok gabinetu dyrektora, pana Bonnarda, ale rzadko w nim bywam.

- A po dziewiętnastej?

- Oficjalnie mam wolne. Ale zwykle są rzeczy, którymi...

- Więc możesz umówić się na kolację?

Pokręciła głową.

- Zwykle nie. Ale...
- Tak?
- Jutro mam cały dzień wolny.
- Co za zbieg okoliczności. Ja również.

Uśmiechnęła się.

- Może więc dasz się porwać na cały dzień?
- Z chęcią.

Podniósł szklaneczkę w toaście.

- W takim razie czuj się porwana.

. . .

Jencks wpadł później, kiedy Annette już wyszła. Rzucił okiem na drinki, pustą do połowy butelkę wódki i dzbanek z topniejącymi kostkami lodu. Bryan siedział w fotelu, w kącie pokoju, palił papierosa i patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem.

- Jak poszło?
- W porządku - odparł. - Poszło w porządku.
- Nie wyglądasz na przesadnie szczęśliwego.
- Jestem zmęczony. Rano będę jak nowo narodzony. Zamierzamy jutro gdzieś wyskoczyć.

- Tylko we dwoje?

- Tak.

- To dobrze - odparł Jencks. - Do zobaczenia.

Zamknął drzwi, zostawiając go samego. Bryan wciąż był na siebie zły. Dlaczego one zawsze muszą być takie cholernie miłe? - pomyślał. Dlaczego Annette nie mogła być prawdziwą zdzirą?

. . .

- Sukinsyn - warknął doktor Baker. - Mówię ci, jestem przerażony. W życiu się tak nie bałem. To światowy trend, nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

- Żadnych - przyznał Jencks, zastanawiając się, jak zakończyć tę rozmowę.

Doktor Geoffrey Baker był ograniczonym, zarozumiałym dupkiem. Jego żona była taka sama, ale na szczęście poszła przebrać się do kolacji. Teraz Baker rozmawiał z nim jak mężczyzna z mężczyzną.

- Weźmy na przykład Francję. Opieka lekarska jest tam taka sama jak w całej Europie... przepisują czopki nawet na ból gardła. Nie sądzisz, że to do dupy? - Roześmiał się serdecznie i zapalił cygaro.

Machnął ręką. - Chodzi o to, że władze są niechętne do współpracy. Niechętne do współpracy i kompletnie nieczułe. De Gaulle. Oto, co mam na myśli. Pamięta pan, co powiedział, kiedy lekarze rozważali strajk, domagając się wyższych pensji?

- Nie bardzo.

- Cóż, sukinsyn powiedział, że lekarze mają obowiązek ratować życie pacjentów za te same pieniądze, bo przecież on „ocalił Francję, zarabiając jak pułkownik”. To typowe. Nic dziwnego, że nie widać postępów, a opieka lekarska jest godna pożałowania. Wszelka inicjatywa zostaje zduszona, standardy się obniżają i wszystko schodzi na psy. I kto na tym cierpi? Pacjenci!

- Całkowicie się z panem zgadzam - odparł Jencks.

Chryste, czy ten koleś nigdy się nie zamknie? Już dawno zdobył wszystkie potrzebne informacje. Państwo Bakerowie wracali z trzytygodniowego pobytu na Rivierze Francuskiej, gdzie kupili dzieła sztuki i wydali mnóstwo pieniędzy. W chwili nierozwagi doktor Baker przyznał, że dobrze zrobili, opłacając z góry swój pobyt w hotelu Reina, w przeciwnym razie nie mieliby pieniędzy na powrót do domu. Wydali wszystko. Oczywiście mogli zastawić biżuterię Emily (mówiąc to, zachichotał), ale problem w tym, że nie wzięła jej ze sobą. Znajomemu lekarzowi i jego żonie przydarzyła się w Cannes niemiła niespodzianka - w maju, podczas festiwalu filmowego, zostali okradzeni. Tak więc Emily postanowiła, że tym razem zostawi biżuterię w domu.

To wszystko, co Jencks chciał usłyszeć, i wszystko, co chciał wiedzieć. Tymczasem doktor Baker gadał dalej.

- Albo weźmy taką Anglię. Niech to szlag; w tym kraju nie ma już takiego dostępu do opieki medycznej jak przed państwową służbą zdrowia. Może pan o tym nie wie, ale obniżono standardy, i to bardzo drastycznie. Lekarze mają wszystko gdzieś. Jak tak można? Gabinety pełne są zrzęd i hipochondryków. A kiedy pomyślę, że mój gabinet w Grand Rapids niedługo będzie wyglądał tak samo, mówię panu, jestem przerażony. Nie mam na to innych słów. Jestem po prostu przerażony.

- Rozumiem - odparł Jencks, trąc oczy i wdychając.

• • •

Słońce zachodziło, gdy wielki lincoln continental przetoczył się przez most i zatrzymał przed hotelem. Jean-Paul wyskoczył z samochodu i pospiesznie otworzył drzwi, uprzedzając odźwiernego. Panna

Shaw wysiadła powoli i wzięła głęboki oddech.

- Cudownie! - stwierdziła.

Jean-Paul był zdumiony. Jej zachowanie, wyraz twarzy i postawa zmieniły się. Była roztargnioną, niepoważną starszą panią; inteligentny błysk w oku zastąpiła głupkowata radość.

- Zaparkuj samochód, Jean-Paul - zwróciła się do niego.

Jean-Paul uklonił się sztywno.

Panna Shaw weszła do środka.

- Dobry wieczór, moja droga. - Uśmiechnęła się słodko do recepcjonistki. - Nazywam się Shaw.

Spojrzała z góry na Annette, która przeglądała księgę gości.

- Oczywiście, pani Shaw.

- Panna. - Staruszka napięła się niczym struna.

- Tak, oczywiście. Przepraszam. Dwa pokoje jednoosobowe.

- Tak, właśnie tak. Cieszę się, że to sobie wyjaśniłyśmy.

- Tak - odparła Annette, wyciągając formularze. - Czy mogę prosić o pani paszport?

- Kocham ten kraj - zauważyła panna Shaw. - Macie tu cudowne owoce. Wie pani, że chyba nigdy wcześniej tu nie byłam. Czy to nowy hotel?

- Został otwarty w ubiegłym roku - odparła Annette, wypełniając formularz.

- Nie za moich czasów - skwitowała z roztargnieniem panna Shaw. - Ale muszę przyznać, że wygląda doskonale.

- Dziękuję.

- Doskonale - powtórzyła panna Shaw, rozglądając się dookoła.

- Tak - przyznała Annette. Zawahała się. - Drugi pokój...

- Dla mojego szofera.

- Rozumiem. Jeśli pani woli, może zatrzymać się w kwaterach dla personelu, na ładzie. Są bardzo ładne i tak będzie...

Panna Shaw podniosła rękę, zamknęła oczy, pokręciła głową i cmoknęła z dezaprobatą.

- Nigdy, moja droga. Nigdy. Choć muszę przyznać, że jesteś naprawdę urocza. Prawdę mówiąc, jestem przeciwna traktowaniu służby jak psów. To takie staroświeckie, choć kiedyś miało swoje zalety. Dziś - dodała - nikt już nie wie, gdzie jest jej miejsce.

Annette nie była pewna, czy starsza pani jest na nią zła. Bez słowa podsunęła jej drugi formularz.

- Podpiszę za Jean-Paula - oznajmiła panna Shaw, w pośpiechu składając podpis. - Jestem przekonana, że spędzimy tu uroczy czas.

Jest jednak coś, co chciałabym wyjaśnić na samym początku.

- Oczywiście. O co chodzi?
- Hotel leży w dość ustronnym miejscu...
- Mamy lekarza i szeroki zakres innych usług.
- Tak, nie wątpię, ale... czy macie duży zapas bananów?
- Słucham?
- Bananów. Czy macie ich tu dużo?

Annette próbowała zachować powagę.

- Myślę, że tak. Ale sprawdzę, jeśli pani chce.
- Grzeczna dziewczynka - odparła panna Shaw, wkładając jej w dłoń banknot o wartości stu peset. - Uwielbiam banany - dodała konspiracyjnym tonem.

Boy hotelowy wziął klucz do pokoju panny Shaw.

- Kolację podajemy o dwudziestej - poinformowała Annette.
- Jesteś taka miła - odrzekła staruszka i ruszyła za boyem w kierunku windy.

Zabawna kobietka, pomyślała Annette. I to, jak mówi o bananach, jakby to była heroina.

. . .

Z chwilą gdy Jencks ją zobaczył, zapragnął jej. Siedziała na barowym stołku w szmaragdowozielonej sukience z okrągłym dekoltem i falbaną na spódnicy. Założyła nogę na nogę, przez co materiał odsłaniał kolana. Nie nosiła pończoch, ale nogi miała mocno opalone. Głęboki dekolt podkreślał krągłości obfitych piersi. Jej twarz, okolona krótkimi włosami koloru miodu, była słodka i niemal dziecięca; niebieskie oczy skrywały firanki długich rzęs, a dołeczki w policzkach były czarujące.

Była dużą dziewczynką, wysoką i dobrze zbudowaną. Otaczała ją grupka pięciu, sześciu napalonych mężczyzn. Wśród nich był cherylawy, pryszczaty dzieciak z college'u, który wyglądał na jej towarzysza. Jencks zapałał do niego sympatią; było oczywiste, że nie poradzi sobie z taką dziewczyną.

Jeden z mężczyzn powiedział coś, co ją rozbawiło. Odchyliła głowę i roześmiała się, odsłaniając równe perłowobiałe zęby. Był to celowy zabieg, który sprawił, że mężczyźni otworzyli oczy ze zdumienia i zaczęli szybciej oddychać. Dziewczyna zdjęła nogę z nogi, wyprostowała stopę w pantoflu bez pięty na wysokim obcasie i postawiła ją na podłodze. Ruch ten obnażył szczupłe, jędrne, młode udo. Mężczyźni wiercili się na krzesłach. Dzieciak wyglądał, jakby

było mu niedobrze.

Jencks patrzył na to wszystko z rosnącym zainteresowaniem. Logika podpowiadała mu, że ma kilka opcji i pokrótce rozważył każdą z nich. Ostatecznie przekonał go widok wyprostowanej nogi - dziewczyna była bezpośrednia i bezwstydna. Podszedł do grupy i wziął ją za rękę.

Dziewczyna sączyła drinka i spojrzała na niego zaskoczona.

- Alice - zaczął zdyszany. - Dzięki Bogu! Wszędzie cię szukam.

Zawahała się, nie wiedząc, jak zareagować. Spojrzała na niego, chłodnym, taksującym wzrokiem, jakby próbowała odgadnąć jego intencje. Ona wie, pomyślał. Dobrze wie.

- Henry! - pisnęła. - Tak się cieszę, że przyjechałeś. Proszę, zabierz mnie stąd, byle dalej od tych przerażających nudziarzy.

Mężczyźni zzielenieli z wściekłości. Dzieciak zacisnął pięści i poderwał się z krzesła.

- Oczywiście, kochanie - odparł Jencks. - Chodź ze mną.

Uklonił się i rzucił przyszczatemu ostrzegawcze spojrzenie. Chłopak rozluźnił pięści i usiadł z powrotem. Nieźle wyszkolony gnojek, pomyślał Jencks.

Zaprowadził dziewczynę do stolika w kącie sali, świadomy tego, jak kręciła biodrami i ściągała na siebie spojrzenia facetów przy barze. Kiedy usiedli, zamówił dwie szkockie. Jencks nie pijał szkockiej, ale zamierzał zadbać o to, żeby dziewczyna wypila jego drinka. Spojrzała na niego, na grupę zdumionych mężczyzn i znowu na niego.

- Steven Jencks - przedstawił się. - Bardzo mi miło panią poznać.

- Jenny Cameron. Gdzie pan wysiada? - Udawała obrażoną, ale kiepsko jej to wychodziło.

- Nigdzie. Dopiero wsiadłem.

Patrzyła mu w twarz, która - Jencks dobrze to wiedział - nie należała do najprzystojniejszych. Zatrzymała wzrok na jego oczach. Połknęła haczyk. Teraz trzeba powoli wyciągnąć ją na brzeg. Jencks, choć nie był zarozumiały, był pewny siebie i wiedział, na co go stać. Zdobędzie tę dziewczynę.

- Chojrak z ciebie, co? - rzuciła.

- Nie mówisz na podstawie własnego doświadczenia.

- Nie wiem, czy chcę. - Sięgnęła po torebkę i wykonała szereg drobnych ruchów, które sugerowały, że zamierza odejść od stolika. Była jednak absurdalnie powolna, jakby chciała mieć pewność, że on zdąży zareagować.

Jencks nie reagował. Zawahała się i zrezygnowana otworzyła to-

rebkę, żeby wyciągnąć papierosa.

- Masz zapalniczkę?
- Nie, nie palę.

Przez moment wyglądała na zdziwioną. W końcu wzruszyła ramionami i zapaliła papierosa własną zapalniczką.

- Czym się zajmujesz? - spytała.
- Różnymi rzeczami. A ty?
- Studiuję. Na Wellesley.
- On też studiuje na Wellesley?
- Peter? Prawie. - Roześmiała się gorzko.
- Jesteście przyjaciółmi czy tylko znajomymi?
- A na kogo wyglądamy?

Prawdziwa zdzira, pomyślał Jencks. Perfekcyjna, niewiarygodna zdzira. Poczul, że budzi się w nim pożądanie.

- Wyglądacie tak - zaczął - jakbyście się ledwie znali.
- I dobrze - odparła, wydmuchując w stronę sufitu nitkę dymu.

Nawet sposób, w jaki trzymała papierosa, wydał mu się wyniosły. - Dlaczego mnie podrywasz?

- Nie podrywam cię. Dałem ci okazję do wyrwania się z tego kręgu nudziarzy. Ty ją wykorzystałaś.

Nie pozwól jej odejść, pomyślał. Niech przejmie inicjatywę. I pozwoli, bardzo ostrożnie wyciągaj ją na brzeg.

- To twoja opinia - oznajmiła.

Kelner przyniósł drinki i dziewczyna wychyliła swojego za jednym podejściem. Popisuje się, pomyślał Jencks, ale robi to w tak oczywisty sposób. Nagle dotarło do niego, jak bardzo jest młoda, i zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie popełnił błędu. Mogła być małą dziewczynką, która za wszelką cenę próbuje dorosnąć.

- Ile masz lat? - spytał.
- Wystarczająco dużo, żeby wiedzieć, co robię.
- To nie jest odpowiedź.
- Dwadzieścia. Dlaczego pytasz?
- Z ciekawości.
- A ty? Ile masz lat?
- Osiemdziesiąt siedem - odparł.
- Nieźle się trzymasz - zauważyła.
- Chwytam aligatory gołymi rękami.
- Brzmi interesująco.
- Wiem, jak postępować ze stworzeniami, które trudno okiełznać.

- To ma być wyzwanie?
- Nie, po prostu stwierdzam fakt.
- Nie jestem pewna, czy ci wierzę - odparła. - Nie wyglądasz na kogoś, komu można zaufać.

- To bardzo rozsądnie z twojej strony.

Dziewczyna zamilkła, zupełnie zdezorientowana. Jencks tylko na to czekał. Podsunął jej swojego drinka.

- Nie chcesz?
- Nie piję.
- Nie palisz i nie pijesz. Wygląda na to, że jest wiele rzeczy, których nie robisz.

Jencks westchnął, jakby zirytowała go ta uwaga.

- Robię to, co mnie interesuje.
- A co pana interesuje, panie Jencks? - rzuciła kpiąco.
- Fizyka kwantowa.
- Och. - Zamilkła. - Jesteś w tym dobry?
- Zazwyczaj tak.
- Zawsze jesteś taki okropny, czy to jakaś wyjątkowa okazja?
- Staram się mówić swoim pacjentom to, co chcieliby usłyszeć.
- Jesteś lekarzem?
- Psychiatrą.
- Fascynujące. Znałam kiedyś psychiatrę, łysego, zabawnego człowieczka z haczykowatym nosem, takim jak twój. Wypytywał mnie o moje życie seksualne. Ty też będziesz mnie o to pytał?

- Nie. Nie interesuje mnie twoje życie seksualne.

To ją zabolalo. Pochyliła się nad stołem, odsłaniając zawartość głębokiego dekoltu.

- Dlaczego? - spytała.
- Bo mam wrażenie, że niewiele się w nim dzieje.
- Mylisz się.
- Bardzo możliwe, ale jakoś w to wątpię. Zwłaszcza jeśli uczestniczy w nim tamten koleś z Wellesley.

- Jest bardzo bogaty.

- Za pieniądze nie kupisz twardego kutasa.

Jednym haustem wypila drinka.

- Posłuchaj, jeśli myślisz, że będę tu siedziała i pozwalala się obrażać, jesteś...

- Kolacja? - spytał łagodnie.

Zawahała się i obdarzyła go fałszywym uśmiechem anioła.

- Z chęcią. Będę mogła opowiedzieć ci więcej o moim psychia-

trze. Miał dziwnie małą brodę, zupełnie jak twoja. Zresztą jest między wami niesamowite podobieństwo.

- Ciekawe - zauważył Jencks i wstał od stolika.

Spojrzała na niego.

- Teraz idziemy na kolację?

- Tak - odparł.

Nie dotknął jej, kiedy wyszli z baru i skierowali się w stronę sali restauracyjnej.

• • •

O 22.30 Miguel, który siedział w holu i czytał gazetę, podniósł wzrok i zobaczył ostatnich gości przybywających tego dnia do hotelu. Niemal się zakrztusił.

Nowym gościem okazał się gruby, rumiany mężczyzna w pogniecionym garniturze. Niskawy, łysiejący, z chytrym uśmiechem i zwinnymi rękami. Palce mu drżały, gdy meldując się, opuścił ręce wzdłuż ciała.

Big Brad Allen.

Co on tu, u diabła, robił?

Allen rozejrzał się po holu i Miguel ukrył się za gazetą. Chwilę później zaryzykował i delikatnie się wychylił. Nie było wątpliwości. Brad Allen. Gdzie widział go po raz ostatni? Pewnie w Nassau, kiedy Big Brad został oskarżony o prowadzenie fikcyjnej agencji nieruchomości, która sprzedawała grunt na nieistniejących wyspach. Wywinął się wtedy; zawsze się wywijał. Był największym i najsprytniejszym oszustem, jakiego Miguel miał okazję poznać.

Allen świetnie czuł się w roli błazna; jego natura i temperament pomagały mu w tym. Niechłujny z wyglądu, bezpośredni i głupkowaty w swoim zachowaniu, sprawiał, że ludzie wierzyli, że mają do czynienia z durniem. To była jego specjalność, jego jedyny talent, który - jak można było się tego spodziewać - uczynił go bogatym człowiekiem.

Co on tu robi? Miguel po raz kolejny zadał sobie to pytanie. Przychodziło mu do głowy kilka odpowiedzi, ale żadna go nie uspokoiła. Jutro z samego rana będzie musiał porozmawiać o tym z Jencksem.

• • •

Dochodziła północ, gdy wyszli z klubu nocnego. Jencks był

zadowolony; to był udany wieczór. Dziewczyna atakowała go przy kolacji, a on skutecznie odpierał każdy jej cios. Kiedy szli do klubu, jej złość przerodziła się we frustrację, on jednak wciąż nie dawał jej możliwości. Powoli stawała się coraz bardziej potulna i uległa, wiedział jednak, że jeszcze nie powiedziała ostatniego słowa. Była zmęczona i za dużo wypila. Rano na pewno wymyśli coś nowego.

- Dokąd idziemy? - spytała Jenny.

- Do łóżka - odparł.

- Myślisz, że jesteś panem świata? - Wydęła usta. Mówiła niewyraźnie, z południowym akcentem, przeciągając samogłoski. Była pijana.

- Nie - odparł. - Ale jestem panem swojego łóżka. Dobranoc. -

Uśmiechnął się do niej. - Trafisz sama do pokoju?

Spojrzała na niego z niedowierzaniem i zakłopotaniem.

- Co? Tak po prostu mnie tu zostawisz?

- Cóż, jeśli chcesz, odprowadzę cię do pokoju, ale jesteś przecież dużą dziewczynką.

- Tak - przyznała, uśmiechając się lubieżnie.

- To dobrze. W takim razie sama trafisz do pokoju. Dobranoc.

Zostawił ją; widział, że chciała coś powiedzieć, ale ugryzła się w język.

Był na końcu korytarza, gdy usłyszał, jak powtarza:

- Myślisz, że jesteś panem świata!

CZWARTEK, DZIEWIĘTNASTY CZERWCA

Rankiem obudził go telefon. Jencks przewrócił się na bok i sięgnął po słuchawkę.

- Halo?
- Steve, kochanie.

Natychmiast oprzytomniał.

- Dzień dobry, panno Cameron.
- Mów mi Jenny. - Jej głos był niczym miękki, pełen podtekstów

pomruk.

- Jak sobie życzysz.
- Chciałabym się dziś z tobą spotkać - wyznała po chwili.

Pewnie, że tak, pomyślał. Przegrywająca hazardzistka chciałaby się odkuć w następnej rozgrywce. Cóż, powodzenia.

- Cudownie - odparł.

Słyszał, jak zaciąga się dymem papierosowym.

- Masz samochód?
- Oczywiście.

- A masz w baku trochę paliwa? - I nie czekając na odpowiedź, dodała: - Pomyślałam, że moglibyśmy gdzieś wyskoczyć.

- Brzmi nieźle. Masz na myśli jakieś konkretne miejsce?

- Nie, po prostu mam ochotę się przejechać. Możesz to załatwić? - spytała uwodzicielsko.

Niemal widział, jak siedzi przy telefonie, pali papierosa i zastanawia się nad każdym słowem. Musiał przyznać, że odwaliła kawał dobrej roboty.

- Myślę, że tak. Podaj tylko godzinę.
- Dziesięć minut to za wcześnie? - Wydawała się skruszona, a zarazem podekscytowana.

A niech cię, pomyślał.

- Ależ skąd - odparł, patrząc na szafę i zastanawiając się, co na siebie włożyć. Nie zje śniadania, ale trudno. Nauczyciele też pracują o

tak podłych porach. On jednak liczył, że zostanie sownie nagrodzony za swoje starania.

- Spotkamy się przed wejściem - rzuciła. - Do zobaczenia, Steve.

Zapraszająco przeciągnęła samogłoski, po czym się rozłączyła. Jencks wyszedł z łóżka i w pośpiechu włożył spodnie i lekki sweter. Goląc się maszynką elektryczną, patrzył w lustro i myślał, co takiego zaplanowała Jenny. Jego zwyczaj przewidywania wydarzeń rzutował na związki z kobietami, jednak Jencks bardzo go sobie cenił. Nie miał cierpliwości do mężczyzn, którzy zarzekali się, że nigdy nie zrozumieją kobiet. Jencks zawsze je rozumiał.

Ogolił się, wyszedł z pokoju i zjechał windą do holu. Na zewnątrz czekała na niego Jenny, ubrana w białą bluzeczkę bez rękawów i jasnoniebieską spódnicę, która pasowała do jej oczu. Po przespanej nocy prezentuje się rewelacyjnie i bardzo seksownie, pomyślał. Pod cienkim materiałem bluzki rysowały się duże, kształtne piersi, podtrzymywane koronkowym biustonoszem. Jencks uważał, by nie gapić się na nie.

- Dobrze wyglądasz - zauważył.

- I dobrze się czuję - odparła niskim głosem. Spuściła skromnie wzrok i pomasaowała udo przez materiał spódnicy.

Nie marnowała czasu.

Parkingowy przyprowadził samochód. Był to biały kabriolet Carvalle. Złożyli dach.

- Ładne auto - stwierdziła Jenny - ale zbyt kobiece. No i ma silnik o zbyt małej mocy.

- Mnie to nie przeszkadza - odparł Jencks. - Poza tym jest wynajęty.

Wzruszył ramionami, usiadł w fotelu kierowcy i wyjechali przez most na krętą drogę, która przytulała się do skalistego wybrzeża. Był piękny dzień, gorący i słoneczny. W powietrzu unosił się zapach sosen. Jenny zrzuciła sandały i odchyliła głowę, pozwalając, by wiatr rozwiewał jej włosy. Wydawała się dumna, zmysłowa i oszłamiająco piękna. Patrząc na nią, zastanawiał się, czy wytrzyma do czasu, gdy terapia Jenny dobiegnie końca.

- Dobrze spałeś? - spytała z lekkim uśmiechem. W jej policzkach pojawiły się urocze dołeczki.

Wiedział już, że wytrzyma.

Z serpentyn rozpościerały się urocze widoki na błękitną wodę i czerwone klify nadbrzeża. Wiejący od strony morza delikatny wiatr tworzył na powierzchni wody niskie grzywacze. W oddali statek

wycieczkowy płynął na południe, w kierunku Tossa del Mar i Barcelony.

- Dokąd jedziemy? - spytał.

- Ty prowadzisz. Mnie jest wszystko jedno. Nie przyjąłabym twojego zaproszenia, gdyby nie fakt, że potrzebowałam uwolnić się od tego idioty Petera. - Urwała, przypominając sobie ich poranną rozmowę. - To znaczy, ja...

- W porządku - odparł Jencks. - Rozumiem cię. - I rzeczywiście ją rozumiał. Chciała być uwodzicielska, ale nie potrafiła nad sobą zapanować.

Jenny w milczeniu paliła papierosa. Samochód wyjechał zza kolejnego zakrętu i daleko w dole zobaczyli wąski pasek białej plaży, ukryty między skalistymi ścianami.

- Mam ochotę popływać - oznajmiła Jenny. - Jedźmy tam.

Jencks wiedział, że nie wzięła kostiumu kąpielowego.

- Prawdę mówiąc - zaczął - ja nie bardzo mam ochotę. Ale z przyjemnością popatrzę, jak się kąpiesz. - Mówiąc to, zjechał na pobocze.

Jenny zawahała się.

- Nieważne - rzuciła. - Wykąpię się w basenie, jak wrócimy do hotelu.

Jencks bez słowa wrzucił bieg i wyjechał na drogę. Dziewczyna rzuciła niedopałek na wiatr i przez chwilę wierciła się na siedzeniu. Kątem oka zauważył, że rozpięła guzik bluzki. Pęd powietrza rozwił materiał, obnażając fragment piersi. Znowu zmieniła pozycję, uniosła nogi i oparła bosc stopy o deskę rozdzielczą. Materiał sukienki zsunął się, odsłaniając pełne, opalone uda.

- Bardzo dziś ciepło - zauważyła.

- Powinnaś włożyć coś lżejszego.

Wzięła głęboki oddech i rozpięła kolejny guzik. Wsunęła dłoń pod materiał i powolnym, leniwym ruchem dotknęła piersi.

- Uważasz, że mam ładne ciało?

- Bardzo.

- Nawet na nie nie spojrzełeś.

- Oczywiście, że spojrzełam. Patrzę na nie, odkąd cię poznałem.

- I co o nim myślisz? - Materiał spódnicy zsunął się jeszcze niżej, odsłaniając rąbek niebieskich koronkowych majtek.

- Jest bardzo ładne.

- Interesuje cię?

- Zainteresowałoby każdego faceta do dziewięćdziesiątki. Może

nawet starszych.

Bardzo naciska, pomyślał. Aż do przesady. To dobrze; znaczy, że niedługo pęknie.

- A ty? Ile masz lat? - W zamyśleniu wodziła dłonią po jędrnym udzie.

- Trzydzieści osiem.

No dalej mała, pomyślał. Zachichocz i powiedz, że ty też. Zaskoczyła go jednak. Głos nadal miała chłodny.

- A nie dziewięćdziesiąt?

- Jestem mądry jak na swój wiek.

Zastanawiała się przez chwilę.

- Jesteś pedziem? - spytała niewinnie.

W życiu, pomyślał.

- Chcesz się przekonać?

- Może tak. Może nie.

Wyciągnął rękę i ojcowskim gestem poklepał ją po kolanie.

- Zaczekam, aż się zdecydujesz.

Była wściekła, ale nic nie powiedziała.

Jencks postanowił rozładować napięcie.

- Zjesz ze mną kolację? - spytał, choć ton, jakim to powiedział, sugerował, że ona może odmówić. Wiedział, że mógł być bardziej stanowczy i poinformować ją, że zjedzą razem kolację. Dawał jej jednak możliwość, by na powrót stała się zdziwą; szansę, którą mogła wykorzystać. Z zainteresowaniem czekał na odpowiedź.

- Tak - odparła. - Zjem. O której?

- O dwudziestej pierwszej? - Znowu było to pytanie, nie stwierdzenie.

- W porządku. Dziękuję - dodała niechętnie.

Pokiwał głową, nie odrywając wzroku od drogi. Była przygaszona, ale coś mu mówiło, że to jeszcze nie koniec walki.

. . .

Bryan spotkał się z Annette przy basenie z wodą morską. Annette miała na sobie biały bawełniany pulower i różowe rybaczki. Wyglądała świeżo i ponętnie.

- Cześć - powitała go. Zauważył, że trzymała pod pachą zwinięty w rulon ręcznik, i dziękował Bogu, że wziął ze sobą kąpielówki.

- Dokąd idziemy?

- Może się przejdziemy? - Widząc, że się zgadza, dodała: - Pracuję tu od roku i dobrze znam wybrzeże. Jest tu urocze miejsce, do

którego możemy pójść, jeśli nie przeszkadza ci przedzieranie się przez jeżyny.

- Wchodzę w to.

Przeszli na przód budynku, minęli most i skręcili w kierunku wzgórz. Szli ścieżką, wąską i ledwo widoczną, ale jednak ścieżką, która pięła się w górę piaszczystego, czerwonego wzniesienia i opadała po drugiej stronie. Wkrótce hotel zniknął im z oczu. W pobliskich karłowatych sosnach śpiewały ptaki, wiał delikatny wietrzyk. Z czasem ścieżka się urwała i Annette skręciła w prawo, w stronę morza. Cierniste krzewy czepiały się jego nóg; teraz rozumiał, dlaczego włożyła spodnie.

Schodzili w dół, starając się utrzymać równowagę na piaszczystej ziemi, która usuwała się im spod stóp. W końcu dotarli do ukrytej wśród skał niewielkiej plaży.

- Jesteśmy dwa kroki od hotelu - oznajmiła Annette. - Nie sądzę, by ktoś poza mną, a teraz także tobą, wiedział o istnieniu tego miejsca. - Powiedziała to konspiracyjnym tonem jak dziecko, które mówi koleżdze o tajnym domku na drzewie.

- Nikomu nie powiem - obiecał. W panującej dookoła ciszy słychać było chłopot wody na kamienistej plaży.

Bryan miał świadomość, że poza nimi nie ma tu nikogo i w pewnym sensie czuł się za nią odpowiedzialny. Annette stała obok, czekając na jego reakcję. Pocałował ją, delikatnie, prawie niechętnie.

- Jak ci się tu podoba?

- Jest pięknie.

Nie wiedząc czemu irytował go fakt, że pocałunek nie wywarł na niej większego wrażenia. Wszystko to było denerwujące i targały nim sprzeczne emocje.

Rozłożyła ręcznik i na rogach przycisnęła go kamieniami. Położyła na nim zielone bikini, wstała i spojrzała na Bryana.

- Masz ochotę podziwiać widoki?

- Owszem.

Wskazała ocean. Posłusznie odwrócił się do niej plecami. Usłyszał, jak rozpina rozporek, a potem miękki szelest materiału, kiedy zdejmowała spodnie. Chwila ciszy, delikatny trzask - biustonosz - i znowu cisza. Nie czuł nic, a już na pewno nie erotyzm, którego się spodziewał. Wręcz przeciwnie; miał wrażenie, że jest daleko stąd, patrzy z góry na maleńką plażę, na mężczyznę, który spogląda na morze i kobietę, która rozbiera się za jego plecami. Była to dziwna wizja, samotna i surrealistyczna.

Wzruszył ramionami i zapalił papierosa.

Stała przed nim i przyjęła komiczną pozę jak dziewczyna z rozkładówki.

- Zdałaś egzamin - rzucił żartobliwie. - Popływamy?

- Zaczekam na ciebie w wodzie - odparła i chwilę później zanurkowała w morzu.

Bryan włożył kąpielówki, zastanawiając się, co tak naprawdę czuje, ale nie był w stanie tego określić. Z ulgą zanurzył się w wodzie i popłynął w stronę Annette.

Nieco później wylegiwali się na słońcu i czuli, jak sól wysycha im na skórze. Bryan położył się na boku i z głową wspartą na ręce przyglądał się Annette, która leżała na plecach z twarzą zwróconą do słońca. Jej widok przywołał obraz Jane leżącej w łóżku i odgłos deszczu dudniącego o szyby. Nagle ogarnęło go uczucie, które mogło być wyrzutami sumienia albo żalem.

Rozmawiali przez godzinę i była to owocna rozmowa; Bryan zdobył sporo ważnych informacji, zwłaszcza o porządku zajęć Bonnarda i nocnej zmianie. Odkrył, że w nocy nikt nie pilnuje pomostu i basenów, a to wyjątkowo istotny fakt. Kolejną ważną informacją było to, że większość pracowników mieszka na lądzie - Jencks nie był pewien, ilu z nich nocuje na wyspie. Dowiedział się także, którzy goście byli szczególnie zamożni.

Kiedy w końcu postanowili spędzić resztę dnia w Geronie, jakaś jego część była zadowolona. Inna natomiast poczuła smutek, mając świadomość tego, czego najbardziej się obawiał - że coraz bardziej lubi Annette.

. . .

Stojąc przy basenie, Miguel odgarnął liście palmy doniczkowej i patrzył, jak Big Brad Allen człapie po betonowym tarasie. Mężczyzna podszedł do niskiej staruszki z bananami i przysiadł się do jej stolika. Z pewnością nie brakowało mu tupetu. Rozmawiali przez kilka minut, po czym staruszka odłożyła książkę i skupiła całą uwagę na swoim rozmówcy.

Miguela zaniepokoił ten widok. Obudził się późno i odkrył, że ani Jenksa, ani Bryana nie ma w hotelu. Nie wiedząc, co ze sobą zrobić, przez cały ranek śledził Allena, który obłudnie zagadywał kolejnych gości, śmiał się i kupował drinki. Z daleka wyglądało to na jakiś kant, ale nigdy nic nie wiadomo.

Allen skończył rozmawiać ze staruszką i wstał od stolika. Wskazał

na jej pustą do połowy szklanke, na co kobieta pokręciła głową. Ukłonił się grzecznie i odszedł. Chwilę później rozmawiał już z chudzielcem w dużym słomkowym kapeluszu. Najwyraźniej zależało mu na tym, żeby poznać wszystkich gości.

Miguel wstał i wszedł do holu. Przechodząc obok windy, zastanawiał się, czy nie odwiedzić Cynthii, ale się rozmyślił. Nie był w nastroju na spotkania.

W recepcji zauważył dyrektora hotelu.

- Przepraszam - zaczął. - Chciałem o coś zapytać.

Pan Bonnard miał równie przepraszającą minę.

- Wczoraj wieczorem w hotelu zameldował się potężny mężczyzna o czerwonej twarzy. Jest teraz przy basenie. Jestem pewien, że go znam; prawdopodobnie robiliśmy razem interesy, ale nie pamiętam, jak się nazywa. Może mógłby mi pan pomóc?

- Sądzę, że tak. - Pan Bonnard jeden po drugim przerzucał formularze, aż znalazł ten, o który mu chodziło i położył go na biurku. Miguel zerknął na papier od niechcenia.

- To pan Brady, Alan Brady.

Miguel ściągnął brwi i podrapał się w głowę.

- Brady, Alan Brady. - Nagle strzelił palcami. - Ależ oczywiście, Al Brady!

Pan Bonnard się uśmiechnął.

Miguel odpowiedział tym samym.

Wciąż się uśmiechając, odszedł od biurka i wrócił nad basen. Rzucił okiem na kartę i znalazł już numer pokoju -51.

Przy basenie Brady zagadywał dziewczynę w bikini w niebiesko-białą kratkę. Dziewczyna nie sprawiała wrażenia zainteresowanej. On zresztą też. Miguel usiadł przy palmie doniczkowej i przyglądał się im. Zauważył, że żaden z gości, którzy zdążyli już poznać Brady'ego nie zwracał na mężczyznę uwagi; nie interesowały ich jego podchody. Poniekąd świadczyło to o niebywałych umiejętnościach Alana.

. . .

- Naprawdę? - spytał Jencks.

- No cóż, tak - odparła kobieta. Siedzieli przy barze, popijając lemoniadę. Była wysoką, kościstą Amerykanką i zachowywała się jak arystokratka. - Zawsze kąpałam się w szampanie. Oczywiście nie w samym szampanie, dolewałam do wody butelkę albo dwie. Wytrawny szampan jest po prostu cudowny. Namówiłam nawet swoją przyja-

ciółkę Gertrude. Zawsze powtarzam, że jeśli ona może, to każdy może. Gertrude to najbardziej drętwa osoba, jaką znam. Widać to nawet po sposobie, w jaki gra w brydża. Taka jest drętwa.

Jencks pokiwał głową ze zrozumieniem. Pani Cleeves kontynuowała monolog o ludzkiej drętwocie, okraszając go przykładami z życia przyjaciółki. Była zamożną nudziarą w średnim wieku, pochodzącą z Connecticut, jednak cierpliwie jej słuchał. Swoimi sporadycznymi pytaniami spychał rozmowę na odpowiednie tory, a jego rozmówczyni odpowiadała, odczochno zagłębiając się w najdrobniejsze szczegóły. W końcu wyznała, że podróżuje sama - bez Erika, koszmarnego, drugiego męża - żeby spotkać się ze swoim bratankiem, który pracuje w Afganistanie dla organizacji humanitarnej. Kiepska praca, ale wie pan, jacy są młodzi. Mimo to podróż była żmudna i pani Cleeves wciąż musiała się martwić o swoje „rzeczy”. Właściwie nie wiedziała, po co je wzięła; biżuteria z pewnością nie przyda się jej w Afganistanie. Podejrzewała, że to siła przyzwyczajenia. Jencks pokiwał głową ze zrozumieniem. Pół godziny później znalazł numer jej pokoju, a piętnaście minut potem szukał pretekstu, by się od niej uwolnić.

Przy wejściu do baru zobaczył Miguela, który przywołał go skinieniem.

- Proszę wybaczyć - przeprosił Jencks. - Ale muszę porozmawiać z tamtym mężczyzną. Było mi niezmiernie miło.

Oddalił się, zanim zdążyła zaprotestować.

- Coś nie tak? - spytał.

- Tak. Mamy tu oszusta.

Jencks uniósł brwi. Nie wiedzieć czemu, spodziewał się tego.

- Duży, gruby facet - ciągnął Miguel. - Nazywa się Brad Allen. Zameldował się na nazwisko...

- Alan Brady - dokończył Jencks.

- Znasz go?

- Pożyczył sobie mój paszport w samolocie z Madrytu do Barcelony. Obejrzał go i podrzucił mi z powrotem. W Barcelonie wysłał za mną ogon. Jest z nim taki chuderlawy gość?

- Nie - odparł Miguel.

- Co on kombinuje?

- Z tego, co wiem, facet jest oszustem. Jednym z lepszych w swoim fachu.

- Wyobrażam sobie.

Miguel zapalił papierosa.

- Zatrzymał się w pokoju pięćdziesiąt jeden. Mam go przeszu-
kać?

- Nie - odparł Jencks. - Jeszcze nie teraz. Muszę się nad tym
zastanowić.

Odszedł zatopiony w myślach. Wszystkie wcześniejsze obawy
wróciły ze zdwojoną siłą. To nie mógł być zwykły zbieg okoliczności.
Szanse, że coś takiego się wydarzy, były naprawdę znikome. Brady
musi go śledzić; o coś mu chodzi albo czegoś się boi.

Rozważył wszelkie możliwości i tak jak poprzednio nie doszedł do
zadnej konkluzji. Jeśli Bryan się nie wygadał - co było mało
prawdopodobne - Brady nie miał prawa wiedzieć o planach Jencksa.
Dlatego musiał przyjechać tu w innym celu. To jedyne logiczne
wy tłumaczenie.

Nie podobało mu się to wszystko. Jego umysł to akceptował, ale
instynkt się buntował. Była tylko jedna rzecz, którą mógł zrobić.
Poszedł nad basen, żeby omówić szczegóły z Miguelem.

. . .

- Chyba oszalałaś - warknął Peter.

- Zamknij się i nie rób scen - odparła Jenny. Wskoczyła do wody
i włożyła narty wodne. Stojąca nieco dalej motorówka pracowała na
jałowym biegu.

- Chciałem z tobą porozmawiać, nie jeździć na nartach wodnych.

- Możesz ze mną rozmawiać, ale nie zepsujesz mi zabawy.
Idziesz czy nie? Nie będę czekała cały dzień.

Wściekły wskoczył do wody i mocował się z gumowym oparciem
dla nóg. Nie był najlepszym pływakiem i miał problemy z utrzyma-
niem się na wodzie. Z nartami wodnymi też nie radził sobie najlepiej;
raz czy dwa próbował jeździć. Uważał, że to niebezpieczny sport, jak
wspinaczka górską czy nurkowanie bez kombinezonu w wodach
rojących się od rekinów. Jeżdżąc na nartach wodnych, człowiek mógł
złamać nogę albo - co gorsza - skrzyć kark. Szaleństwo.

- Jakies problemy? - spytała ze śmiechem Jenny.

- Nie. Zaraz będę gotowy. - Mówiąc, nałykał się wody i zaczął
kasłać. Sytuacja była żenująca.

- Może chciałbyś włożyć kamizelkę ratunkową? - spytała,
obserwując jego starania.

- Powiedziałem, że zaraz będę gotowy.

- Dobrze już, dobrze.

Mężczyzna na łodzi rzucił im dwie liny. Jenny chwyciła swoją i

podawała drugą Peterowi. Ich ręce spotkały się, ale był to chłodny, beznamiętny gest.

- Posłuchaj - zaczął Peter. - Chcę porozmawiać o naszych zaręczynach. Chcę, żebyś wiedziała, że twoje zachowanie...

- Gotowi? - zawołał mężczyzna na łódce.

Jenny pomachała ręką na znak, że oboje są gotowi, i spojrzała na Petera.

- Co mówiłeś?

W tym momencie łódź ruszyła i pociągnęła ich za sobą, z początku wolno, a później coraz szybciej. Peter czuł wiatr na mokrej od wody skórze; było mu zimno. Motorówka z każdą chwilą nabierała prędkości. Peter drżał i napinając mięśnie, starał się utrzymać równowagę.

- Tak? - zawołała ze śmiechem Jenny.

Rozjeżdżali się, on na lewo, ona na prawo.

- Nie wiem, w co ze mną pogrywasz! - krzyknął. - Ale się na to nie zgadzam. Rozumiesz?!

- Nie słyszę cię! - odkrzyknęła. On też ledwie ją słyszał.

Pochylił się, widząc, że zbliża się do niego. Jej lina świsnęła mu nad głową. Podskakując na nartach, z dudniącym sercem, przeciął kilwater i zamienili się miejscami.

- Łiii! - pisnęła Jane.

- Obrażasz mnie!

- Łiii!

- I zachowujesz się jak dziecko!

Roześmiała się.

- Ale ubaw, co?

- Nie! - wrzasnął.

Pokręciła głową ze współczuciem.

- Nie wciskaj mi bzdur! Żądam wyjaśnień.

- Przykro mi. Nie słyszę cię.

- Więc posłuchaj!

- Co mówiłeś? - Rozbawiona całą sytuacją nachyliła się w jego stronę. Chwilę później po raz kolejny ruszyła w jego stronę. Jak poprzednio Peter pochylił się i zamienili się stronami.

- Boisz się, skarbie?! - krzyknęła, mijając go.

- Niech cię!

Oddalali się od wybrzeża i wypływali na wzburzone wody. Coraz silniejsze podmuchy wiatru sprawiały, że Peter podskakiwał na wodzie. Miał problemy z utrzymaniem równowagi. Tymczasem Jenny bawiła się w najlepsze. Do diabła, gdzie ona się tego nauczyła?

Dała znak mężczyźnie i łódź zwiększyła prędkość. Jenny próbowała go skompromitować i czekała, aż się wywróci. Od początku to planowała; od początku chciała go upokorzyć.

- Za kogo ty się uważasz?! - krzyknął, ale sam ledwo słyszał własne słowa. Wiedział, że nie kłamała, kiedy kręcąc głową, pokazała mu, że nic nie rozumie.

Nagle coś szarpnęło jego lewą nogą, coś pociągnęło go do góry, zarzuciło nim na boki i z głośnym plaśnięciem wylądował w wodzie. Zimna toń zamknęła się nad jego głową. Kiedy wypłynął na powierzchnię, zobaczył, że motorówka zawraca i płynie w jego stronę. Minęła go i zwolniła. Jenny z gracją zatrzymała się obok niego.

- Nic ci nie jest?

- Nie, do diabła.

- Nie złość się, Peter. Mogłeś powiedzieć, że nie umiesz jeździć na nartach wodnych. Gdybym wiedziała, nie ciągnęłabym cię ze sobą.

- Nie ciągnęłaś mnie ze sobą i wiem, jak jeździć na nartach wodnych.

- Muszę przyznać, że jak na początkującego, całkiem nieźle sobie poradziłeś.

- Posłuchaj - zwrócił się do niej. - Dłużej tego nie zniosę. Masz jeden dzień na to, żeby zastanowić się nad sobą. Jeśli tego nie zrobisz, poniesiesz... poniesiesz konsekwencje.

Jenny pokiwała głową.

- Lepiej łap linę - odparła. - Zaraz ruszamy.

- Słyszałaś, co powiedziałem? - syknął przez zaciśnięte zęby.

- Tak, Peterze - odpowiedziała uspokajająco. - Słyszałam.

• • •

Jean-Paul zapukał do drzwi i czekał. Pod pachą trzymał paczkę zawiniętą w gazetę. Nerwowo rozglądał się po korytarzu, jednak w zasięgu wzroku nie było żywego ducha.

Zresztą nie musiał się martwić. Kto by wiedział? Kto by się domyślał?

Drzwi otworzyły się i jego wzrok napotkał spojrzenie ciemnoskórej piękności. Dziewczyna miała na sobie rozciągnięty sweter, który zakrywał jej biodra, ale długie, szczupłe nogi były gołe. Była boso.

- Tak?

- Jestem szoferem panny Shaw.

- Och. - Cynthia uśmiechnęła się promiennie. Podobały mu się

jej skośne oczy, ciemna skóra i pełne usta. Przede wszystkim jednak zwrócił uwagę na długie ciemne włosy, które opadały na ramiona.

- Proszę, wejdz.

Wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Dziewczyna podeszła do toaletki, wzięła drinka i upiła łyk. Była wyraźnie odprężona i zmierzyła go chłodnym wzrokiem.

- Nieźle - skwitowała. - Ale ciocia Elizabeth zawsze miała dobry gust, jeśli chodzi o mężczyzn.

- Ciocia Elizabeth?

- Tak. Naprawdę nie jest moją ciotką. Nazywam ją tak pieszczotliwie. Poznałyśmy się w Londynie jakiś czas temu. Gdzie cię znalazła?

- W Tangerze.

Cynthia w zamyśleniu pokiwała głową.

- No więc? - spytała.

- Och - rzucił Jean-Paul, przypominając sobie o gazecie. Rozmarzył się, patrząc na jej smukłe, umięśnione nogi. Zastanawiał się, czy miała na sobie cokolwiek poza swetrem i domyślał się, że nie.

Wręczył jej gazetę, którą ochoczo wyjęła z jego dłoni. Położyła ją na toalecie, rozpakowała i wyciągnęła szarą paczuszkę. Chodząc po pokoju, Jean-Paul zauważył polaroid.

- Widzę, że też go masz - stwierdził, biorąc aparat do rąk.

- Tak - odparła.

- To znaczy, że ty...

- Tak. Nieźle sobie z nim radzę.

- Ja także - pochwalił się Jean-Paul.

Zobaczył, że otworzyła szarą paczkę i spogląda na jej zawartość - porcjowany, zielony, ziarnisty towar. Wzięła szczyptę w palce, roz-tarta i się uśmiechnęła.

- To dobry towar. Dobry i czysty. Próbowaleś go kiedyś? - Patrzyła na niego; czuł, że go ocenia.

- Jasne - odparł.

Uśmiechnęła się.

- Może zostaniesz na chwilę? Zapalimy sobie.

- W porządku - zgodził się, próbując nie myśleć o jej nogach.

Dziewczyna usiadła na krześle i założyła nogę na nogę. Chwilę później uniosła jedną. Skóra była gładka i napięta, ciemnobrązowa i lekko natłuszczona.

- Mam na imię Cynthia - przedstawiła się i opuściła nogę.

- Jean-Paul.

- Wyglądasz na silnego faceta, Jean-Paul.

Wzruszył ramionami.

- Nie wstydź się. Lubię silnych mężczyzn. Może zrobisz kilka skrętów, a ja w tym czasie się przebiorę?

Pokiwał smętnie głową i rozczarowany patrzył, jak znika za drzwiami łazienki. Sięgnąwszy do kieszeni, wyjął paczkę marlboro i zaczął wykruszać jednego papierosa. Ze środka wypadały długie nitki tytoniu. Pracował metodycznie, aż została mu w palcach pusta papierowa tubka.

- Chcesz czystego czy zmieszanego z tytoniem? - zawołał.

- Czystego. - Wychyliła się z łazienki.

Włożył do ust pustą bibułkę i pochylił się nad kupką marihuany. Zrobił głęboki wdech i wciągnął substancję do gilzy, od czasu do czasu przerywając, by ubić ją zapalką. Gdy papieros był gotowy, Jean-Paul skrzył końcówkę i zabrał się do robienia kolejnego.

Cynthia wyszła z łazienki ubrana w bardzo obcisłe czarne spodnie i czarny obcisły sweter. Stopy wciąż miała gołe, a rozpuszczone włosy opadały jej na plecy. Podniosła jednego papierosa i delikatnie ścisnęła go w palcach.

- Nabijasz je jak profesjonalista - stwierdziła. Spojrzała na niego i ściągnęła brwi. - O co chodzi? Wydajesz się nieszczęśliwy. Nie podobam ci się?

- Wcześniej wyglądałaś lepiej - odparł Jean-Paul.

- Chciałaś powiedzieć, że wcześniej byłam bardziej rozebrana - skwitowała ze śmiechem. - Ale nie tak, jak byś chciał.

Jej śmiech był szczery i figlarny. Przypominał mu coś, ale Jean-Paul nie bardzo wiedział co.

- Zrób jeszcze dwa - poprosiła. - Ja przyniosę wody. Po ziole zawsze chce mi się pić.

Znowu zniknęła w łazience, a Jean-Paul pospiesznie nabił kolejne dwa skręty. Kiedy wróciła, wręczył jej jednego, sam wziął drugiego i zapalił oba. Usiadła na łóżku, a on naprzeciw niej w fotelu. Palili w milczeniu, patrząc na siebie.

- Musimy zrobić coś ciekawego - oznajmiła. - Szkoda byłoby zmarnować taką okazję.

Jean-Paul obdarzył ją lekkim uśmiechem. Pokój wypełnił się gryzącym, słodkim dymem, który przywodził na myśl zapach palonego cynamonu. Dziwne, zwłaszcza że Jean-Paul nie wiedział, jak pachnie palony cynamon.

Cynthia posłała mu kolejny figlarny uśmiech i dopiero teraz

przypomnił sobie, skąd go zna. To było w małej wiosce nieopodal Madrytu. W miarę ja marihuana zaczęła działać, zobaczył wszystko, jakby to było wczoraj.

Zatrzymał się na kawę w przydrożnej restauracji z widokiem na zakurzony plac i kamienną fontannę, z której miejscowi czerpali wodę i w której prali ubrania. Kiedy popijał kawę, do fontanny podeszła młoda dziewczyna o pełnych kształtach, ubrana w spłowiała, jasnoniebieską sukienkę. Miała brudne, splątane włosy, ale szczera, uśmiechniętą twarz i oczy, w których czaiła się obietnica. Była typową chłopką, prostolinijną i cudowną, i siedząc przy kawie, Jean-Paul zapragnął tej dziewczyny. Wrócił jednak do Madrytu i zapomniał o niej.

Zanim wypalił pierwszego skręta, poczuł zawroty głowy i dziwny chłód w okolicach kostek. To cholernie mocny towar, pomyślał. Cynthia leżała na plecach, na łóżku, delikatnie masując dłonią brzuch.

Nie zauważył, kiedy się położyła. Tracił kontakt z rzeczywistością; zioło opuszczało jego płuca i wędrowało wprost do mózgu. Niemal czuł, jak krąży w żyłach.

- Fajnie - zauważyła Cynthia, nie adresując tych słów do nikogo szczególnego.

Jean-Paul zamknął oczy i miał wrażenie, że otaczający go świat dryfuje leniwie. Był w ciepłej, wilgotnej dżungli pośród zielonych paproci. Chwilę później dżungla zniknęła, zastąpiona ciężkim od chmur, szarym niebem i szalejącą nad prerią śnieżycą. Po śnieżycy przyszedł czas na las - zimny i nieruchomy, a z lasu trafił wprost na pustynię, gdzie wirujący piasek bezustannie wdzierał mu się do oczu. Wizje minęły i spojrzał na Cynthię.

- *Bonjour* - powiedziała. - To wszystko, co umiem po francusku.
- Znam cię - oznajmił w dziwnym uniesieniu.
- Chcesz patrzeć, jak się rozbieram - odparła, z trudem wymawiając każde słowo. Mówiła powoli; słowa rozciągały się i wyginały jak cukierki ciągutki. Cukierki ciągutki? Znowu wrócił do świata marzeń, spadał jak jo-jo w dół klatki schodowej, obracał się i wirował...

Cynthia wstała z łóżka i stanęła przed nim. Robiła to wszystko w zwolnionym tempie.

- Możesz mnie rozebrać - oświadczyła.
- Dobrze - zgodził się i pomyślał, że jego własny głos brzmi jak kasetka puszczona na zwolnionych obrotach.
- A ja mogę rozebrać ciebie.

- W porządku. - Była to głupia odpowiedź, powolna i obojętna, ale nie mógł nic na to poradzić. Był zajęty sobą, czuł, jak jego ciało unosi się i obraca, wolno i przyjemnie.

Stanęła przed nim i kierując jego dłońmi, rozpinając kolejne guziki i zatrzaski. Rozpięte spodnie przypominały otwarty kielich kwiatu. Zsunął je do kostek i spojrzał na jej krocze. Niemal czuł bijący od niego żar. Obróciła się, a on rozpiął jej sweter. Nie mógł go dosięgnąć; minęły godziny, zanim dotknął ręką suwaka.

Cynthia cofnęła się, tak by mógł ją podziwiać. Wyglądała ślicznie i kusząco, gdy tak stała z uśmiechem na twarzy, napinając mięśnie nóg, z rękami na biodrach.

Jean-Paul milczał przez wiele godzin.

- Jesteś niesamowita - odezwał się w końcu. Jego oczy błędniały po jej ciele niczym dłonie, prześlizgiwały się po obojczyku, małych piersiach z twardymi sutkami, płaskim brzuchu z dużym pępkiem, krągłych biodrach i drżących udach.

Powolnym, leniwym ruchem dźwignął się z fotela.

Cynthia podeszła do niego i zaczęła rozpinąć guziki jego koszuli. Zsunęła mu ją z ramion i dotknęła jego piersi. Jej błyszczące, migdałowe oczy spoglądały na jego twarz. Jean-Paul czuł zapach jej perfum; jej ciało emanowało pożądaniem. Palce dziewczyny mocowały się z paskiem, guzikiem spodni i zamkiem błyskawicznym. W końcu materiał z miękkim szelestem opadł na ziemię. Sięgnęła ręką do bokserek i pieściła go przez chwilę, zanim zsunęła je do kostek.

Położyła się na łóżku i patrzyła na niego. Jean-Paul długo stał bez ruchu.

- To cudowne - odezwała się Cynthia. - Ja mogę patrzeć na ciebie, a ty możesz patrzeć na mnie. - Wybuchła gardłowym śmiechem. - Bo chcę na ciebie patrzeć. Chcę robić dużo więcej niż tylko patrzeć.

- Później będziesz mogła popatrzeć - odparł Jean-Paul i wyciągnął się obok niej na łóżku. Jego dłonie błędniały po piersiach i brzuchu dziewczyny; jej ciało emanowało blaskiem jak żarzące się węgle. Przyciągnęła go do siebie i pocałowała.

Jean-Paul położył się na niej i poczuł na piersi bicie jej serca. Wszedł w nią delikatnym, płynnym ruchem, rozkoszując się każdą sekundą tej magicznej chwili. Jej rozłożone zapraszająco nogi za drżały. Zanurzył się w niej, czując, jak ochoczo unosi biodra.

- Cudownie - mruknęła, całując go i obejmując za szyję. Czowała każdy jego ruch. - Wolniej, kochanie - wyszeptwała. Jej głos ciągnął się w nieskończoność. Potrzebowała dni, żeby dokończyć zdanie. - Wła-

śnie tak, cudownie powoli. Jak długie, powolne wahadło. Bardzo długie, kołysze się... kołysze. - Głos Cynthii był odległy. Jakby przemawiała do niego z końca ciemnego tunelu, choć umysł podpowiadał mu, że znajduje się gdzieś wysoko, ponad jego głowę. Ten głos ją zdradzał, mimo że dobiegał z tak bardzo daleka.

Powoli głąskał jej ciało. Czuł, jak faluje i zaciska się wokół niego. Miała tam mięśnie i wiedziała, jak ich używać. Było to cudowne, zmysłowe uczucie. Jak boa dusiciel, jak ugniatanie gumowej piłeczki, jak napinanie bicepsów. Objęła go nogami, by jeszcze wyżej unieść biodra i złapać wspólny rytm.

Jej piersi ocierały się o jego skórę. Czuł napięte mięśnie nóg dziewczyny.

- Boże, jak cudownie... jak bardzo cudownie. Tak, właśnie tak. Powoli.

Czuł się jak wąż, który gotuje się do ataku, jak naciągnięta sprężyna, przez którą lada chwila rozsypie się cały mechanizm.

- Cudownie. Tak, cudownie.

Tak powoli, tak bardzo wolno.

Bez końca.

Bez przerwy.

Chwilę później przywarła do niego całym ciałem, a jej mięśnie naprężyły się niczym struny. Jean-Paul miał wrażenie, że płynie na fali, mknie kolejką na szczyt góry i niczym rakieta wznosi się coraz wyżej i wyżej. Cynthia wydała z siebie zduszony krzyk; była jak pragnące wody rozchylone usta, jak otwarta skorupka małży.

Czas płynął.

Wstała i obeszła łóżko, przyglądając się mu ze wszystkich stron. Chodziła tak, a on wodził za nią oczami. Uśmiechnął się.

- To - zaczęła schrypniętym głosem niewiele głośniejszym od szeptu - był naprawdę wolny numerek. Jesteś gotów na coś szybkiego?

Nie wiedział, co miała na myśli, dopóki nie położyła się obok i rozciągnęła usta w szelmowskim uśmiechu. Pieściła go, delikatnie i powoli.

- Niespodzianka - rzuciła. - Wygląda na to, że jesteś gotowy na kolejne wyzwanie. A może to moje ekscytujące ciało, a nie twoje poczucie męskości?

Jean-Paul miał wrażenie, że tkwią w tym pokoju od wielu lat. Że od bardzo dawna są tu zupełnie sami. Razem.

Znowu stała przed nim, wodząc dłońmi po własnym ciele. Do-

tknęła piersi, pieściła je przez chwilę i bez słowa opuściła ręce. Sutki miała twarde i sterczące.

Twarz Cynthii emanowała spokojem. Jej ręce przesunęły się po udach i znieruchomiały na wzniesieniu łonowym. Odchyliła się i delikatnie wypchnęła biodra. Widział ją teraz w pełnej krasie. Czuł jej gorąco, zapach ciała emanującego pożądaniem. Poczuli, że znów sztywnieje.

• • •

Dla Cynthii świat był łódką kołyszącą się na spokojnych wodach pod mlecznobiałymi chmurami. Zrzuciła kotwicę, ale nadal kołysała się na boki; była senna, ale szczęśliwa. Czekala, aż niebo pociemnieje i nadejdzie sztorm. Powietrze było ciepłe i wilgotne od nadchodzącej burzy; nieruchome, woniejące i pełne oczekiwania.

Jak przez mgłę zobaczyła Jean-Paula, który leżał nagi na łóżku i przyglądał się jej. Oczy mu lśniły, a jego męskość szybko twardniała. Patrzyła na niego z nieskrywaną ciekawością; fascynowała ją ta rzecz, która lada chwila przyniesie jej ukojenie. Chciała wyciągnąć rękę i dotknąć go; poczuć, jaki jest twardy. Jej ciało było gotowe przyjąć go w sobie. Mięśnie ud drgały rytmicznie pod skórą, jakby szykowały się do tego, co zaraz się wydarzy.

Jeszcze raz dotknęła piersi i się przeciągnęła. Jean-Paul wyciągnął do niej rękę. Była świadoma każdego ruchu, najdelikatniejszego dotyku. Widziała kolory, które zmieniały się jak w kalejdoskopie... błękit indygo... ognista czerwień... płonący oranż... gorąca żółć.

Jej łódka szaleńczo kołysała się na boki; niebo przybrało barwę roztartej kredy. Powietrze przeszła rozgrzana do białości pierwsza błyskawica. Cynthia poczuła na twarzy delikatne krople deszczu, które natychmiast wsiąkły jej we włosy. Były ciepłe. Kolejna błyskawica rozerwała niebo, które otworzyło się i zamknęło. Było jak muszla małży, którą ktoś podważył i która zaraz potem się zamknęła. Zamykająca się muszla. Dłonie na muszli. Lepkie dłonie i stopy.

Owiewały ją na przemian fale chłodu i gorąca. Jean-Paul prowadził ją, popychał, rozbijał na części. Poczuli dotkliwy ból, który eksplodował w jej ciele niczym ziarno popcornu rzucone na rozgrzany tłuszcz. Zobaczyła białe światło i jej łódź dała się porwać fali. Płynęła do brzegu, gdzie przy wtórce grzmotów roztrzaska się o wyszczerbione skały. Cynthia runęła w dół i została wyrzucona na brzeg.

Krzyknęła, widząc, że nad jej głową rozpętała się burza. Była bezpieczna.

- . . .
- Wyglądasz na znudzonego, kolego - zauważyła panna Shaw.
 - Bo jestem znudzony - odparł Georges Dumas. - I to bardzo.

Był sam w hotelu, od momentu gdy tydzień temu kochanka została go - zadrżał na samą myśl o tym - dla akrobaty cyrkowego. I choć Louisa powiadomiła go telegraficznie, że przyjedzie do niego aż z Paryża, nie do końca wierzył w jej obietnicę. Louisa zawsze coś obiecywała. Westchnął. Był bardzo, bardzo znudzony.

- Potrzebujesz czegoś, co cię rozweseli.
- Ma pani rację.

Coś strasznego przyszło mu do głowy. Czy ta zasuszona starucha proponowała mu swoje usługi?

- Czegoś niezwykłego - ciągnęła panna Shaw. - Niekonwencjonalnego. Niebywałego.

- Tak - przytaknął powoli.
- Odważnego.

Pokiwał głową.

- Ekscytującego.

Georges Dumas spojrzał na nią.

- Co ma pani na myśli?
- Odrobinę przyjemności - odparła nonszalancko i machnęła bladą ręką. - Miksturę marzeń.

- Ma pani coś takiego?

Uśmiechnęła się i odchyliła w fotelu.

- Zainteresowany?
- LSD?

Próbował tego raz, w Sztokholmie. Cudowny towar - mocny i wyczerpujący. Miło wspominał tamto doświadczenie.

- Przykro mi - odparła panna Shaw. - Miałam trochę, ale się skończyło. A co powiesz na dobrą marihuanę?

Zatrzymał się i spojrzał na nią z lekkim zdziwieniem. Czy to możliwe, żeby ta słodka staruszka handlowała ziołem?

- Cóż - zaczął - jako przyjaciel, chętnie uwolnię panią od...
- Bardzo mi przykro - przerwała mu - ale interesują mnie koszty ogólne. W moim wieku trudno być kobietą biznesu, ale należy spróbować, prawda?

- Ile? - Georges Dumas zacisnął usta.
- Postrzegam siebie jako kogoś w rodzaju lekarza - stwierdziła panna Shaw. - Pomagam ludziom, leczę ich z depresji. Naturalnie,

ceny są ustalone według określonej skali.

- Ile? - powtórzył.

- Jeśli chodzi o interesy, wy, mężczyźni, jesteście tacy niemili. -

Mówiąc to, poklepała go po ręce. - Sześć tysięcy peset.

Sześć tysięcy peset to pięćset franków albo sto dolarów.

- Nie chcę dużo - oburzył się.

- Domyślam się.

- W porządku - odparł. - Wypiszę czek.

- Jako przesądna staruszka muszę wyznać, że odkąd sięgam pamięcią, ufałam tylko gotówce. Oczywiście rozumiesz. To kaprys starczego umysłu.

- Jak sobie pani życzy.

Georges Dumas wstał do wyjścia.

- Wpadnę później do pana - oznajmiła panna Shaw. - Około szóstej?

- Dobrze.

- Miło mi było pana poznać, panie Dumas. A tak przy okazji, jest pan spokrewniony z tym słynnym pisarzem?

- Nie - odparł. - Ani trochę.

Wychodząc, usłyszał, jak staruszka chichocze.

. . .

Jencks wszedł do baru tuż przed osiemną. Brady siedział pochylony nad drinkiem. Widząc to, usiadł obok.

- Witam - zaczął Jencks. - Cóż za niespodzianka.

Brady podniósł wzrok. Przez chwilę wydawał się zaskoczony, niemal szokowany. Zaraz jednak się rozpromienił.

- A niech mnie! - zawołał i poklepał Jencksa po kolanie. - Przecież to mój przyjaciel z Detroit. Jak podoba ci się w Hiszpanii?

- Nie narzekam. Postawić ci drinka?

- Zaskoczyłeś mnie - odparł Brady ze śmiechem. - Co cię sprowadza do hotelu Reina?

- Ciekawość - odparł Jencks. - Słyszałem, że to wyjątkowe miejsce.

- A czy takie nie jest? Moim zdaniem jest bajeczne. Dobrze się bawiłeś w Barcelonie?

- Tak.

- Spotkałeś się ze swoją dziewczyną?

Jencks udawał niepokieszonego.

- Niestety nie. Miała przylecieć z Monachium, ale...

- Szybki niemiecki numer, co?
- Tak i...
- My mówimy na to mała *heine*. - Ryknął śmiechem.
- Tak - odparł Jencks. Sprawiał wrażenie coraz bardziej skrępowanego. - Ale widzisz, dowiedziała się, że...

- Hm? - Brady przestał się śmiać.
- Jestem żonaty.
- Nic już nie mów. - Brady podniósł mięsistą rękę, jakby szykował się do złożenia przysięgi. - Nic już nie mów. Dobrze wiem, co czujesz. Cholerna szkoda, wszystkie te nowoczesne systemy przekazywania informacji przynoszą całkowicie odwrotny skutek. Problemy współczesnego świata.

Kelner podał im drinki. Brady zapalił papierosa.

- Za lepsze polowanie - oznajmił, podnosząc szklanę.

Wnieśli toast. Jencks wermutem, Brady burbonem. Szybko dopił drinka i zamówili drugą kolejkę, a po niej jeszcze jedną. Jencks zgrywał przygnębionego, podczas gdy Brady bezustannie zachęcał go i pocieszał. Pół godziny później alkohol zaczął działać. Ruchy Brady'ego były powolne, gdy poklepywał Jencksa po ramieniu czy kolanie. Bełkotał. Rozbiegane oczy zdawały się dziwnie nieobecne. Naturalnie mógł udawać - był przecież potężnym mężczyzną - ale Jencks postanowił zaryzykować.

- Wiesz, Al - zaczął. - Muszę ci coś wyznać. Widzisz, wtedy w samolocie, nie chciałem, żeby moja żona się o wszystkim dowiedziała, więc...

- Wiem - przerwał mu Brady i cmoknął znacząco. - Wiem, jak to jest.

- ...więc zmyśliłem tę małą historyjkę.
- Jasne, stary. Dobrze wiem, co czujesz.
- O tym, że projektuję samochody i w ogóle.
- Oczywiście - odparł życzliwie Brady.
- Nie jestem projektantem wzornictwa przemysłowego. Tak naprawdę jestem pracownikiem kontrwywiadu.

- Gliniarzem? - Brady nie wyglądał na zaskoczonego, choć udawał, że tak właśnie jest.

- Tak - odparł smutno Jencks. - Jestem gliniarzem.
- Z Detroit?
- Tak. Pilnuję, żeby ludzie nie kradli projektów i tym podobne. Chodzi o bezpieczeństwo.

Brady powoli i ociężale pokiwał głową. Sprawiał wrażenie, jakby

przetwarzał to wszystko, czego się właśnie dowiedział. W końcu wyprostował się i rzekł:

- W takim razie trzeba to opić.

- Tak? Dlaczego?

Brady skinieniem przywołał barmana.

- Bo obaj pracujemy w tej samej branży.

- Poważnie? - spytał zdumiony Jencks.

- Jak najbardziej. Wtedy, w samolocie, pomyślałem, że możesz być gliną. Miałem przeczucie, wiesz?

- Taa.

- Cóż, niezły jesteś, Steve, ale nie nabierzesz takiego starego wygi jak ja. Jak długo siedzisz w tej branży?

- Pięć lat. Zaczynałem od opróżniania koszy na śmieci na nocnej zmianie. Teraz jestem szefem ochrony na torze testowym.

- Którym? - spytał swobodnie Brady.

- Niedaleko Flagstaff w Arizonie. Mamy ich pięć. Sam rozumiesz, różne klimaty.

- W takim razie musisz być przyzwyczajony do takiej pogody - zauważył Brady.

Widząc, że barman postawił przed nimi następną kolejkę, odsunęli na bok puste szklanki.

- Też muszę ci się do czegoś przyznać - stwierdził Brady. - W samolocie zrobiłem coś złego.

- To znaczy?

- Zwinąłem twój paszport i zająłem do niego.

- Poważnie?

- Aha. Przepraszam, naprawdę. Ale musiałem to zrobić. Kazałem też śledzić cię w Barcelonie.

- Śledzić? - Jencks zawiesił głos. Co facet zajmujący się bezpieczeństwem przemysłowym mógł wiedzieć o ogonach? Z drugiej strony nie chciał się do tego przyznać. - Ach, jasne. Masz na myśli tego faceta z wąsami?

- Dokładnie - odparł Brady bez mrugnięcia okiem. - Widzę, że bystry z ciebie gość.

- A teraz ty mi powiedz - rzucił Jencks, sącząc drinka. - Gdzie dokładnie pracujesz?

Brady ukradkiem rozejrzał się dookoła, nachylił się i szepnął:

- CIA.

- CIA? - powtórzył bardzo głośno Jencks.

- Sza.

- Przepraszam. - Tym razem to Jencks rozejrzał się dookoła. - Mam nadzieję, że nie narobiłem ci kłopotów.

- Myślę, że sobie poradzę - odparł Brady, oddychając głęboko. - Kilka lat temu, w Szanghaju, dostałem naprawdę trudny przydział.

- Brzmi nieźle.

- Przekłęta koka. I mnóstwo kradzieży. - Walnął Jencksa w plecy i ryknął śmiechem.

- To niesamowite - zauważył Jencks. - Obaj pracujemy w tej samej branży. Na długo przyjechałeś?

- Na kilka dni. Wyjeżdżam w sobotę rano.

- Posłuchaj - ciągnął Jencks. - Mnie możesz powiedzieć. Jesteś tu na wakacjach czy... służbowo?

- Wolałbym nie mówić - odparł niechętnie Brady

- Jasne, jasne. Rozumiem. Nie chcę narazić na szwank twojej reputacji.

- Skoro już o tym mówimy - zauważył Brady. - Rzucisz na to okiem?

W tej samej chwili do baru weszła Jenny, seksowna i opalona, w białej sukni wieczorowej.

- Na mnie już czas - rzucił, wstając niepewnie Jencks.

- Jaja sobie robisz. - Brady złapał go za rękaw.

- Nie. Idę na kolację.

- Jezu Chryste - szepnął Brady. - Też bym chciał. Jak ma na imię?

- Wolałbym nie mówić. - Jencks puścił do niego oko.

Podszedł do Jenny, wziął ją za rękę i razem wyszli z baru.

- Jesteś pijany - zauważyła.

- Wcale nie. - Wyprostował się i uśmiechnął. Głupkowata mina zniknęła z jego twarzy. Szedł pewnym krokiem. - Chwileczkę - rzucił.

- Zapomniałem zapłacić rachunek.

Zostawił ją i wrócił do baru. Brady patrzył na rachunek. Jedną rękę trzymał w kieszeni i wydawał się bardzo nieszczęśliwy.

- Myślałeś, że cię z tym zostawię? - spytał Jencks. Wziął rachunek i podpisał go. - Nie ma mowy. Posłuchaj, chcę cię prosić o przysługę.

- Proś, o co chcesz - odparł z uśmiechem Brady.

- Masz pokój z widokiem na ocean?

- Tak.

- Kiedy wyjedziesz w sobotę rano, mógłbym go wziąć? Mój nie jest taki dobry.

- Jasne. Poinformuję o tym w recepcji.
- Nie rób sobie kłopotu - dodał pospiesznie Jencks. - Ja to zrobię.
- Potarł kciukiem o palec wskazujący, dając do zrozumienia, co ma na myśli. - Wątpię, by samo mówienie załatwiło sprawę.
- Jak chcesz - stwierdził Brady i dał mu kuksańca w ramię. - Ty stary draniu - dodał ze śmiechem. Jencks wyszedł z baru i razem z Jenny poszedł na kolację.

. . .

Jencks siedział w pokoju i się zastanawiał. Nie wiedział, co myśleć o Bradym i ich rozmowie. W sumie, pomyślał, wszystko poszło jak należy; wracając z kolacji, zatrzymał się w recepcji i zapytał, czy mógłby zająć pokój pana Brady'ego, kiedy ten się wymelduje. Brady rzeczywiście zamierzał opuścić hotel w sobotę rano. Wszystko wyglądało więc uczciwie. Oczywiście historyjka z CIA była wymyślona, ale nie miało to znaczenia. Faceci w barach zawsze kłamali, chcieli kogoś wystraszyć czy też podrasować własne ego.

Zadzwoił telefon.

- Pokój dwieście pięć.
- Dziś wieczorem nie dam rady. - Głos należał do Bryana.
- Przykro mi to słyszeć - odparł Jencks. Musieli prowadzić normalną rozmowę na wypadek, gdyby komuś z centrali zachciało się podsłuchiwać. Jednak sądząc po tonie Jencksa, można było się domyślać, że jest bardzo niezadowolony
- Gdzie jesteś?
- W Geronie.
- Dobrze się bawisz?
- Bardzo.
- Co więc stoi na przeszkodzie?
- Panienska. Nie mogę się wyrwać, żeby nie wyglądało to podejrzanie.

A zatem zabawiał się z recepcjonistką. To akurat Jencks mógł mu wybaczyć.

- Zobaczymy się jutro?
 - Wpadnę do ciebie koło południa.
- Zamierzał spędzić z nią noc.
- W porządku.
 - Powiem ci, czego się dowiedziałem. Dziesięć zdecydowanie odpada, a sześć stoi pod znakiem zapytania. W porządku.
 - Baw się dobrze - odparł Jencks.

Usiadł głębiej w fotelu i popijał wytrawny wermut, który pięć minut wcześniej przyniesiono mu do pokoju. Myślał o Bryanie i recepcjonistce, i o Jenny. Musiał przyznać, że coraz bardziej mu się podobała. Przypomniał sobie ich rozmowę podczas kolacji, kiedy w pewnym momencie zapytał: „To twój naturalny kolor włosów czy je farbujesz?”.

- Naturalny - odparła. - Dlaczego pytasz?
- Z ciekawości.
- Są lepsze sposoby, żeby się o tym przekonać - zauważyła.
- Naprawdę? Będziesz musiała mi wytłumaczyć.

Na pierwszy rzut oka nie dał nic po sobie poznać, ale coraz bardziej jej pożądał. Owszem, była zdziwiona, ale jaką atrakcyjną. Irytowało go to.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł Miguel.

- Czego się dowiedziałeś?
- Jego pokój jest czysty. Nie ma w nim niczego straszego, na przykład broni. Ot, zwykły turysta, który przypadkiem ma trzy paszporty. W amerykańskim figuruje jako Alan Brady, we francuskim Alain Bernet, a we włoskim Marco Bernino. - Miguel wzruszył ramionami. - Poza tym nic. Ma ciuchy z każdej stolicy świata, ale to nie przestępstwo. - Po tych słowach usiadł. - Posłuchaj - ciągnął. - Tak sobie myślałem. Chcemy się go pozbyć, prawda? Gdybym przypadkiem zepchnął go ze schodów, kolejny tydzień spędziłby w szpitalu. A my mielibyśmy spokój. Co ty na to?

- Wyjeżdża w sobotę - odparł Jencks.
- On tak mówi?
- Tak. Ale sprawdziłem w recepcji. To prawda.

Miguel zapalił papierosa.

- No to w porządku.
- Też tak myślę. Damy mu spokój.
- I tak chciałbym wiedzieć, po co tu przyjechał.
- Ja też - przytaknął Jencks - ale mam teraz na głowie ważniejsze rzeczy. Przyniosłeś listę?

Miguel wyciągnął listę i Jencks przebiegł wzrokiem dwie kolumny liczb. W pierwszej zapisano numery pokoi, które zdecydowanie należało pominąć, a w drugiej te, które, jak ujął to Bryan, „stały pod znakiem zapytania”. Każdy z nich przygotował podobną listę.

- Gdzie jest Bryan?
- Zajęty. Rano dostarczy mi informacje.

Jencks zignorował wymowne spojrzenie Miguela i położył listę

obok tej sporządzonej przez siebie. Na osobnej kartce papieru odhaczył te pokoje, które na pewno musieli przeszukać, a przy innych postawił znak zapytania. Następnie spalił obie listy w popielnicze.

- Ile? - spytał Miguel.

Jencks policzył szybko.

- Dwadzieścia jeden do pominięcia, dziewięć do powtórnego sprawdzenia. Bryan mówi, że ma dziesięć odhaczonych i sześć wątpliwych, co w sumie zwiększa ogólną liczbę... zakładając, że pokoje nie są zdublowane... do trzydziestu jeden i piętnastu. To nie najlepiej. - Jencks postukał długopisem w blat stołu. - Potrzebujemy więcej pokoi. Jeśli do soboty rano nie będziemy mieli co najmniej sześćdziesięciu, możemy się liczyć z drobnymi kłopotami. Według programu istnieje dwadzieścia procent szans, że nam się nie uda.

Miguel pokiwał głową i podszedł do drzwi.

- Zrobię co w mojej mocy - obiecał. - Do zobaczenia.

Spotkanie dobiegło końca. Jencks zerknął na zegarek. Trwało dwie minuty i pięć sekund. Krócej, niż się spodziewał, choć oczywiście nie było Bryana. Spojrzał na listę pokoi i zmarszczył czoło. Faktycznie mieli opóźnienie; miał nadzieję, że na tym spotkaniu wykreślą przeszło czterdzieści pokoi, ale się przeliczył. A jeśli do soboty będą mieli zaledwie pięćdziesiąt pokoi? Przypomniał sobie wydruk z komputera i co mówiły liczby.

Szansę na powodzenie spadały z osiemdziesięciu siedmiu procent do siedemdziesięciu siedmiu. Żeby je zwiększyć, będą musieli losowo odrzucić niektóre pokoje. Nie będzie to trudne, ale może rzutować na ogólny zysk. A to mu się nie podobało.

. . .

Bryan Stack wyszedł z budki telefonicznej. Czekala na niego w samochodzie.

- Dodzwoniłeś się?

- Tak.

Uruchomił silnik i jechali w milczeniu. Spędzili uroczy dzień w Geronie, położonej na lądzie, spokojnej stolicy Costa Brava. Spacerowali brukowanymi wąskimi uliczkami. W mieście była piękna katedra i wspaniały romański klasztor, które podziwiali z ogromnym zdumieniem. Bryan dobrze się bawił w jej towarzystwie i odprężył się, choć podświadomie prowadził rozmowę w taki sposób, by zdobyć jak najwięcej informacji.

W ciągu całego dnia wydarzył się jeden nieprzyjemny epizod,

kiedy weszli do chłodnego, łukowatego wnętrza starych mauretańskich łaźni. Bryan wrzucił monetę do dużej, omszałej fontanny i pomyślał życzenie. Annette droczyła się z nim, próbowała dowiedzieć się, o czym pomyślał, i to go przygnębiło. Miał nadzieję, że to będzie ostatni raz i że już nigdy więcej nie będzie musiał tego robić.

Zjedli obiad w małej restauracji nieopodal rynku; gwarnym miejscu, w którym podawano rewelacyjną paellę i gdzie zostali uraczeni wyborynym białym winem z miejscowej winnicy. Najedzeni i zadowoleni spacerowali brzegiem rzeki i patrzyli, jak ludzie zbierają z balkonów pranie, które przez cały dzień schło na powietrzu. Zachód słońca przemienił rzekę w szarfę płynnego złota. Następnie Bryan zadzwonił i teraz wracali do domu.

Jadąc samochodem, próbował przywołać obraz Jane, jednak bez powodzenia. Wzbudzało to jego niepokój.

Annette wzięła go za rękę i delikatnie musnęła ją ustami.

- Jesteś szczęśliwy?

- Tak - odparł.

Chciał na tym poprzestać; chciał odwiedzić ją do hotelu i odesłać samą do łóżka. Miał dość, zdobył wystarczająco dużo informacji i wystarczająco wtargnął do jej życia. Nie było konieczności ciągnąć tego dalej, chyba że tego właśnie oczekiwała. Westchnął.

- Coś nie tak? - Skuliła się w fotelu i oparła głowę o jego ramię.

- Nie, jestem tylko zmęczony.

- Czuję się przy tobie taka bezpieczna - wyznała, całując go w ramię. - Pewnie myślisz, że straszny ze mnie głuptas.

- Wcale nie - odparł.

Jechali dalej, mijając senne miasteczko gminy Cassa de la Selva. Drogi były puste.

- Zaprosisz mnie na kieliszek przed snem? - spytała.

- Właśnie miałem to zaproponować - skłamał.

- Dziękuję. Przyjmuję zaproszenie.

Do diabła. Znowu próbował przypomnieć sobie Jane i znowu nic z tego nie wyszło. Pomyślał, że chętnie by zapalił, i w tej samej chwili Annette wyprostowała się, sięgnęła po zapalniczkę samochodową, przypaliła papierosa i włożyła mu do ust. Palce miała chłodne. Poglaskała go po policzku.

- Skąd wiedziałas? - spytał.

- Nie wiedziałam - odparła. - Po prostu trafiłam. - Przytuliła się do niego i kilka minut później zasnęła.

PIĄTEK, DWUDZIESTY CZERWCA

Pozostał jeden dzień. Steven Jencks obudził się w filozoficznym nastroju. Nadal był lekko przygnębiony opóźnieniem, ale rano wszystko wyglądało znacznie lepiej.

Rozmyślał o planie i jego podstawach, cudownej, matematycznej teorii prawdopodobieństwa i szansach na powodzenie.

Dla laika szansa znaczyła ryzyko, niepewność i słabość. Jencks parzył na to inaczej, jak fizyk mówiący o dyfrakcji na podwójnej szczelinie. Miał świadomość, że wszystkim rządzi przypadek - nie tylko w tej sytuacji, ale w każdej innej. Był gotowy pogodzić się z tym paradoksem i wszystkim, co oznaczał. Człowiek nie był w stanie przewidzieć, co się wydarzy w danym przypadku, liczby oczek, jaka wypadnie przy rzucie kostką, kolejnego rzutu w siódmej rundzie ani tego, czy rzucając monetą, wypadnie orzeł czy reszka. Ale mógł przewidzieć wynik trzech z pięciu rzutów, czterech z dziesięciu, siedmiu z szesnastu, i do tego stopnia przypadek rządził wszystkim, przez cały czas.

Było to tak pewne, jak to, że dwa i dwa to cztery.

Wstał z łóżka i poszedł do łazienki się ogolić. Z jakiegoś powodu przyszedł mu do głowy cytat z Henriego Poincare: „Przypadek to miara naszej ignorancji” i kolejny autorstwa Laplace'a: „Prawdopodobieństwo zależy częściowo od naszej niewiedzy, a częściowo od naszej wiedzy”.

Był też trzeci cytat, który nie wiadomo skąd pojawił się w jego głowie i rozbawił go przy goleniu. „Ludzie, którzy chcą być logiczni, nie powinni być samolubni”.

Cóż, podjął się zadania, o którego powodzeniu w znacznej mierze decydował przypadek; najbardziej logicznego i samolubnego zadania. Nie bał się; skwapliwie skorzystał z okazji, by zmierzyć się z kapryśkami i niewiadomymi z życia trzystu dusz, tymczasowo zamieszkujących hotel Reina. Ów element ostrożnie wkalkulowanego ryzyka

czynił całe to przedsięwzięcie tak bardzo interesującym.

Jencks nie był człowiekiem skłonny do uogólniania, ale wierzył, że matematyka jest głównym źródłem władzy we współczesnym świecie. Jej możliwości, zarówno te dobre, jak i złe, zdecydowanie przewyższały energię atomową. Ponieważ matematyka była źródłem odkrycia, narzędziem dla dociekliwych. To dzięki niej możliwa była energia atomowa. Dzięki drobnemu, siwowłosemu uchodźcy z Niemiec, który bazgrał kredą po tablicy. Pokręcił głową, rozbawiony i zdumiony swoimi rozmyślaniami. Wszystko to było niewiarygodne.

Stephen Jencks miał w tym swój skromny udział. Wykorzystał matematykę i komputer, żeby dokonać pierwszego w historii ludzkości przestępstwa opartego na nauce.

Musiał przyznać, że nie mógł się doczekać rezultatów.

. . .

Annette powoli otworzyła oczy i spojrzała w drugi koniec pokoju. Zobaczyła swoją sukienkę i pończochy złożone starannie na krześle i swoje buty na podłodze. Wyjrzała przez okno; dzień był słoneczny, ale nie widziała nic poza tym - pokój znajdował się na wyższym piętrze niż jej własny. Na krótką chwilę ogarnęła ją panika, zanim przypomniała sobie, gdzie jest.

- Cześć - powitał ją Bryan. Siedział w łóżku i palił papierosa.

- Cześć - odparła, przeciągając się.

Gwałtowny ruch odsłonił fragment piersi, jednak nie spieszyła się, by ją zakryć. Spędziła noc naga u jego boku, a nie należała do fałszywie skromnych osób.

Próbowała przeanalizować ubiegły wieczór, jednak odkryła, że nie pamięta niczego, odkąd wrócili do hotelu.

- Wiem, że głupio to zabrzmie - zaczęła - ale nie pamiętam, co się wydarzyło.

- Nic dziwnego - odparł Bryan. - Spałaś jak zabita. Przyniosłem cię do pokoju i położyłem do łóżka.

Szczęśliwa i nadal śpiąca, przytuliła się do jego ciepłego ciała. Bryan przeczesał palcami jej włosy, delikatnie głaszcząc ciemne, miękkie pasma.

- Czy my...

- Nie - odparł. - Mamrotałaś coś o tym, ale byłaś zbyt zmęczona.

Nie wydawał się zły, raczej pogodzony z sytuacją. Annette usiadła i pocałowała go w zarośnięty policzek.

- Chcesz papierosa? - spytał. Pokręciła głową. - Na ósmą

zamówiłem kawę. Przyniosą ją za dziesięć minut.

Natychmiast się obudziła.

- Boże - jęknęła. - O ósmej muszę być w pracy. Pan Bonnard ma dziś wolne.

Bryan zachował spokój.

- Najpierw kawa. Skocz pod prysznic. Będę tu, kiedy wyjdiesz.

Wstała i poszła do łazienki. Wiedziała, że na nią patrzy, ale nie czuła się skrępowana. To było coś nowego; zwykle, gdy zaczynała się z kimś spotykać, męskie spojrzenia wprawiały ją w zakłopotanie. Zastanawiała się, dlaczego z Bryanem jest inaczej, i uświadomiła sobie, że on również nie czuł się skrępowany. Wszystko wskazywało na to, że ją akceptuje.

Wróciła do pokoju owinięta w ręcznik, świeża i pachnąca. Kiedy usiadła na łóżku, podał jej filiżankę kawy. Już pierwszy łyk rozgrzał ją i sprawił, że w pełni się obudziła. Ręcznik zsunął się z jej piersi i spadł na uda. Pochyliła się i pocałowała go w usta. Jej sutki musnęły jego pierś.

- Jesteś przystojny - mruknęła.

- A ty piękna i oboje mamy rację.

Roześmiała się i patrzyła, jak trzyma papierosa, filiżankę i spodeczek. Z gracją, na którą mógł pozwolić sobie wyłącznie Anglik; ktoś, kto wielokrotnie brał udział w herbatkach i koktajlach.

- Użyłam twojej szczoteczki do zębów - wyznała. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko.

Uśmiechnął się.

- Zobaczymy się wieczorem? - spytał.

- Dziś nie mogę - odparła. - Pracuję do późna. Może jutro?

Będzie ciężko, pomyślał.

- Nie planuję spraw z takim wyprzedzeniem - odparł na głos.

Dopiła kawę i wstała.

- Naprawdę muszę już iść - oznajmiła i jeszcze raz go pocałowała.

- Nie. - Złapał ją za rękę.

- Nie?

- Dzisiaj się trochę spóźnisz - dodał i przyciągnął ją do siebie.

• • •

- Rozumiem - stwierdził Miguel, skupiając całą swoją uwagę na słowach przyszczatego dzieciaka. Nie, to było coś więcej niż uwaga. Zainteresowanie i fascynacja graniczące z uwielbieniem. Chłopak

wziął to za dobrą monetę. Biedny gnojek.

- Tak - odparł Peter. - Mam tak, odkąd pamiętam. Oczywiście nie ze wszystkimi kobietami, ale z wieloma. Uważam, że odpowiednia kombinacja nacisku i pochlebstw potrafi czynić cuda. Najtrudniej jest to wszystko wyważyć, choć przyznam, że i tu, w większości przypadków, miałem szczęście. A uważam kobiety za szalenie interesujące; zwłaszcza te starsze. Na tym polega problem - młode mają ciała, ale starsze wiedzą, jak ich używać.

- Zgadzasz się - odparł Miguel, nawet na chwilę nie odrywając wzroku od twarzy Petera.

Korzystając z faktu, że cała uwaga jest skupiona wyłącznie na nim, Peter stawał się coraz bardziej podekscytowany i gadatliwy; słowa wartkim potokiem wylewały się z jego ust i Miguel był pewien, że dzieciak kłamie.

- Zdarzają się też wyjątki - ciągnął Peter, konspiracyjnie nachylając się w jego stronę. - Na przykład pokojówki w tym hotelu. Próbowali ich pan?

- Prawdę mówiąc, nie. Nie miałem czasu. Widzi pan, byłem zajęty innymi... sprawami.

Peter zachichotał lubieżnie. Miguel nie cierpiał koleśia; celowo odwrócił się i rozejrzał po pustym barze. Nic dziwnego, że nie było tu żywej duszy. Tylko ludzie z prawdziwymi problemami przychodzili do barów o dziewiątej rano. Dzień wcześniej zauważył tu Petera i odkrył, że łatwo nawiązać z nim rozmowę. Dzieciak desperacko chciał się wygadać i zrobić na kimś wrażenie.

- Kim jest ta szczęśliwa? - spytał Peter z tym samym lubieżnym uśmiechem.

- Oto i ona - odparł Miguel, machając do Cynthii, która szła właśnie na basen. Wyglądała, jakby miała kaca, ale nawet to nie odbierało jej urody. Przywołał ją ruchem ręki i przedstawił Petera.

- Miło mi cię poznać. - Chłopak przywitał się skinieniem głowy. Jego uwaga skupiała się na bikini Cynthii, skąpym, choć nie tak, jak mógłby tego chcieć.

- Mnie ciebie również - odparła, wyciągając rękę i powstrzymując ziewnięcie. Miguel posłał jej ostrzegawcze spojrzenie. Przynajmniej tyle mógł dla niej zrobić.

- Muszę już lecieć - wyjaśnił, dopijając drinka. Peter z wdzięcznością patrzył za odchodzącym mężczyzną. Biedny gnojek, pomyślał Miguel. Od kwadransa szukał pretekstu, żeby zakończyć tę rozmowę, odkąd chłopak powiedział mu wszystko, co chciał wie-

dzieć.

Cynthia spojrzała na Petera nie tyle z niesmakiem, ile z kompletnym brakiem zainteresowania. Nadal czuła się zmęczona po wydarzeniach poprzedniego dnia i kompletnie nie miała ochoty na mężczyzn. Miguel zostawił ją w towarzystwie tego śliniącego się dzieciaka i nie bardzo jej się to podobało. W ogóle czuła się dziś „nie bardzo”; nie miała siły na większe emocje.

- Masz ochotę na drinka? - spytał Peter. Oczy mu lśniły. Cynthia pomyślała, że wygląda, jakby miał ochotę podrapać się po jajach.

- Chryste, nie - odparła. Na samą myśl o drinku robiło jej się niedobrze.

- To może napijesz się lemoniady? Kawy?

O co chodzi temu dzieciakowi? Myślał, że musi postawić jej coś do picia, bo inaczej odejdzie?

- Chodź ze mną na basen - zaproponowała zmęczonym głosem. Chłopak poderwał się i razem wyszli z baru.

Peter wziął ze sobą resztkę podwójnego burbona. Znaleźli dwa krzesła na trawie, z dala od piszczących, pluskających się dzieciaków, chwilowo okupujących basen. Cynthia zauważyła czterolatka, który próbował udusić swoją siostrę. I dobrze, pomyślała.

- Papierosa? - spytał Peter.

Poczuła zapach tytoniu. Tego ranka była szczególnie wrażliwa na wszelkie zapachy.

- Nie, dzięki - odparła.

Trzasnęła zapalniczka; chłopak zapalał papierosa.

- Na pewno niczego nie chcesz?

- Nie, nie. - Czuła, że powinna z nim porozmawiać, ale kompletnie nie miała na to ochoty. Nie o tak wczesnej porze. Poza tym chłopak był koszmarnym nudziarzem. Jak samica kolibra w okresie lęgowym zawieszona nad różowym goździkiem.

Mój Boże, pomyślała, czyżbym wciąż była na haju?

Słońce ogrzewało jej twarz i ramiona, dzięki czemu poczuła się odprężona. Peter nie przestawał paplać swoim schrypniętym, spiętym głosem, ona go jednak ignorowała. Było jej cudownie ciepło i chwilę później zasnęła.

. . .

Jencks siedział przy stoliku na tarasie, na czwartym piętrze, pijąc poranną kawę. Prowadził rozmowę z pomarszczoną staruszką, która sączyła herbatę i obierała banana za bananem.

- Tak tu przyjemnie - zauważyła. - Nie sądzi pan? Zawsze uważałam, że pobyt w takim hotelu to jak powrót do matczynego łona. Na pewno mnie pan rozumie; wygląda pan na inteligentnego człowieka. Mówił pan, że czym się zajmuje?

- Jestem programistą przemysłowym - odparł Jencks.

- Chodzi o telewizję?

Uśmiechnął się.

- Nie, o komputery.

- Fascynujące! - Jej twarz pociemniała, kiedy włożyła do pomarszczonych ust zbyt duży kawałek banana.

- Coś nie tak? - spytał.

- Nie, wszystko w porządku. Tu, w Hiszpanii, mają cudowne owoce. Chodzi o to... czy mówił pan coś o komputerach? - zapytała z przejęciem. - Obawiam się, że moja pamięć nie jest już tak dobra, jak kiedyś. Starość ma swoje plusy, ale dobra pamięć nie jest jednym z nich.

- Nie pamiętam - odparł Jencks. Dobrze wiedział, że wcześniej nie pytała go o to, czym się zajmuje. - Dopiero się obudziłem. Przez pierwsze dwie godziny po przebudzeniu jestem nieprzytomny.

- Jak zombie - odparła, chichocząc. Jej obwisłe policzki zatrzęsły się, a z twarzy posypały się drobinki pudru i różu.

- Nie nazwałbym tego tak - obruszył się Jencks.

- Nie, oczywiście, że nie. Proszę wybaczyć, wciąż zapominam, że wy, Amerykanie, bierzecie wszystko tak dosłownie. Musicie się nauczyć traktować siebie z większym dystansem. To chyba skutek uboczny bomby atomowej - dodała. - Lubi pan te swoje komputery?

- Tak. Potrafią robić niesamowite rzeczy.

- Tak też słyszałam, tak też słyszałam. Przyznam, że kompletnie się na tym nie znam. Chociaż - podkreśliła - rozumiem, że towarzystwa żeglugowe wykorzystują komputery, żeby informowały o tym, kiedy należy wysłać łodzie po kolejny ładunek bananów. To się nazywa postęp i proszę nie myśleć, że tego nie doceniam. Uwielbiam banany.

- Są pyszne - przyznał Jencks. - Na długo pani przyjechała?

- Nie. Wpadłam tylko na weekend. W drodze powrotnej do Brighton zamierzam odwiedzić siostrę, która jest panną. Ja też jestem panną, ale nie robię z tego problemu. Nie w moim wieku. A pan, jak długo zamierza tu zostać?

- Mniej więcej tydzień - odparł Jencks. - Nie jestem pewien.

- I wraca pan do Stanów? Nigdy tam nie byłam.

- Nie, później wybieram się do Rzymu. Na rozmowy z włoskimi firmami przemysłowymi. Tam również interesują się komputerami.

- Tak, kto teraz się nimi nie interesuje. Wkrótce wszyscy będziemy małymi otworkami na czyjejs karcie pamięci. Przyznam, że strasznie to dołujące. Jest pan żonaty?

- Nie - odparł Jencks. Wyczuwało się, że nie chce o tym rozmawiać. Zwykle ludzie dostrzegali jego konsternację i natychmiast zmieniali temat.

- A powinien pan - ciągnęła panna Shaw. - Taki mądry młody człowiek potrzebuje żony. Ma pan dobrą pracę w dziedzinie, która ma przyszłość. - Spojrzała na niego znad filiżanki herbaty, czekając na potwierdzenie swoich słów.

- Myślę, że jeszcze do tego nie dojrzałem.

Panna Shaw pokręciła głową, jakby chciała powiedzieć, że nie rozumie czegoś takiego.

- Jak się pani tu dostała? - spytał Jencks. Było mało prawdopodobne, żeby sama przyjechała samochodem.

- Szofer mnie przywiózł - odparła. - Wspaniały chłopak, cu-downy, choć trochę niechlujny. Sam pan rozumie, jest Francuzem. To wiele tłumaczy. Ale świetnie prowadzi.

- Zdziwiający jak na Francuza. Jakim samochodem pani jeździ?

- Och, jednym z tych amerykańskich continentali. To prawie jak łódź mieszkalna. Nie cierpię go, ale jest taki wygodny. A te fotele, po prostu boskie. No i jest wyposażony w przenośny dzbanek do herbaty, więc czuję się w nim jak w domu.

Ta staruszka zasługuje na to, by przyjrzeć się jej bliżej, pomyślał Jencks. Zastanawiał się, jak nakierować rozmowę na pokoje.

- Jest pan zadowolony z pokoju? - spytała panna Shaw.

- Tak, dziękuję, choć nie mam widoku na morze.

- Jaka szkoda. Ale z drugiej strony ma pan uroczy widok na zalesione wzgórza. Kiedy byłam tu ostatni raz, dali mi pokój na trzecim piętrze i muszę przyznać, że byłam bardzo zadowolona. - Znowu czekała, aż się z nią zgodzi.

- Ja mieszkam na drugim piętrze - wyjaśnił Jencks. - A pani?

- Zabawne, też na drugim. Pod którym numerem?

- Dwieście pięć.

- No cóż, nie jesteśmy sąsiadami, panie Jencks. Ja pod dwieście pięćdziesiąt siedem.

Roześmiali się. W jej oczach pojawił się figlarny błysk.

- Proszę wybaczyć, ale wydaje mi się, że jest pan znudzony i

niespokojny. Mam rację?

- Tak - odparł Jencks.
- Potrzebuje pan czegoś, co postawi pana na nogi; od czego krew zacznie szybciej krążyć w żyłach. Nowego doświadczenia. Czegoś ekscytującego.
- To prawda - przyznał, myśląc o Jenny. A chwilę później o rabunku.
- Czegoś nowego i odważnego.
- Rzeczywiście.
- Czegoś niezwykłego i nietuzinkowego.
- Co ma pani na myśli?
- No cóż - zaczęła panna Shaw, nachylając się w jego stronę. - Zaraz panu powiem.

. . .

Annette była szczęśliwa. Świat wydawał się piękny i pełen perspektyw. Miała fascynującą pracę i ubrania, w których dobrze wyglądała. Pracownicy hotelu nie obijali się tak jak zwykle, a goście byli względnie spokojni i się nie skarżyli. Choć spóźniła się do pracy o dobrą godzinę, wykonała papierkową robotę, podśpiewując pod nosem. Portier posłał jej znaczące spojrzenie, na które odpowiedziała szerokim, szczerym uśmiechem. Była szczęśliwa - nierozsądnie, niewiarygodnie szczęśliwa.

Zaskoczył ją widok pana Bonnarda, który tuż przed południem pojawił się w recepcji. Nigdy się jej nie podobał - uważała, że jest nieatrakcyjny i mało interesujący, dzięki czemu ich współpraca tak dobrze się układała. Wiedziała niewiele o jego życiu prywatnym; w zasadzie tylko tyle, że jego żona zmarła podczas wojny i od tamtej pory poświęcił swoje życie pracy w rozmaitych hotelach. W wolne dni jeździł na południe, w stronę Barcelony, i wracał późnym wieczorem. Nikt nie wiedział, co tam robi, a Annette nigdy nie pytała.

- Panno Dumarche - powitał ją dość oschle. - Nie będę brał dnia wolnego.

Nigdy wcześniej mu się to nie zdarzało.

- Czy to ma jakiś związek z hotelem? - spytała.
- Nie. - Rozważył własne słowa. - Cóż, niezupełnie. Jeśli mam być całkowicie szczery, obudziłem się dziś rano z pewnym... przeczuciem. Coś się wydarzy. Jestem tego pewien.
- Rozumiem. - Co innego mogła powiedzieć? Musiała się powstrzymywać, żeby nie parsknąć śmiechem. Czasami zachowywał się

naprawdę absurdalnie.

Pan Bonnard zatarł ręce. Wyglądało na to, że coś go naprawdę gryzie.

- Zwykle nie zwracam uwagi na takie rzeczy, ale to było wyjątkowo niepokojące. Czuję, że nie powinienem dziś wyjeżdżać; że przez cały weekend nie powinienem opuszczać hotelu. Tak więc - dodał, oddychając głęboko i prostując się na tyle, na ile było to możliwe - będę jak zwykle w swoim biurze. A tak przy okazji, słyszała pani coś ostatnio o naszych gościach?

Annette wzruszyła ramionami. Prawdę mówiąc, nic nie słyszała i w ciągu ostatnich dni niewiele myślała o hotelu. Jej umysł zajmowały inne, przyjemniejsze sprawy.

- Nic takiego.
- Jakieś wieści z pokoju trzysta trzystaście?
- To wyjątkowo gorąca kobieta.
- Ma pani na myśli to, że sypia z kim popadnie?
- Najwyraźniej.
- Profesjonalistka?
- Nie wiem. Wyprowadza się w poniedziałek.
- A ci wszyscy samotni mężczyźni?

Annette się uśmiechnęła.

- Chyba ją lubią.

- Nie czas na żarty - odparł, drapiąc się po łysiejącej głowie. - Jestem szczerze zaniepokojony, panno Dumarche. Szczerze zaniepokojony. Czuję, że wydarzy się coś strasznego. Musimy temu zapobiec.

- Oczywiście - odparła Annette. Czowała się jak idiotka.

- Proszę mnie powiadomić, gdyby coś się stało - dodał z roztargnieniem i udał się do gabinetu.

Annette była szczerze zakłopotana.

- Co w niego wstąpiło? - spytała dziewczyna z centrali telefonicznej, kiedy zniknął za drzwiami.

- Nie wiem. Martwi się czymś.

Annette postukała ołówkiem w blat biurka. Takie zachowanie było do niego zupełnie niepodobne. Pan Bonnard nie należał do osób, które martwią się byle czym. Szczycił się swoją operatywnością i tym, że zawsze kontrolował sytuację.

- Ktoś dzwonił do niego rano?

- Właściwie tak - odpowiedziała dziewczyna. - Był telefon o siódmej. Przełączyłam do jego pokoju. To była rozmowa

międzymiastowa, z Barcelony.

- I?
- I co? - Dziewczyna wyglądała na urażoną.
- Podsluchiwałaś, prawda?
- Proszę - burknęła obrażona.

Annette prychnęła zniecierpliwiona.

- Byłam zbyt zajęta - odparła w końcu dziewczyna. - Zaraz potem były trzy inne telefony. Musiałam je przełączyć.

- Czyli nie wiesz, o czym rozmawiali?
- Nie - odrzekła dziewczyna. - Nie wiem.
- Jak długo trwała ta rozmowa?
- Piętnaście minut.

Musiało chodzić o coś naprawdę ważnego, pomyślała Annette, skoro pan Bonnard zrezygnował z wolnego dnia.

. . .

Jean-Paul jęknął i przetoczył się na drugi koniec łóżka, w stronę telefonu. Podniósł słuchawkę, odłożył ją na widełki i znowu podniósł. Miał problemy ze wzrokiem.

- Halo?
- Niezdara - warknęła panna Shaw.
- Przepraszam.
- Zamierzasz przeleżeć cały dzień w łóżku?

Nawet przez telefon miała przeszywający głos. Spojrzał na siebie i zobaczył, że położył się spać w ubraniu. Wyglądał jak siedem nieszczęść.

- Przepraszam - powtórzył.
- Nie przepraszaj, tylko zacznij pracować na swoją pensję.

Rozłączyła się. Jean-Paul skrzywił się, gdy poczuł w głowie pulsujący ból, i zataczając się, poszedł do łazienki po aspirynę.

. . .

Siedząc w fotelu, w swoim pokoju, Jencks podniósł wzrok. Ktoś wsunął mu pod drzwi kopertę. Otworzył ją. W środku znalazł listę sporządzoną przez Bryana. Przez moment zastanawiał się, dlaczego Bryan nie wszedł i nie dostarczył mu jej osobiście, ale uznał, że musiał mieć swoje powody.

Pewnie chodzi o tę dziewczynę, pomyślał i uśmiechnął się do siebie. Bryan postanowił dogłębnie zbadać sprawę. Spoglądając na

kartkę, Jencks odhaczył na głównej liście kolejne pokoje. Na szczęście żadne numery się nie powtarzały. Chociaż tyle dobrego.

. . .

Pan Bonnard spojrzął znad biurka na Annette, która chwilę temu weszła do jego gabinetu.

- Pan Jencks chce się z panem spotkać - powiedziała po hiszpańsku. - To jeden z naszych gości.

Bonnard uniósł brwi, jakby chciał zapytać, czy chodzi o skargę. Wydawał się zdenerwowany. Annette pokręciła głową i cofnęła się, wpuszczając do gabinetu potężnego Amerykanina. Był nie tyle wysoki, ile po prostu duży, tęgi i barczysty, z mięśniami jak u siłacza. Miał grube rysy twarzy, które kojarzyły się Bonnardowi z atletycznymi sportowcami, jak ciężarowcy czy bokserzy.

Dyrektor wstał i wyciągnął rękę.

- Jak się pan ma? - Oczekiwał miażdżącego kości uścisku dłoni, ale nic takiego się nie wydarzyło. - Proszę, niech pan usiądzie - dodał, wskazując fotel z miękkiej jasnobrązowej skóry. Jego biuro było małe, zadbał więc o to, żeby meble miały jasny kolor, dzięki czemu pomieszczenie wydawało się nieco przestronniejsze. Nie zrobił tego z próżności, jedynie po to, by czuć się tu komfortowo. Spędzał w biurze znaczną część czasu.

Jencks usiadł i rozciągnął usta w szerokim, głupkowskim uśmiechu.

- Chciałem tylko powiedzieć - zaczął - że prowadzi pan cholernie fantastyczny hotel.

Z twarzy pana Bonnarda można było wyczytać, jak bardzo jest oszołomiony.

- Rozumie pan po angielsku, prawda? - spytał Jencks.

- Tak, tak, oczywiście. Dziękuję za dobre słowo, panie Jencks.

Jencks odprężył się i uśmiechnął.

- Nie ma za co. Chciałem, żeby pan wiedział, że doceniam pracę pana i pańskich ludzi. Z punktu widzenia profesjonalisty, naturalnie. Jestem agentem ubezpieczeniowym. Nietrudno zauważyć, jak doskonale radzi pan sobie z potencjalnymi niebezpieczeństwami. Miło mi to widzieć. Staram się mówić ludziom, co myślę; nie tylko wtedy, gdy chcę złożyć skargę. Narzekam na fatalną obsługę i kiepskie kierownictwo, ale potrafię też docenić ludzi. Chciałem, by pan wiedział, że w moim przekonaniu odwała pan kawał dobrej roboty. Naprawdę kawał dobrej roboty - powtórzył.

Nagle zmieszał się, jakby zabrakło mu słów. Chcąc przerwać krępującą ciszę, pan Bonnard wtrącił pospiesznie:

- Bardzo pan uprzejmy. Mam nadzieję, że poinformuje nas pan o jakichkolwiek uchybieniach, gdyby takie zaistniały. Wychodzę z założenia, że goście robią hotelowi krzywdę, jeśli nie informują o nieprawidłowościach.

Jencks pokiwał głową i wstał. Była to pozbawiona sensu rozmowa, ale miała przysłużyć się jego sprawie. Nie rozumiał, dlaczego Bonnard jest taki zdenerwowany; może taką miał naturę.

- Może pan na mnie liczyć - obiecał Jencks. - I z pewnością zarekomenduję ten hotel moim przyjaciołom. - Wyciągnął rękę i dodał: - Ach, jeszcze jedno. Czy organizują państwo duże przyjęcia - bankiety i tym podobne?

Za jego plecami otworzyły się drzwi.

- Oto odpowiedź na pańskie pytanie, panie Jencks - odparł Bonnard.

Jencks odwrócił się i stanął twarzą w twarz ze śniadym, ponurym policjantem.

POPOŁUDNIE DWUDZIESTY CZERWCA

Jencks poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Niemożliwe; nie mogli przecież wiedzieć, nie mogli przejrzeć ich zamiarów. To nie działa się naprawdę.

Zacisnął zęby i spojrzał na Bonnarda.

- Co to ma znaczyć?
- Nie rozumiem. - Bonnard wyglądał na zakłopotanego.
- Proszę wyjść - rzucił policjant, kiwając głową w stronę drzwi.
- Co on powiedział? - Jencks spytał Bonnarda, choć wyraźnie wszystko słyszał.

- Chce, żeby pan wyszedł. On i ja musimy coś omówić. Widzi pan, ważny urzędnik państwowy wydaje jutro przyjęcie, a dokładnie wesele córki, i muszę...

- Proszę wyjść - powtórzył gliniarz, kładąc dłoń na ramieniu Jencksa.

Ten strząsnął jego rękę, wciąż udając wściekłego, choć w głębi duszy czuł nieopisaną ulgę.

- Jak pan może na to pozwalać? To skandal. To...
- Panie Jencks - odezwał się Bonnard zmęczonym głosem - jest pan w Hiszpanii. W pewnych sytuacjach musimy wykazać się wyrozumiałością. Chętnie później z panem porozmawiam, ale teraz... - Wskazał dłonią drzwi.

- W porządku - rzucił Jencks. Wyminał gliniarza i zatrzasnął za sobą drzwi. Poszedł prosto do baru, zamówił wermut i usiadł przy jednym ze stolików. Dopiero tam dał upust swoim emocjom. Przez chwilę dygotał na całym ciele, a zaraz potem wychylił całego drinka. Mało brakowało, a sam by się zdradził.

Alkohol pomógł; Jencks odzyskał spokój i zaczął myśleć bardziej racjonalnie. Oficjalny bankiet czy nie, ich projekt musiał przebiegać zgodnie z planem. Odwiedzając gabinet Bonnarda, uzyskał wszelkie niezbędne informacje. Zobaczył wewnątrz i upewnił się, że nie zostało

przemeblowane. W sobotnią noc bez problemu znajdzie drogę do sejfu, nawet po ciemku.

Do baru wszedł Bryan. Wyglądał na równie zdesperowanego, jak kilka minut temu Jencks. Zamówił drinka i dosiadł się do stolika.

- Nie powinieneś tego robić - powiedział Jencks. - Nie znamy się, pamiętasz?

- Gliny - bąknął Bryan. - Pełno tu gliniarzy. Na korytarzach, w holu, w recepcji. Sprawdzają nawet listę gości. Co jest, do cholery?

Jencks powiedział mu, czego się dowiedział, jednak to nie uspokoiło Bryana.

- Nie podoba mi się to - odparł. - Ani trochę.

- Nie mamy się czym martwić. Szukają osób zaangażowanych politycznie. My do nich nie należymy. - Jencks urwał. - Prawda?

- Ja na pewno nie - odrzekł Bryan. - Miguel też. Ale i tak mi się to nie podoba.

- Dopij drinka.

Jencks przez chwilę siedział w milczeniu i myślał.

- Później, po południu, wpadnij do recepcji i powiedz, że słyszałeś plotki o jakimś przyjęciu - powiedział w końcu. - Dowiedz się, kiedy się odbędzie, i wypytaj o szczegóły.

- Po południu umówiłem się z nią na drinka - wyjaśnił Bryan.

- Świetnie - uznał Jencks. - Będziesz miał idealną okazję.

. . .

Co, u diabła? - pomyślał Miguel. W całym hotelu aż roило się od gliniarzy. Co oni tu robią? Spojrzał w głąb korytarza na drugim piętrze. Właśnie zatrzymał się przed drzwiami do pokoju Jencksa z nadzieją, że go zastanie - chciał wiedzieć, o co chodzi z tymi gliniarzami. Gliniarze sprawiali, że zaczynał się denerwować.

Jencksa jednak nie było. Wzruszywszy ramionami, Miguel poszedł dalej. Podejmie ten temat dziś wieczorem na spotkaniu. Kiedy dotarł do windy, drzwi rozsunęły się i zobaczył blondynkę, która spędzała tak dużo czasu w towarzystwie Jencksa.

- Dzień dobry - powiedział.

Dziewczyna skinęła głową i oddaliła się pospiesznie. Miała na sobie szpilki i lekką wełnianą sukienkę w stalowym kolorze, dość obcisłą i cienką. Pod materiałem wyraźnie rysowały się półkule jej pośladków. Sądząc po ich gładkości, nie miała na sobie żadnej bielizny.

- Jedzie pan na dół? - spytał windziarz.

Wyrwany z zamyślenia Miguel obejrzał się. Zwykle hotele nie

zatrudniały windziarzy. Odkąd pojawiły się automatyczne windy, nie było to konieczne. Spojrzał na niskiego, ciemnoskórego chłopca w wieku dwunastu, trzynastu lat. Dzieciak miał arogancki, brzydki wyraz twarzy.

- Na dół - rzucił Miguel, wchodząc do windy. Silnik ożył i winda ruszyła. Miguel zerknął na zegarek. Dochodziła piętnasta. Mieli coraz mniej czasu.

No i co zrobią z tymi gliniarzami?

. . .

Jencks wchodził po schodach, zerkając w dół na podłogę holu - czarno-białą szachownicę. Wciąż przemyślał, powtarzał w głowie plan i rozważał wszelkie możliwości.

Nie myślał o Jenny aż do chwili, gdy stanął przed drzwiami do pokoju, gdzie czekała na niego, niecierpliwie tupiąc nogą. Dopiero wtedy przypomniał sobie, że umówili się na piętnastą. Widząc ją, poczuł, że rośnie w nim napięcie, które tłumił przez ostatnie pół godziny. Wiedział, że potrzebuje czegoś, co pozwoli mu zapomnieć o projekcie.

- Przepraszam - bąknął, otwierając drzwi.
- Twoja uniżona służąca - zadrwiła. - Przyszła o czasie.
- Tylko spytałem, czy nie wpaśćabyś po południu - odparł. - Jeśli dobrze pamiętam, zastanawiałaś się, czy nie odmówić.
- Nie bądź niepoważny - rzuciła, wchodząc do pokoju i rzucając na łóżko numer „Elle”. Sama usiadła obok. - Masz coś do picia?
- Wodę - odparł Jencks.
- Niech będzie - zgodziła się, ku jego zaskoczeniu.

Wszedł do łazienki i nalał jej wody z kranu. Kiedy wrócił, trzymała w dłoniach otwartą ćwierćlitrową butelkę, którą najwyraźniej przyniosła w torebce. Wzięła szklankę, jednym łykiem opróżniła ją do połowy, skrzywiła się i przelała do niej zawartość buteleczki.

- Wódka? - spytał Jencks.

Pokiwała głową.

- Lubię mocne doznania - odparła, sącząc drinka i zrzucając buty. Podrapała bosą stopę. Jencks obserwował bacznie każdy jej ruch, próbując określić, w jakim jest nastroju.

Doskonale, dziś był ten dzień. Obiecał sobie, że jeśli warunki będą sprzyjające, zakończy przygodę. Akcja z policją utwierdziła go w tym przekonaniu i do tej pory wszystko wydawało się jak najbardziej w porządku. Jenny zachowywała się przekornie, ale była dziwnie

odprężona. Reagowała instynktownie, z przyzwyczajenia. Nie była już taka zła. Zaczynała rozumieć, że Jencks pozostanie nieugięty.

- Dlaczego mnie tu zaprosiłeś? - spytała.

- Żeby się z tobą kochać.

Nie odezwała się. Dopija drinka i postawiła szklanekę na podłodze obok łóżka.

- Ja nie mam w tej kwestii nic do powiedzenia?

- Oczywiście, że masz.

- W takim razie mówię „nie”. Za nic w świecie. Prędzej piekło zamarznie.

- Zobaczymy - rzucił Jencks. - Chcesz jeszcze wody?

- Próbujesz mnie upić, co?

- Nie wygłupiaj się. Nie muszę cię upijać, żeby się z tobą prześpać.

- Gadka szmatka.

- Mam ci to udowodnić?

Spojrzała na niego ostrożnie, próbując zrozumieć, co on właściwie robi. Zapaliła papierosa i powiedziała:

- Nie, nie chcę, żebyś mi cokolwiek udowadniał. Jesteś ostatnim facetem na ziemi, z którym chciałabym pójść do łóżka. Nawet Peter jest lepszy.

- A to ciekawe. Wcześniej nie sprawiałaś takiego wrażenia.

- Zamknij się i przynieś mi jeszcze wody. Albo nie. Napiję się czystej.

W kilku susach znalazł się przy niej i wyrwał jej z dłoni butelkę.

- Przykro mi, ale chyba masz już dość.

- Posłuchaj - warknęła - za kogo ty się masz? Nie jestem twoją własnością. Nie masz prawa mnie kontrolować.

- Właśnie, że mam.

- W takim razie będziesz musiał kontrolować mnie na odległość, bo właśnie wychodzę.

Wstała, chwyciła torebkę i magazyn i ruszyła w kierunku drzwi.

- Nie kłopotz się - oznajmił Jencks zmęczonym głosem.

Jej ręka zawisała w powietrzu, tuż nad klamką.

- Zamknąłeś nas tu. Prawdziwy z ciebie łajdak.

Wróciła na łóżko.

- Drzwi nie są zamknięte - poinformował ją.

- Jasne. A to wszystko to jakaś chora gra.

Jencks wzruszył ramionami.

- Sprawdź, jeśli nie wierzysz.

- Nie muszę sprawdzać. Wiem, że są zamknięte... to do ciebie podobne.

- Jesteś bardzo ufna.

- Idź do diabła. Nienawidzę cię. Jesteś obrzydliwy. Jesteś szumowiną. Nikim. Podłym, cuchnącym...

- Właśnie takie kobiety lubię. Wybuchowe.

Zamilkła.

- Idź do diabła - powtórzyła.

- Oczywiście - odparł Jencks - jeśli nie chcesz wyjść...

- Może nie chcę. Co wtedy?

- Nic. Po prostu chcę, żebyś powiedziała, o co ci chodzi.

Zapaliła kolejnego papierosa, zaciągnęła się dwa razy i nerwowo zgasiła go w popielniczce. Spojrzała na zegarek, obciągnęła sukienkę i podrapała się w łokieć. Oddychała szybko i głośno. Jencks wiedział, że czas już zakończyć te głupie gierki.

Wstał, podszedł do drzwi i otworzył je. Chłodny podmuch wpadł do pokoju z korytarza.

- Ostatnia szansa - oznajmił.

Jenny pokręciła głową. Widząc to, zamknął drzwi. W pokoju zapadła cisza.

- Chodź tu - rozkazał.

Zrobiła, co jej kazał. Była podniecona i lekko wystraszona. Stanęła przed nim, ale go nie dotykała. Wbiła w niego spojrzenie niebieskich oczu.

- Proszę, nie rób mi krzywdy - szepnęła.

Pocałował ją i niemal poczuł, jak przechodzi ją dreszcz rozkoszy. Rozpiął haftkę na jej karku i rozsunał suwak, który biegł na całej długości pleców. Włożył rękę pod materiał, szukając biustonosza, jednak napotkał wyłącznie skórę.

- Nie masz na sobie stanika?

Pokręciła głową. Oczy jej lśniły. Patrzyła na niego ze spokojem, gdy zsuwał sukienkę z jej ramion. Materiał opadł i zatrzymał się na biodrach. Jencks podziwiał jej piersi. Były bardzo duże, kształtne i zdumiewająco jędrne. Brodawki przywodziły na myśl drobne, różowe pąki.

Delikatnie szarpnął materiał sukienki, która opadła Jenny do kostek.

- Ani majtek - dodała niepotrzebnie. Stopą odsunęła od siebie sukienkę i cofnęła się o krok, przekorna, ale wciąż trochę zdenerwowana. Musi to być dla niej zupełnie nowe doznanie, pomyślał.

Świadczył o tym nagły brak pewności siebie.

- Podobam ci się? - spytała.

Nie odpowiedział i w milczeniu wziął ją na ręce. Była lekka niczym dziecko. Spodobało jej się to, bo objęła go za szyję i pocałowała, wodząc językiem po jego wargach. Był to wilgotny pocałunek, miękki i pełny.

Zaniósł ją do łóżka i delikatnie położył wśród pościeli. Leżała na plecach z jedną nogą wyprostowaną, a drugą ugiętą w kolanie, i patrzyła, jak on się rozbiera. Oboje milczeli. Kiedy stanął przed nią nagi, zmierzyła go od stóp do głów.

- Jesteś dużym mężczyzną - zauważyła. W jej głosie nie było kpiny, tylko zdumienie i pożądanie. Jencks położył się obok niej.

- A ty dużą dziewczynką - odparł. Pocałował ją, wodząc palcem po linii zuchwy. Pieścił ustami płatek ucha i wrażliwe miejsce na karku, sprawiając, że zadrżała z rozkoszy.

- Steve - zaczęła. - Muszę ci coś powiedzieć. Nie jest mi łatwo. To znaczy, niełatwo mnie zaspokoić. Czy ty...

Zakrył jej usta dłonią i pocałował w czubek nosa.

- O nic się nie martw - szepnął.

Jej palce błądziły po piersi Jencksa i zacisnęły się na jego członku. Trzymała go mocno, jakby chciała go zbadać.

- Chyba masz rację - przyznała.

Przyłożył usta do jej piersi i polizął sutki. Stwardniały natychmiast, a z gardła Jenny wyrwał się cichy jęk. Jego palce sunęły w dół, w stronę łądźwi, i dalej, wzdłuż nóg. Miała piękne nogi, delikatne, ale silne. Pieścił jej kolana i uda. Zatopił palce w jej włosach i zbliżył twarz do jej twarzy, nie przestając dotykać nóg. Kiedy w końcu wsunął rękę między jej uda, delikatnie rozłożyła nogi. Wszedł w nią palcem wskazującym i z zadowoleniem stwierdził, że jest wilgotna i gotowa. Jenny jęknęła przeciągle.

- Nie czekaj zbyt długo - powiedziała zdyszczanym głosem. - Chcę poczuć cię w sobie.

Jeszcze szerzej rozłożyła nogi. Jencks położył się na niej i wszedł w nią jednym potężnym pchnięciem. Kiedy objęła go nogami, poczuł, jak wsuwa się w nią głębiej.

Chwytał dłońmi jej napięte pośladki.

- Weź mnie - szepnęła. - Mocno.

Poruszał się w niej rytmicznie; ich ciała obijały się o siebie z wilgotnymi plaśnięciami. Nie stawiała oporu, oferowała jedynie pomoc. Ugryzła go w język i poczuł, jak jej ciało tężeje; z początku

delikatnie, później coraz bardziej, aż wygięła się w łuk i wypchnęła biodra, by przyjąć go jeszcze głębiej. Oddychała szybko i płytko. Chwilę później chwyciła go kurczowo, jej mięśnie napięły się, rozluźniły i znowu napięły.

Przez jakiś czas leżeli, tuląc się do siebie, i próbowali uspokoić oddechy. W końcu Jencks wstał i zapalił dla niej papierosa. Przyjęła go z nieśmiałym uśmiechem.

- Chyba jednak nietrudno cię zadowolić - stwierdził.

- To twoja zasługa - odparła z uśmiechem. - Pierwszy raz przeżyłam coś takiego. Psujesz mnie. Nie wyjdę za mąż, dopóki nie poznam mężczyzny, który będzie równie dobry, a pewnie niewielu jest takich.

- Może nigdy dotąd nie pozwoliłaś mężczyźnie na coś takiego - odparł.

W głębi duszy wiedziała, że miał rację. Myśl o tym, że mogłaby ulec, oddać się w ręce drugiej osoby i zaufać jej bezgranicznie, choćby na krótką chwilę, napawała Jenny lękiem. Steve zmusił ją, żeby się poddała. Był pierwszym mężczyzną, któremu się to udało. Wiedziała jednak, że istnieje coś takiego, jak uległość i poddanie się z własnej nieprzymuszonej woli.

- Rozumiem - odparła.

- Masz już dość?

- Tak. A ty?

Pokiwał głową, ona go pocałowała. Ogień w jej wnętrzu dogasał. Czowała się szczęśliwa, odprężona i zaspokojona.

. . .

- Mam ochotę na obiecane drinka - oznajmiła Annette, wchodząc do pokoju Bryana. - Co za dzień!

- Prawdę powiedziawszy, są już gotowe - oznajmił, sięgając po dzbanek i napełniając szklanki. - Spróbuj tego.

Upiła łyk i usiadła.

- Pyszny. Gdzie się podziewałeś przez cały dzień? Nie widziałam cię.

- Jeździłem na nartach wodnych - odparł.

- Ominęło cię niezłe zamieszanie. Tuż przed południem pod hotel zajechało pół tuzina motocykli i do holu wpadła *policia*. Gliniarze rozbiegli się po całym hotelu. Jeden poszedł na spotkanie z panem Bonnardem, inny przeglądał rejestr, a reszta węszyła, strasząc gości. Musiałam ich uspokajać. Byli tak podekscytowani, że można by pomyśleć, że mamy tu samych oszustów.

- Co się dzieje?
- Wygląda na to, że zastępca burmistrza Leridy urządza tu w sobotę wesele córki. To daleki kuzyn sam wiesz kogo, tak więc zależy mu na ochronie, no i na tym, aby wszystko odbyło się z wielką pompą.
- Organizowanie takiej imprezy z jednodniowym wyprzedzeniem? Nie uważasz, że to dziwne?
- Hiszpania - zaczęła - rządzi się własnymi prawami. Żałuj, że nie widziałeś tych policjantów, jak wpadli do hotelu w tych swoich mundurach i ciężkich buciorach. Personel był przerażony. Och, to było straszne. I na dodatek zostawili czarne smugi na podłodze w holu. Wszystko przez te buciory - dodała, marszcząc brwi.

Bryan rozumiał. Raz, w Madrycie, miał okazję oglądać świetną korydę; El Cordobés był trzecim toreadorem i bilety sprzedawały się jak ciepłe bułeczki, po dwadzieścia dolarów za sztukę. W pewnym momencie na trybunach w tańszym sektorze rozpetęła się bójka. Gdy do akcji wkroczyło dwóch policjantów, dwudziestotysięczny tłum zaczął syczeć i gwizdać. Dźwięk, który odbijał się od murów okrągłej areny, był prawie nie do wytrzymania. Nie wiadomo, skąd pochodził, zdawał się nie mieć początku ani końca; twarze widzów nie wyrażały żadnych emocji, ale ów dźwięk był obecny, niemal namacalny. Nie ustał, dopóki policjanci nie opuścili trybun.

Taka była Hiszpania. Państwo policji i dyktatury. Ludziom się to nie podobało i dawali temu wyraz przy każdej nadarzającej się okazji. Anonimowy syk na arenie był jednym z takich manifestów.

- I jak to się skończyło?
- Wsiedli na motocykle i odjechali, zadowoleni, że nikt nie czyha na życie zastępcy burmistrza ani jego córki. Byłam wściekła. Zachowywali się jak...
- Niemcy - dokończył Bryan.
- Tak. - Dopięła drinka, a on nalał jej kolejnego. - Wyjeżdżając stąd, będę żałowała bardzo niewielu rzeczy - stwierdziła.
- Wiem - przyznał. Wiedział również, że miała na myśli coś innego; coś, co miało związek z nimi. Czyżby chciała wziąć go ze sobą? Wykluczone.
- Cóż - zaczął. - Opowiedz mi o tym bankiecie. Brzmi szalenie interesująco.

. . .

Była dwudziesta pierwsza, kiedy Bryan wszedł do pokoju.

- Witaj, Steve - rzucił. - Wpakowałeś się w kłopoty? Wyglądasz

na skonanego.

Jencks mruknął coś poirytowany i odparł:

- Ty też nie wyglądasz najlepiej, Romeo. Masz takie wory pod oczami, że można w nich zmieścić włoskie orzechy.

- Kobiety - westchnął Bryan, opadając na krzesło. - Niszczycielskie istoty, w każdym znaczeniu tego słowa. Chodzi o blondynkę?

Jencks pokiwał głową.

- To dobry sposób, żeby utrzymać formę. Wyglądała na niezłą partnerkę sparingową.

- Będziemy wymieniać się wspomnieniami? - spytał Jencks.

- Nie - odparł Bryan. - Mam informacje na temat gliniarzy i...

Do pokoju wpadł Miguel. Miał na sobie spodenki kąpielowe i luźny frotowy szlafrok. Kąpielówki wciąż były mokre. Pod pachą trzymał zwinięty ręcznik.

- Ach - rzucił - cudownie jest popływać tuż przed snem. - Cisnął ręcznik na łóżko. Z miękkiego materiału wypadło pięć lasek dynamitu. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął zegary i zapalniki. Z nimi obchodził się bardziej delikatnie i ostrożnie położył je na stole. - Wszystko gotowe. Na wszelki wypadek przyniosłem dodatkowy zapalnik. - Zerknął na Bryana i Jencksa. - Wyglądacie jak z krzyża zdjęci. Alkohol czy panienki?

- Panienki - odparł zmęczonym głosem Jencks. - Siadaj. Nie mogę patrzeć, jak marnujesz tyle energii.

Miguel wyciągnął listę pokoi, wręczył ją Jencksowi i usiadł na łóżku.

- Nie na łóżku. Jesteś cały mokry.

Miguel cmoknął, jakby rozbawiło go coś, co przyszło mu do głowy, i przeniósł się na krzesło. Spojrzał na Jencksa, który sięgnął po listę Bryana i porównywał ją z listą główną. W pokoju zapanowała pełna napięcia cisza. Pozostali dwaj mężczyźni czekali, podczas gdy Jencks dokonywał ostatecznych zestawień.

- Sześćdziesiąt trzy pokoje - oznajmił triumfalnie. - To dobrze, są duże szanse, że się nam powiedzie.

Napięcie wyraźnie osłabło. Bryan i Miguel zapalili papierosy.

- Co do policji... - zaczął Bryan.

- Już wiem, o co chodzi - wyjaśnił Miguel. - Jutro jakaś szycha urzędza tu przyjęcie.

- O której? - spytał Jencks.

Była to istotna informacja. Jeśli bankiet zaplanowano na wieczór, będą zmuszeni przełożyć całą operację. Kiepsko byłoby utknąć na

wyspie w asyście policjantów.

- Po południu - odparł Bryan. - Od piętnastej do dziewiętnastej. Później wszyscy przeniosą się do Barcelony, Tossa de Mar albo w jakieś inne miejsce.

- Impreza odbędzie się w mniejszej sali restauracyjnej - dodał Miguel.

- W porządku - oznajmił Jencks. - W takim razie wszystko odbywa się zgodnie z planem. - Podszedł do szafy, wyciągnął paczkę chesterfieldów i podał ją Bryanowi. - Chcesz poćwiczyć uzbrajanie?

- Nie. Już wiem, co i jak.

- Dobra. W takim razie muszę jedynie rozdać wam klucze. - Sięgnął do kieszeni i wyciągnął dwa pęki kluczy. Wręczył każdemu po jednym, podszedł do biurka i sporządził dwie listy. - To numery pokoi, które możecie pominąć - wyjaśnił. - Zapamiętajcie je i spalcie listy. To specjalny papier, który praktycznie nie zostawia popiołu.

Mężczyźni wzięli kartki. Jencks przyjrzał się laskom dynamitu i zapalnikom. Podniósł jeden z nich - małą plastikową rurkę z metalową końcówką i wystającymi drucikami.

- Mają jakieś ograniczenia? - spytał.

- Piętnaście granów materiału wybuchowego - odparł Miguel. - Wysadzą praktycznie wszystko.

- Laski dynamitu są nowe?

- Tak.

- Świetnie. - Spojrzał na swoich towarzyszy. - Jakies pytania?

- Chciałbym jeszcze raz omówić procedurę odwołania akcji - oświadczył Miguel.

- Trzy kroki - odparł Jencks, podnosząc trzy palce. - Jestem jedyną osobą, która może odwołać całą akcję. Jeśli coś pójdzie nie tak, zadzwonię do Bryana na telefon hotelowy i powiem, że nie mogę zjeść z nim kolacji, a on zgodzi się wyskoczyć ze mną na drinka.

Jeśli wypowiem słowo „bar” będzie to znaczyć, że odwołujemy całą akcję i natychmiast spotykamy się w moim pokoju. Jeśli powiem coś innego, będzie to oznaczać, że akcja zostaje odwołana, a wy trzymacie się z dala ode mnie. Zrozumiano?

- Tak - odparł Miguel.

- Kiedy Bryan odbierze telefon, zadzwoni do ciebie i powie coś logicznego, na wypadek gdyby telefonistka podsłuchiwała rozmowę. Po raz kolejny słowem kluczem będzie „bar”. Jeśli je usłyszysz, masz jak najszybciej przyjść do mojego pokoju. Jeśli nie, wrzuc wszystko, co uda ci się zebrać, do kosza na śmieci na korytarzu i przez dzień albo

dwa strugaj wariata.

Miguel pokiwał głową.

- Pamiętajcie, jeśli nie zadzwonię, nie odwołujemy akcji. A możecie być pewni, że jest bardzo mało prawdopodobne, żebym ją odwołał. To pewniak, z weselem czy bez niego. Nie możemy się pomylić, nie możemy przegrać, nie możemy nawalić.

Wręczył im gumowe torby i dwie pary nylonowych rękawiczek. Miguel wyszedł z pokoju. Bryan zerknął na zegarek, chcąc odczekać trzydzieści sekund, zanim opuści pokój.

- Wyśpij się, Bryan - przypomniał Jencks.

- Już to mówiłeś - odparł Bryan z uśmiechem. – Lepiej sam się wyśpij. Jutro czeka nas wielki dzień; musimy mieć sprawne palce i umysły.

Jencks uśmiechnął się na wspomnienie o tym, jak bardzo zajęte były po południu jego palce. Bryan wyszedł z pokoju i Jencks został sam na sam ze swoimi myślami. Jenny nie była zadowolona, gdy powiedział jej, że nie może spędzić z nim nocy, i zdenerwowała się, kiedy dość wymijająco mówił o ich spotkaniu następnego dnia. Nic jednak nie mógł na to poradzić. Pokręcił głową. Był bardzo zmęczony. Poza tym Bryan miał rację. Jutro czekał ich wielki dzień.

SOBOTA RANO, DWUDZIESTY PIERWSZY CZERWCA

Jencks przewrócił się na drugi bok i zerknął na zegarek. Była siódma rano. Mógł spędzić w łóżku kolejną godzinę, ale nie chciało mu się spać. Nie czuł też zmęczenia. Był podekscytowany, bez śladu zdenerwowania. To dobrze wróżyło. Wstał z łóżka i podszedł do zegarów - małych aluminiowych pudełek wielkości książek. Podniósł jedno z nich i zdjął tylną pokrywę, odsłaniając mechanizm - dwie tarcze numerowe i rzędy podobnych do srebrnych guzików baterii rtęciowych. Jedna tarcza była miniaturowym galwanometrem mierzącym stan naładowania baterii; drugą zrobiono z zegarka na rękę marki Omega, cechującego się wyjątkową dokładnością, który służył jako mechanizm zegarowy.

Nakręcił zegarek. Igła galwanometru drgnęła - znak, że urządzenie działało jak należy. Powtórzył czynność z drugim zegarem. I tym razem galwanometr wskazał zadowalający przepływ prądu. Nic dziwnego, pomyślał. Sam przecież zaprojektował zegary, a wykonano je w małym warsztacie mechanicznym w Reno, specjalizującym się w nietypowych zleceniach dla hobbystów i wynalazców amatorów. Właściciele warsztatu nie mrugnęli okiem, gdy Jencks przedstawił im plany. Wyjaśnił, że to części do tosterka i ekspresu do kawy; chciał, żeby automatycznie włączały się rano. Co więcej, pochwalili pomysłowość jego projektów. Mieli jedynie zastrzeżenia co do wielkości układu, która - ich zdaniem - zawyżała koszty, ale to wszystko.

Jencks nabrał ochoty na tost i kawę. Ubrał się szybko i zszedł na dół na śniadanie.

• • •

Miguel wstał i ogolił się, nawet przez sekundę nie zastanawiając się nad czekającym go zadaniem. Żył chwilą obecną, nie dbał o przy-

szłość, nie odczuwał strachu i nie robił sobie żadnych nadziei. Poza tym miał paskudnego kaca, zapuchnięte oczy i bolała go głowa. Po spotkaniu nieźle sobie popił.

Zaciął się przy goleniu i zaklął siarczyście. Dzięki temu poczuł się lepiej i odzyskał jasność umysłu. Zapalił pierwszego papierosa i spojrzął na widoczną w lustrze zapuchniętą twarz. Zdegenerowany sukinsyn, pomyślał, ale nie jest z nim aż tak źle. Miał przed sobą jeszcze kilka dobrych lat. Przyłożył do policzka sztyft do tamowania krwi i znowu zaklął.

. . .

Bryan niespokojnie rzucał się na łóżku. Mijał na autostradzie kolejne ciężarówki, lawirując między nimi zielonym, sportowym samochodem. Po każdym manewrze wzdychał z ulgą i przez moment czuł się szczęśliwy, mając całą drogę wyłącznie dla siebie. Za każdym wzniesieniem czekała na niego kolejna ciężarówka. Jego auto było jedynym samochodem osobowym na autostradzie; oprócz niego znajdowały się tu tylko ciężarówki, które gnały jak szalone w obu kierunkach. Z czasem dość miał ciągłego zwalniania, wychylania się z za kolejnego samochodu, oceniania sytuacji i wyprzedzania w chwili, gdy kierowca ciężarówki zmieniał bieg, a z rury wydechowej buchała chmura cuchnących spalin.

Przez swoje zdenerwowanie zaczynał ryzykować. Wyprzedzał tiry na wzniesieniach i zakrętach. Wykonywał manewry w ostatnim momencie, ryzykując, że zostanie zgnieciony między ciężarówką, którą wymijał, a tą, która nadjeżdżała z naprzeciwka. Za każdym razem zmniejszał margines ryzyka. Każdy kolejny manewr był coraz bardziej niebezpieczny. Chciał się zatrzymać, ale nie miał zamiaru wlec się za cholernymi ciężarówkami i wdychać ich przeklętych czarnych spalin. Dlatego jechał dalej, wiedząc, że prędzej czy później skończy się wypadkiem. Zawsze tak było.

Obudził się zlany potem. Był to ten sam sen, który śnił z przerwami od kilku miesięcy. Za każdym razem taki sam, przerażająco rzeczywisty. Drżąc, wstał i poszedł do łazienki. Wziął długi, gorący prysznic. Do śniadania zdążył już zapomnieć o śnie.

. . .

Panna Elizabeth Shaw wyskoczyła z łóżka i podeszła do okna. Spojrzała na niebo i ściągnęła brwi. Dzień zapowiadał się niecieka-

wie. Na wschodzie gromadziły się ciężkie ciemne chmury, a słońce sprawiało wrażenie słabego i niezdecydowanego. Bez wątpienia będzie padać; pytanie tylko: kiedy. Miała nadzieję, że pogoda utrzyma się do wieczora. Przerazała ją myśl o tych wszystkich ludziach zamkniętych w hotelu i hałasie, jakiego narobią. Deszcz nie studził zapału gości, którzy w takie dni zachowywali się wyjątkowo hałaśliwie. Westchnęła na myśl o harmiderze, jaki spowodują dzieciaki z pokoju obok. Była ich trójka, małych francuskich diabłat, hałaśliwych demonów o twarzach aniołków i zwinnych, małych rączkach. Do tego ściany były tu cienkie jak papier. Nie to, co dawniej, kiedy budynki powstawały po to, żeby przetrwać wieki i zapewnić ludziom odrobinę prywatności.

Nie przestając wzdychać, zaczęła obierać banana. Kończyły jej się zapasy. Będzie musiała porozmawiać z tą uroczą dziewczyną.

. . .

- Jenny!

Powoli otworzyła oczy.

- Gdzie byłaś wczoraj po południu?

- Boże, to ty, Peter. - Nakryła głowę poduszką. Dlaczego ten człowiek nie zostawi jej w spokoju? Wiedział, że nienawidziła zamykać drzwi. Wykorzystywał to. Poza tym ubiegłej nocy musiała zostawić je otwarte, na wypadek gdyby Steve zdecydował się jednak przyjść do jej pokoju.

- Mówię poważnie, Jenny. Pokaż się. Chcę z tobą porozmawiać.

- Odejdź - odparła głosem stłumionym przez poduszkę.

- Wciąż to powtarzasz. Niedługo - warknął, złowrogo zniżając głos - to zrobię. Gdzie wtedy będziesz? W ramionach tego paskudnego osiłka? Naprawdę nie wiem, co w nim widzisz. Facet jest obrzydliwy.

Jenny podniosła głowę i spojrzała na niego. Wzrok miała spokojny, niemal znudzony.

- Peterze, jesteś dupkiem - rzuciła, ziewając.

Wzdrygnął się, jakby wymierzyła mu policzek.

- Cóż, skoro tak to widzisz, odejdę. Po prostu odejdę. Tu i teraz. Żegnaj.

Podszedł do drzwi. Jenny patrzyła na niego beznamiętnym wzrokiem. Był świadomy zmiany, jaka się w niej dokonała, i tego, że całkowicie straciła zainteresowanie nim. Zupełnie jakby przestał dla niej istnieć. Zatrzymał się z ręką na klamce.

- Naprawdę tego chcesz? - spytał.
 - Tak. - Przeciągnęła się zadowolona, jakby już go nie było.
 - Jak może podobać ci się ktoś taki? Ktoś tak pospolity, nieokrzesany i... i...
 - Peterze - przerwała mu Jenny. - On jest mężczyzną.
- Słyszając to, wypiął pierś.
- A ja nie?
 - Nie. Wybacz.
 - Cóż, w takim razie idź do diabła.
- Wyszedł, trzaskając drzwiami, ale nawet na korytarzu słyszał jej śmiech.

. . .

Pałac grube cygaro i próbując nie zakrztusić się dymem, Steven Jencks ukłonił się grzecznie dziewczynie za biurkiem i wyszedł na poranną przechadzkę. Wiedział już, że pracownicy hotelu się do niego przyzwyczaili; każdego ranka żwawym krokiem przecinał hol i szedł w stronę mostu, paląc wyjątkowo drogie i cuchnące cygaro. Jego pojawienie się nikogo więc nie zdziwiło.

Przeszedł przez most, wsłuchany w głucho szuranie własnych stóp. Dziesięć metrów niżej woda z chlupotem rozbijała się o poszarpane skały. Zadarł głowę i zerknął nerwowo na niebo. Na wschodzie wisiały niskie, ciężkie chmury, a w powietrzu czuło się nieprzyjemną wilgoć. Na Costa Brava burze nadciągały szybko i Jencks wziął to pod uwagę, kiedy tworzył swój misterny plan. Wykorzystując dane meteorologiczne z ostatnich pięciu lat, ustalił, że istnieje jedna szansa na siedem, że w dniu kradzieży pogoda się popsuje; jedna na dziewięć, że będzie pochmurno, a temperatura spadnie poniżej dwudziestu stopni; jedna na jedenaście, że przez część dnia będzie padać deszcz, i jedna na czternaście, że będzie lało przez cały dzień. Były to okazje, które należało wykorzystać.

Jencks sprawdził prognozy pogody na ten dzień. Według nich wczesnym rankiem w niedzielę miało zacząć padać. Dobrze, wręcz idealnie.

Zszedł z mostu i rażnym krokiem ruszył dalej drogą. Gdy był pewny, że nikt z hotelu go nie zobaczy, skrzywił się i z odrazą wyrzucił cygaro. Ohyda, pomyślał. Spojrzał na linie telefoniczne i energetyczne biegnące wzdłuż drogi. Dwa dni wcześniej zauważył słup, który idealnie nadawał się do tego, co zamierzał zrobić. Słup znajdował się piętnaście minut spacerem od hotelu, u podnóża pro-

słego lasem wzgórze. Drzewa częściowo zasłaniały go od strony drogi, dzięki czemu żaden kierowca nie zauważył turysty majstrującego przy przewodach na szczycie słupa telefonicznego.

Dotarł na miejsce i rozpiął pasek. Nie był to zwykły pasek z dziurkami i sprzączką. Kiedy go nosił, nikt nie widział, że tak naprawdę był dwa razy dłuższy. Owinął go wokół słupa i zapiął na końcu. Chwilę później zaczął się wspinać, opierając o drewno ciężkie podeszwy z kauczuku. Jak większość słupów w Hiszpanii, ten także był grubo ociosanym balem. Jencks postanowił to wykorzystać. Na wszelki wypadek spakował lekkie buty z kolcami - a właściwie buty sportowe z długimi kolcami - jednak wstępna inspekcja, której dokonał we wtorek, wykazała, że nie będą one konieczne.

Wdrapanie się na szczyt zajęło mu kilka chwil. Były tu dwa kable; do jednego podłączono siedem linii telefonicznych hotelu Reina, a drugi zaopatrywał obiekt w energię elektryczną. Oba oddziaływały od drewna prymitywne ceramiczne izolatory. Jencks przymocował taśmą ładunek do izolatorów, ostrożnie zamontował zapalnik i ustawił zegar na 00.48. Następnie przymocował zegar do słupa i dwoma drucikami połączył go z zapalnikiem. Upewniwszy się, że wszystko jest jak należy, zszedł ze słupa, rozpiął pasek i włożył go z powrotem.

Spojrzał na zegarek. Cała operacja zajęła mu raptem dziewięć minut. Liczył, że będzie to jedenaście; dobrze wiedzieć, że jest ostrożny. Wyszedł z holu niespełna dwadzieścia pięć minut temu, a zwykle wracał ze spaceru po pięćdziesięciu pięciu minutach. Miał więc mnóstwo czasu. Powoli powlókł się w stronę budynku.

Stojący w oknie hotelu przypadkowy obserwator zobaczyłby pana Jencksa, który z uśmiechem na twarzy wracał ze spaceru. Najwyraźniej lubił przebywać na świeżym powietrzu. Interesował się też kwiatami; na przykład portier odbył z panem Jencksem naprawdę długą rozmowę na temat kwiatów polnych i okresów ich kwitnienia. Pan Jencks był człowiekiem znającym się na rzeczy i bez wątpienia bardzo spostrzegawczym. Zawsze zatrzymywał się, by powąchać kwiat, i nic nie umknęło jego uwadze.

Portier nie był więc zaskoczony, gdy zobaczył, jak pan Jencks zatrzymuje się na moście i z uwagą wpatruje w wodę. Chwilę później zniknął pod mostem, a kiedy znów się pojawił, trzymał w dłoni bukiet krwistoczerwonych maków. Gdyby ktoś zapytał pokojówkę, powiedziałaaby, że pan Jencks zawsze miał w pokoju bukiet świeżych kwiatów. Taki już był.

Tymczasem Jencks zostawił pod mostem paczkę w rudawobrazo-

wym kolorze ziemi, którą wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcza przeciwdeszczowego. Tylko po to zszedł na dół; tam wpadł na pomysł, żeby zerwać kwiaty.

Wchodząc do hotelu, radośnie pomachał portierowi bukietem. W portierni spotkał Alana Brady'ego, który wymeldowywał się z hotelu.

- Cześć, staruszkule - rzucił Brady. - Jak tam nasz chłopiec?
- W porządku. Dostanę teraz pokój po tobie?
- Przecież wiesz. Jest twój. Mam nadzieję, że wykorzystasz go jak należy. Zwłaszcza że masz tam kawałek łóżka - dodał.

Brady uregulował rachunek i obaj wyszli na zewnątrz.

- Po co ci one? - spytał, patrząc na kwiaty.
- Podaruję je dziewczynie.
- Mam nadzieję, że to nie jedyna rzecz, którą jej dasz. - Wybuchł chrapliwym śmiechem.

Jencks odetchnął z ulgą, kiedy tym razem Brady poklepał własne kolano.

Przed hotel zajęchał mały hillman kabriolet. Za kółkiem siedział chudzielec z Barcelony. Jencks rozmawiał z Bradym, podczas gdy portier pakował walizki do bagażnika.

- Spokojnej podróży - powiedział Jencks, wyciągając rękę.
- Dzięki, dzięki. A ty korzystaj z urlopu, dzieciaku. I pamiętaj o regularnych posiłkach, żebyś miał siłę zrywać kwiaty.

Śmiejąc się, wsiadł do samochodu, a niski człowieczek wrzucił bieg. Brady po raz ostatni machnął mięsistą, czerwoną ręką i chwilę później samochód zniknął za mostem.

Jencks wrócił do holu i zauważył, że recepcjonistka jest tego dnia wyjątkowo rozpromieniona. Będzie musiał powiedzieć o tym Bryanowi.

- Chciałbym wynająć akwalung - oświadczył.
- Tak, oczywiście. Już teraz?
- Myślę, że po lunchu. Powiedzmy o czternastej; najpierw dam szansę jedzeniu.
- Będzie czekał na pana przy moło, obok kąpieliska.
- Przy tabliczce?
- Tak. Życzy pan sobie regulator i zbiornik?
- Absolutnie wszystko. - Patrzył, jak zapisuje jego nazwisko i godzinę na skrawku papieru i odkłada go na stos kartek. - Dziękuję bardzo.
- Nie ma o czym mówić.

Trzymając w dłoni bukiet maków, wsiadł do windy i wrócił do

pokoju. Wyrzucił wczorajszy bukiet i wstawił kwiaty do szklanki, która służyła mu za wazon. Cofnął się, żeby podziwiać swoje dzieło, i uznał, że czerwień maków wniosła odrobinę koloru do jasnoszarego wnętrza. Jencks był zdania, że takie drobne akcenty mają znaczenie.

• • •

Peter podniósł wzrok i zobaczył Jencksa, który wszedł do restauracji hotelowej i usiadł przy stoliku w drugim końcu sali.

- Po prostu nie wierzę - mruknął pod nosem.

Jenny była zdziwiona. Nigdy nie zamierzała się z nim przespać; dręczenie go sprawiało jej radość. To dlatego wybrała najbrzydszego mężczyznę w hotelu i poszła z nim do łóżka. Była to celowa, starannie zaplanowana zniewaga.

Do diabła z nią.

Patrzył, jak Jencks składa zamówienie i podchodzi do bufetu z przekąskami. Porusza się jak zwalista, niezdarna kupa mięsa, pomyślał Peter. W Eliot House mieszkało trzech takich jak on - potężnych, nieokrzyszanych piłkarzy, praktycznie wszyscy mieli warunkową zgodę na pozostanie w szkole, a i tak co noc żłopali piwsko, podrywali dziewczyny i chodzili na zajęcia ze stosunków społecznych. Wszyscy wiedzieli, że stosunki społeczne to kpina; kursy były odpowiednie dla ich małych mózdków.

A dziewczyny? Sposób, w jaki piszczwały i chichotały na imprezach, jak rzucały się na kolesia tylko dlatego, że paradował z numerem jeden na koszulce. Peter nie był w stanie tego pojąć.

Był to kult bohatera, dziwactwo kulturowe gloryfikujące tępych osiłków. Im bardziej poobijany był facet, im więcej miał blizn na twarzy i śladów po korkach na goleniach, tym bardziej podobał się dziewczynom. To nienormalne.

Jencks wrócił do stolika z talerzem przystawek, a Peter skupił swoją uwagę na Latynosie, który wszedł do restauracji. Jak on miał na imię? Mickey albo coś w tym stylu.

Peter nie miał pewności, czy koleś rzeczywiście jest Latynosem, ale tak wyglądał, wskazywały na to ciemne włosy i karnacja. W jego twarzy też było coś latynoskiego.

Przypomnił sobie dziewczynę, którą przedstawił mu Latynos; tę, która zasnęła, gdy opowiadał jej, że planuje napisać pracę o mistycyzmie w utworach George Eliot. Ona też wyglądała na Latynoskę, choć musiał przyznać, że była niezwykle atrakcyjna. Chętnie by z nią popływał, gdyby nie zasnęła. Tego było już za wiele. Każdy człowiek

ma swoją dumę, pomyślał Peter, nalewając sobie kieliszek wina.

Postanowił, że zakończy związek z Jenny.

Wyjedzie jutro z samego rana i nawet jej nie poinformuje. Chcąc go odnaleźć, będzie musiała pojechać do Barcelony i tam go poszukać. Kiedy przyjedzie, może będzie dla niej miły. Może.

Wyobraził sobie przejmującą, nieco sadystyczną i niezwykle satysfakcjonującą scenę spotkania. Kiedy z nią skończy, Jenny zaleje się łzami.

POPOŁUDNIE, DWUDZIESTY PIERWSZY CZERWCA

Jencks jęknął, zakładając na plecy ciężki zimny zbiornik. Obcięty na jeża, jasnowłosy Amerykanin, który pełnił funkcję ratownika i instruktora, wydawał się zaniepokojony.

- Za ciasne w ramionach? - spytał.

- Chyba tak - odparł Jencks.

- Niech pan odchyli głowę. Czujecie pan regulator? Tak, widzę, że go pan dotyka. Obniżę zbiornik. - Poprawił mocowania i obniżył butlę ze sprężonym powietrzem.

Jencks raz jeszcze odchylił głowę i tym razem nie uderzył podstawą czaszki w metalowy regulator.

- Teraz jest w porządku - ocenił Amerykanin. Zarzucił mu na ramiona rurki; ustnik wylądował na piersi Jencksa. Następnie wskazał na zwisające z uprząży, płócienne pasy. - Ten należy zapiąć w pasie i połączyć z trzecim paskiem, który biegnie w kroku. Proszę zapiąć je ciasno, ale tak, żeby było panu wygodnie. Przyniosę pas balastowy. - Spojrzał na Jencksa krytycznym wzrokiem. - Dobrze pan pływa?

- Idę na dno jak kamień.

Amerykanin pokiwiał głową. Jencks był potężnym mężczyzną, umięśnionym, nie grubym.

- Obciążymy pana wystarczająco, żeby pokonać wyporność zbiornika. Jaki ma pan rozmiar buta?

- Czterdzieści trzy.

Mężczyzna wrócił z pasem, maską i parą płetw.

- Proszę zanurzyć stopy w wodzie i przymierzyć te.

Jencks zrobił, co mu kazano; płetwy pasowały. Wziął maskę, opłukał ją w wodzie, splunął do niej i roztarł ślinę na wewnętrznej stronie okularów. Dzięki temu nie będą parowały. Jeszcze raz opłukał maskę i włożył ją. Gumowy pasek szarpnął go za włosy.

Zacisnął zęby na ustniku i poczuł w ustach smak rozgrzanej gumy. Amerykanin odkręcił powietrze i usłyszeli syk regulatora. Jencks

zrobił na próbę kilka wdechów. Powietrze było chłodne, czyste i suche.

- W porządku?

Jencks pokiwał głową i podszedł na skraj betonowego mola. Czuł się ociężały i niezdarny, mając na sobie płetwy i dodatkowe obciążenie. Amerykanin pomógł mu zejść po schodach.

- Ma pan powietrza na godzinę - wyjaśnił. - Przy zanurzeniu do dziesięciu metrów. Jeśli zejdzie pan głębiej, czas będzie krótszy.

Jencks wysłuchał go z uwagą. Wiedział o tym, choć nigdy wcześniej nie nurkował z akwalungiem. Przeczytał jednak każdą książkę na ten temat, jaką udało mu się zdobyć, łącznie z fachowym podręcznikiem wykorzystywanym przez amerykańską marynarkę wojenną. Wiedział, że zwiększenie głębokości o dziesięć metrów powoduje wzrost ciśnienia o jedną atmosferę, więc jeśli zejdzie na głębokość dwudziestu metrów, tlenu w butli wystarczy na pół godziny nurkowania, a na głębokości trzydziestu metrów wystarczy go ledwie na piętnaście minut. Zapoznał się tabelami dekompresyjnymi, choć w przypadku jednego zbiornika nie było to konieczne. Wiedział też, co mu grozi - zator powietrzny i narkoza azotowa. Mało prawdopodobne, ale wolał mieć świadomość ryzyka.

- Proszę zejść tyłem - poradził Amerykanin. - Niech pan przykucnie i spadnie na plecy. Zbiornik ułatwi sprawę, a woda jest tu wystarczająco głęboka. Proszę pochylić głowę i przytrzymać maskę ręką; w przeciwnym razie spadnie.

Jencks przykucnął na skraju mola, tyłem do wody. Zakołysał się na piętach i wpadł do zimnego morza. Otoczyło go mnóstwo srebrzystych bąbelków. Sześć metrów poniżej znajdowało się skaliste dno usłane wielkimi głazami. Łagodny prąd kołysał wodorostami. Jencks słyszał przytłumiony trzask krabich szczypiec. Poza tym pod wodą panowała cisza. Zaczął oddychać.

Z początku dźwięk regulatora i wypływające na powierzchnię bąbelki powietrza wydawały się strasznie głośne. Był to rytmiczny, rżący odgłos, któremu towarzyszył plusk wody, gdy przebijając nogami, schodził coraz niżej. Płynął w dół podwodnego brzegu wyspy - tej samej, na której wybudowano hotel Reina - aż na samo dno. Tam się zatrzymał i przełknął, chcąc zmniejszyć ciśnienie w uszach. Przepłynął przez ławicę małych rybek z jaskrawoniebieskimi grzbietami. Rybom nie przeszkadzała jego obecność, za to interesowały je srebrzyste bąbelki powietrza. Ułożył ręce wzdłuż tułowia i leniwie machnął nogami. Mijał kraby, czerwone rozgwiazdy i przyklejone do

skął ukwiały. Płynął dalej, tuż przy dnie, czuł nasiąkniętą wodą, płócienne pasy i trawę morską, która łaskotała go w pierś.

Kilka metrów dalej zauważył ośmiornicę. Była duża - ważyła co najmniej siedem kilogramów - i ciemnoszara. Przemykała nad skałami niczym cień z bulwiastą głową, przypominającą ruchomą kulę szlamu, i mackami, które wystrzeliwały do przodu i się cofały. Stworzenie wydawało się ohydne, zwłaszcza jeśli porównać je z rybami, które pływały wokół niego.

Woda stawała się coraz płytsza i niebawem zobaczył przed sobą pierwszy betonowy filar mostu. Zaskoczyła go delikatność konstrukcji, ale przecież nie był to duży most; miał może piętnaście, osiemnaście metrów długości.

Kilka słonecznych refleksów tańczyło na dnie morza. Jencks zatrzymał się przy pierwszym słupie, zadarł głowę i spojrzał w górę. Betonowy słup biegł prosto w górę i otoczony pierścieniem bąbelków wynurzał się na powierzchnię. Jencks rozejrzał się dookoła i zauważył trzy kolejne. Potrzebował chwili, żeby ustalić swoje położenie; podpłynął do kolejnego filaru i wynurzył się na skąpaną w popołudniowym słońcu powierzchnię wody. Kilka metrów dalej, na łądzie, leżała jego paczka.

Rozejrzał się, szukając najlepszego miejsca, żeby wyjść na brzeg. Przez kolejną minutę sapał i ślizgał się na skałach, zanim w końcu zdołał rozpiąć uprząż mocującą zbiornik z tlenem. Zdjął go z ramion i zakręcił zawór. Ulżyło mu, gdy pozbył się ciężaru. Chwilę później usiadł na ziemi i zdjął płetwy. Oparty o skałę czekał, aż osuszy go słońce. Nie chciał zamoczyć ładunku.

W dole pod mostem panował spokój. Z daleka słyszał dźwięki muzyki i ludzi, którzy bawili się i klaskali. Przyjęcie trwało w najlepsze. Choć nikt z hotelu nie mógł go zobaczyć, Jencks wiedział, że wejścia pilnuje dwóch policjantów i w każdej chwili jeden z nich może nabrać ochoty na przechadzkę po moście. To by była katastrofa; prawdopodobnie Jencks z miejsca zostałby zastrzelony.

Odegnął od siebie czarne myśli, wyprostował się i wytarł dłonie o ziemię. Sięgnął po zapakowaną w brązowy papier paczkę, którą raniem zostawił pod mostem. Otworzywszy ją, wyciągnął cztery laski dynamitu, zapalniki, zegar i kilka zwojów drutu. Ukrył się w cieniu mostu i rozejrzał za miejscami, w których można będzie zamontować ładunki.

Znalazł siedem punktów o decydującym znaczeniu dla całej konstrukcji. Pamiętał jednak zdjęcia i dobrze wiedział, które dwa

wybrać. Wziął dwie laski dynamitu i wdrapał się na wzgórze, do miejsca, gdzie most łączył się z lądem. Zamontował dynamit i zapalniki i wrócił pod most.

Teraz czekało go najtrudniejsze zadanie. Wyszedł na jezdnię i trzymając się jednego z filarów mostu, zawisł nad wodą. Trzymał w zębach worek z materiałem wybuchowym i zegarem. To przypominało mu czasy dzieciństwa, gdy huśtał się na drabinkach na szkolnym placu zabaw. Mięśnie miał napięte i dziękował Bogu, że jest zaledwie kilka metrów od miejsca, w którym jeden z filarów łączył się z drogą. Oplótł nogami przekątną rozporę i zaczął mocować do mostu laski dynamitu.

Nad jego głową przetoczył się samochód. Hałas i wibracje wystraszyły go; wydawały się tak bardzo bliskie.

Samochód się zatrzymał. Jencks wstrzymał oddech.

Powierzchnię mostu zrobiono z desek ułożonych obok siebie w odległości jednego centymetra. Byle ciekawski czy podejrzliwy, gdyby spojrział w dół, zobaczyłby go jak na dłoni. Czekał więc na to, co się wydarzy.

Chwilę później usłyszał nieprzyjemny, chrapliwy kobiecy głos, który powiedział po francusku:

- O co chodzi?

Drzwi do samochodu otworzyły się i zamknęły. Jencks usłyszał kroki.

- Pamiętałaś, żeby spakować moją maszynkę do golenia? - Kolejny dźwięk, tym razem otwieranego bagażnika.

- Tak, Henri, jestem tego pewna.

- Lepiej sprawdzę. - Dwa kliknięcia sugerujące, że otworzono walizkę.

- Jedźmy już, Henri. Jestem przekonana, że ją spakowałam.

- Tylko się upewnię.

- Jesteś okropny.

- A kto zostawił w Granadzie koszulę nocną? Tę, którą podarowałam ci na naszą rocznicę?

- To był błąd. Każdy ma prawo popełniać błędy.

- Musieliśmy po nią wracać. Dwieście kilometrów w obie strony.

- Henri, *sois gentil!*

Znowu dwa kliknięcia. Bagażnik zatrzasnął się z głuchym łoskotem.

- No i? - spytała kobieta. - A nie mówiłam?

Drzwi samochodu otworzyły się i zamknęły.

- Wołałem sprawdzić.
- Henri, dlaczego mi nie...

Reszta rozmowy utonęła w ryku silnika, gdy samochód zjechał z mostu na drogę. Jencks westchnął i podjął przerwana robotę. Ustawił zegar, taśmą przylepił go do słupa i podłączył kable. Następnie podłączył dwa kolejne przewody, łączące zegar z materiałami wybuchowymi na skraju drogi. Wydostanie się spod mostu nie było łatwe; dwukrotnie musiał czekać, wisząc na jednej ręce, wolną ręką owijając kable wokół filara. Na szczęście był silnym mężczyzną; przez ostatnie pięć tygodni cierpliwie pracował nad kondycją. Kiedy w końcu wrócił na ląd i podłączył resztę przewodów, miał tylko lekką zadyszkę.

Przez chwilę podziwiał swoje dzieło. Odwalił kawał dobrej roboty; przewody były prawie niewidoczne, podobnie jak ukryte pod mostem ładunki. Teraz w końcu wszystko było gotowe.

Podszedł do akwalungu i zaczął zapinać uprząż. Nie było to proste, bo paski wciąż jeszcze były mokre, ale niebawem wrócił do wody. W dłoni ścisnął rozmoknięty papier pakunkowy. Zszedł na głębokość dwunastu metrów i ukrył go pod kamieniem. Kiedy rozmokła masa wypłynie w końcu na powierzchnię, nikt nie rozpozna w niej papieru.

Poczuł dreszcz emocji, wiedząc, że teraz cały plan nieodwołalnie wkracza w fazę końcową. Z technicznego punktu widzenia był to minus; swojego czasu rozważał zdalne zdetonowanie ładunków, dzięki czemu w ostatniej chwili mógłby zmienić decyzję o wysadzeniu mostu. Pasowało to do modelu kryterium Savage'a *. Ostatecznie jednak zdecydował się na zegary, proste rozwiązanie, które eliminowało ryzyko, że jakiś radiooperator przypadkiem zdetonuje ładunki w środku dnia.

* Kryterium Savage'a, zwane również regułą minimaksu - kryterium podejmowania decyzji w warunkach niepewności.

Wypłynął na głębszą wodę i zszedł na dno. Ciemna zieleń ustąpiła miejsca rozmaitym odcieniom szarości. Był teraz naprawdę głęboko. Płynął powoli, czekając, aż skończy mu się tlen. Po kilku minutach zaczął mieć problemy z oddychaniem. Sięgnął ręką do tyłu i szarpnął drążek uruchamiający zapasy powietrza. Odetchnął i popłynął w stronę powierzchni.

. . .

Bryan rozejrzał się po korytarzu i wszedł do pokoju. To tu zatrzymał się ten przyszczaty dzieciak; spojrzał z niesmakiem na ciśniętą w

nieładzie stertę rzeczy - szarą bluzę z czerwonym napisem „Harvard”; nylonową wiatrówkę rzuconą obok egzemplarza *Żyj i pozwól umrzeć*; koszule z brudnymi kołnierzykami - i w myślach zaczął odkładać je na swoje miejsce. Wyprostował palce i napiął mięśnie rąk. Zaraz potem zaczął pospiesznie przetrząsać zawartość pokoju.

. . .

- Steve!

Zatrzymał się. Jenny poderwała się z leżaka i podbiegła do niego. Wyglądała na wyjątkowo szczęśliwą.

- Cały dzień cię nie widziałam.

- Spacerowałem po okolicy - wyjaśnił. - I nurkowałem z akwalungiem. Próbowalaś kiedyś? - Gdy pokręciła głową, dodał: - Świetna sprawa.

- Znam lepsze rozrywki - odparła.

Czekała cierpliwie i Jencks dobrze wiedział, czego chciała. Była to delikatna sytuacja; on unikał jej przez cały wczorajszy dzień, a teraz był zmuszony spędzić trochę czasu w jej towarzystwie. Jutro, kiedy wszyscy będą analizować zachowanie ludzi, których poznali, odkąd przyjechali do hotelu, jakakolwiek niechęć z jego strony może wydać się jej podejrzana.

- Co powiesz na drinka i kolację?

- Miałam nadzieję, że o to zapytasz. Ale czy nie za wcześnie na koktajl?

- Możemy znaleźć sposób, żeby zabić czas - odparł.

Uśmiechnęła się. Miała na sobie bikini i jej błądy brzuch delikatnie się zaróżowił. Wyglądała oszalamiająco w obcisłym materiale, który opinał jej piersi i biodra.

- Przyjdź do mojego pokoju.

- Powiedział pająk do muchy - zażartowała.

Jencks się uśmiechnął; przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Nie mógł dopuścić do tego, by znowu wylądowali w łóżku. Cóż, pomyślał, dziś będzie musiała się postarać. Zrobi to z przyjemnością; tak wielką, że wystarczy jej dla nich obojga.

Weszli do windy.

- Widziałam dziś Petera - oznajmiła.

- I?

- Myślę, że wyjeżdża. Wydawał się bardzo zdenerwowany. - Nie przejmowała się tym, ale nie było wątpliwości, do czego zmierza. Przyjechała tu z Peterem; kto więc ją odwiezie?

- Jenny - zaczął - myślę, że nie powinniśmy pozwolić, żeby to wszystko zabrnęło za daleko. Prosto stąd jadę do Rzymu w interesach.

- W porządku. Nie zamierzam robić ci kłopotu; zresztą mam dość swoich pieniędzy. Nie przejmuj się mną, naprawdę.

- Cóż, musimy się nad tym zastanowić - odparł niepewnie.

W Rzymie będzie zajęty. Ukrywanie przed nią swoich działań byłoby dużą niedogodnością, a poza tym zawsze istniało ryzyko, że dziewczyna go przejrzy. W końcu podawanie się za eksperta w dziedzinie komputerów było dość ryzykowne.

- Proszę, weź mnie ze sobą.

- Przedyskutujemy to.

Weszli do pokoju i Jenny usiadła na łóżku. Jencks zniknął w łazience i wziął gorący prysznic. Kiedy wyszedł, dziewczyna nadal siedziała na łóżku i wyglądała na rozbawioną.

- Coś się stało?

- Zastanawiałam się tylko... nie, nic się nie stało. - Wstała, podeszła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję. - Pomóż mi się tego pozbyć, dobrze?

Dotknął jej pleców i rozpiął haftkę biustonosza. Jenny potrząsnęła ramionami i materiał spadł na podłogę. Jej duże piersi zakołysały się, sutki stwardniały, gotowe do pieszczot. Przytuliła się do niego.

- To tylko część zadania.

Sięgnął ręką w dół, do skąpych majtek, i chwilę później stała przed nim zupełnie naga. Cofnęła się i okrążyła go, czując, jak błdzi wzrokiem po jej piersiach, wąskiej tali i krągłych biodrach. Nad każdym pośladkiem miała niewielkie wgłębienie, coś jak dołeczek w policzku; wcześniej tego nie zauważył.

Położyła się na łóżku i przeciągnęła.

- Możemy spróbować czegoś nowego - oświadczyła. - Oczywiście, jeśli jesteś zainteresowany. - Spojrzała na niego. - A widzę, że jesteś - dodała.

Ma rację, pomyślał Jencks, kładąc się obok niej. Był bardzo, ale to bardzo zainteresowany.

. . .

Miguel przekręcił klucz. Nic się nie wydarzyło. Sukinsyn, pomyślał. Wyciągnął klucz, obejrzał go i wypróbował kolejny. Tym razem usłyszał ciche kliknięcie i drzwi się otworzyły.

Już drugi raz użył niewłaściwego klucza. Takie błędy, przez które musiał wystawać na korytarzu, majstrując przy drzwiach do cudzego

pokoju, były ryzykowne. Powinien mieć się na baczności.

Skupił całą uwagę na pokoju przesiąkniętym zapachem Chanel No. 5. Mieszkali tu państwo LaBarre - on był chudym facetem z haczykowatym nosem, a ona wiedźmą, która nosiła bikini mimo tłustego, obwisłego cielska. Kobieca próżność, pomyślał. Spoglądał kolejno na meble - stolik, komodę i łóżka - zapamiętując układ leżących na nich przedmiotów. Dopiero gdy miał pewność, że nic nie umknęło jego uwadze, zaczął przeszukiwać pokój.

Na zewnątrz po niebie przetoczył się grzmot. Zaskoczył Miguela i zaniepokoił. Cały dzień zbierało się na burzę. Miguel miał nadzieję, że nie zacznie padać, bo to by oznaczało, że goście wrócą do pokoi. On tymczasem miał jeszcze mnóstwo roboty.

NOC, DWUDZIESTY PIERWSZY CZERWCA

Po kolacji Jencks wymówił się zmęczeniem i zostawił Jenny w czytelni, w otoczeniu francuskich pism o modzie. Sam natomiast wyszedł do holu.

- Jak się nurkowało, panie Jencks? - Głos należał do recepcjonistki. Dziewczyna wyglądała promiennie. Dokonała się w niej jakaś zmiana, pomyślał.

Wszedł do windy i nacisnął przycisk z numerem 4. Na szczęście tego dnia windziarz nie pracował. Jadąc na górę, wyciągnął z kieszeni klucz i włożył do zamka windy. Kiedy dźwig zatrzymał się na czwartym piętrze, otworzył drzwi i wyjrzał na korytarz. Pusto. Przekręcił klucz, blokując windę. Następnie zgiął klucz i złamał go, zostawiając fragment w zamku. Wyjął z kieszeni małą, zasilaną bateriami grzałkę i przycisnął do zamka. Kiedy ją cofnął, zobaczył, że resztką klucza stopiła się we wnętrzu mechanizmu. Klucz zrobiono ze stopu Wooda - mieszanki cyny i ołowiu o bardzo niskiej temperaturze topnienia. Był to ten sam metal, którego używali Francuzi do zamykania butelek z winem.

Zadowolony z faktu, że winda pozostanie nieczynna przez co najmniej dwa dni, zszedł schodami na drugie piętro i wszedł do pokoju, żeby się przebrać. Blokada windy nie była kluczowym elementem planu; Jencks traktował ją jak drobną niedogodność, która spotęguje późniejsze zamieszanie.

Dochodziła 21.30.

Ubrał się powoli, przykładając dużą wagę do szczegółów. Smoking, który włożył, nie będzie zaskoczeniem dla nikogo, kto nie znał Jencksa. Był czarny, nie niebieski, szyty na miarę, nieco luźniejszy w okolicach lewego ramienia, ze spiczastymi klapami, nieco szerszymi niż te, które były obecnie w modzie. Gdyby ktoś sprawdził, za jedną z nich znalazłby agrafkę. Nie włożył trzewików, tylko buty z dziurkowanymi noskami, wyczyszczone do połysku i niczym się

niewyróżniające, poza tym, że podeszwy były zrobione z gumy, a nie ze skóry

Włożył do kieszeni parę czarnych nylonowych rękawiczek i czarny kaptur, również z nylonu, z wyciętymi dziurami na oczy. Wszystko to zajmowało mniej więcej tyle miejsca, co chusteczka do nosa. Podszedł do walizki i znalazł latarkę kieszonkową, schował ją w górnej kieszeni.

Zadowolony przejrzał się w lustrze. Poprawił muszkę i po raz ostatni rozejrzał się po pokoju.

Jego wzrok zatrzymał się na biurku. Obok hotelowej papeterii i podkładki do pisania leżał czarny zapalnik ze srebrną końcówką. Do diabła! Od jak dawna to tu leży? Jak mógł o tym zapomnieć? Wziął przecież wystarczająco dużo zapalników.

Usiadł na łóżku, żeby w spokoju się zastanowić, i przypomniał sobie, że Miguel przyniósł dodatkowy zapalnik, „tak na wszelki wypadek”. To wszystko tłumaczyło. Jednak nie był zadowolony. Jenny spędziła w tym pokoju prawie trzy godziny. Czy zauważyła zapalnik? Mało prawdopodobne - gdyby tak było, powiedziałaaby coś, skomentowała albo zapytała.

Westchnął i przeklął w duchu własną głupotę. To małe przeoczenie mogło okazać się brzemienne w skutkach, a stawka była zbyt duża, by mogli sobie pozwolić na choćby najmniejszy błąd. Po raz kolejny zerknął na zegarek - 21.50. Za trzy godziny będzie po wszystkim.

. . .

Bryan siedział w kabinie męskiej toalety przylegającej do klubu nocnego. Ostrożnie ustawił zegar ukryty w paczce chesterfieldów, którą schował do kieszeni. Następnie spuścił wodę i poszedł umyć ręce. Dał staruszkowi w wykrochmalonym uniformie pięć peset.

Wyszedł z toalety i wrócił do stolika w kącie sali. Na niskiej scenie siedział gitarzysta flamenco. Jego palce tańczyły na strunach, a twarz ociekała potem. Bryan zignorował występ i całą uwagę skupił na kobiecie, która podchodziła właśnie do jego stolika.

- Cześć - powitała go Annette. - Mam nadzieję, że nie jesteś zły, że wpraszam się na twoją imprezę.

- Jest mi niezmiernie miło - odparł, siląc się na uśmiech. - I tak niewiele się tu dzieje. Nie boisz się, że zobaczą cię w towarzystwie gościa? - zapytał z udawaną lekkością, starając się ukryć niepokój. Niedługo będzie musiał się jej pozbyć, przynajmniej na kilka minut.

Zerknął na zegarek - 22.30. Nie chciał trzymać ładunku w kieszeni dłużej niż przez godzinę. Nie dlatego, że nie ufał zegarowi; po prostu wyobrażał sobie, że nagle „bum!” zmieni go w żywą pochodnię.

- Dziś wieczorem mam ochotę być nierozważna - odparła Annette. - Poza tym strasznie tu ciemno.

- Czego się napijesz?

- Czegokolwiek - stwierdziła, zapalając papierosa.

Na widok płomyka Bryan zrobił się nerwowy.

- Szampan - zdecydował. Wleje w nią całe mnóstwo szampana i będzie się modlił, żeby nie miała pojemnego pęcherza.

Uśmiechnęła się.

- To impreza.

Poprosił kartę win i zamówił szampana z dobrego hiszpańskiego rocznika.

- Nie za drogi?

- Jestem w nastroju do świętowania.

Przez chwilę wierciła się na krześle i usłyszała, jak krzyżuje nogi w nylonowych pończochach. Miała na sobie szyfonową bluzkę z kryzą i mankietami, i czarną jedwabną spódnicę. Patrząc na nią, poczuł, jak wzbiera w nim pożądanie. Wszystko przez napięcie i emocje związane z rabunkiem. Był spięty, pełen negatywnej energii i niemal tonął w adrenalinie. Nie to, co kiedyś, gdy podejmował się takich zadań bez zmruczenia oka.

Westchnął.

- Coś nie tak? - spytała.

- Nie. Flamenco zawsze budzi we mnie smutek.

Spojrzała na gitarzystę, jakby widziała go po raz pierwszy.

- Słyszałam, że to potwornie trudne. Zostało tylko kilku wirtuo-zów i sztuka umiera. Nauka ciągnie się latami, a kiedy dobiega końca, człowiek i tak jest muzykiem, który gra za grosze w nocnych klubach.

Kelner przyniósł szampana i odkorkował butelkę. Oboje skosztowali trunku.

- Wystarczająco wytrawny? - spytał Bryan.

- Tak.

- Kto pilnuje interesu?

- Pytasz o recepcję? Jedna z dziewczyn. Normalnie zająłby się tym pan Bonnard, ale pracuje dziś w swoim biurze.

- Kiepski sposób na spędzanie sobotniego wieczoru. - Bryan się nie przejmował; pożar z pewnością wykurzy dyrektora z gabinetu.

- Mówiłeś, że jesteś w nastroju do świętowania - przypomniała

Annette.

- Tak - odparł Bryan. - To dla mnie wyjątkowy dzień.
- Czyżby?
- Mam dziś urodziny.
- Gratulacje. - Uniosła kieliszek i opróżniła go. Bryan natychmiast go napełnił.

Grzeczna dziewczynka, pomyślał, patrząc, jak podnosi kieliszek do ust. Do dna, do dna.

. . .

Elegancki i beztrocki Jencks odetchnął wilgotnym nocnym powietrzem i spojrzął na basen. Był oświetlony i wyglądał zapraszająco, ale w pobliżu nie było żywej duszy; usłyszał odgłos burzy i pierwsza błyskawica na krótką chwilę rozświetliła niebo. Przeszedł na stronę hotelu z widokiem na morze i podszedł do basenu z wodą morską. Tam się zatrzymał, wyciągnął papierosa i pstryknął zapalniczką. Płomień strzelił w górę. Zaskoczony Jencks natychmiast go zgasił. Spróbował raz jeszcze, ale i tym razem płomień był zadziwiająco wysoki. Przy trzeciej próbie zapalił papierosa. Palił przez chwilę, patrząc na morze. Ktoś spostrzegawczy zauważyłby, że w ogóle się nie zaciąga.

Przy brzegu, na łodzi, która kołysała się i podskakiwała na falach, mężczyzna znany jako Barry obserwował hotel przez lornetkę. Był przyzwyczajony do oceanu, tak więc stał pewnie na pokładzie, nawet na chwilę nie spuszczać wzroku z obiektu. Zauważył trzy krótkie rozbłyski i zerknął na zegarek - 23.30. To był ostateczny sygnał, ostatni kontakt, zanim o 00.50 podpłynie do mola, żeby odebrać paczkę.

Kiedy Barry obserwował hotel, z nieba spadły pierwsze ciężkie krople deszczu. Znosi się na porządną burzę, pomyślał. Sięgnął po płaszcz przeciwdeszczowy. Był czarny, tak jak życzył sobie tego Jencks. Facet najwyraźniej pomyślał o wszystkim.

. . .

Zmęczony i przygnębiony Miguel delikatnie zamknął za sobą drzwi. Od razu wiedział, kto mieszka w tym pokoju. Jego zawartość mówiła wszystko - pięć walizek, wszystkie duże i częściowo rozpakowane, ogromny stos bananów i rozstawione na toalecie kosmetyki i pudry. Lokatorką musiała być angielska dama z uroczym

uśmiechem i haszyszem na sprzedaż. Słodka, stara oszustka - chciała za swój towar prawdziwą fortunę.

Uśmiechnął się i wziął się do roboty. Staruszka na pewno miała tu jakieś kosztowności.

. . .

Annette zachichotała, gdy kelner przyniósł czwartą butelkę szampana.

- Chcesz mnie upić. - Powiedziała to tak niewyraźnie, że z trudem ją zrozumiał.

- Wcale nie - odparł. Próbował określić, ile wypła w ciągu ostatniej godziny. Jeśli się nie mylił, wlała w siebie co najmniej dwa i pół litra alkoholu. Co z nią? Zachowywała się jak stała bywalczyni pubów, zupełnie niewrażliwa na zew natury.

Strzelił korek, przerywając występ artystki, która przyciskała piersi do mikrofonu.

- Na zdrowie - rzucił Bryan, podnosząc kieliszek.

Annette uniosła swój i chciwie wypła jego zawartość.

- Mmm - mruknęła, zamykając oczy. - Mmm.

Bryan dołał jej szampana. Miał wrażenie, że przez cały wieczór nie robi nic innego.

- Jeszcze? - W zamyśleniu spojrzała na bąbelki i nachyliła się, żeby ich posłuchać. - Próbujać mi coś powiedzieć - oznajmiła.

- Co takiego?

- Że jesteś przebiegłym mężczyzną, który lubi upijać małe dziewczynki.

- Nigdy. Na zdrowie.

Wzniesli toast i Annette na raz wychyliła zawartość swojego kieliszka.

- Sporo wypila - oznajmiła.

- Poważnie? - spytał z nadzieją.

- Więc lepiej nalej mi jeszcze.

- Z przyjemnością. - Obdarzył ją słabym uśmiechem.

Nie przestawał myśleć o ukrytej w kieszeni paczce chesterfieldów. Dochodziła północ. Niedługo będzie musiał się jej pozbyć.

- Pyszny szampan - stwierdziła Annette. - Bardzo, bardzo dobry. Ale muszę ci coś powiedzieć.

Spojrzał na nią, kołysała się w przód i w tył.

- Już czas - ciągnęła. - Gdzie jest toaleta?

- Po lewej, za czerwonymi drzwiami.

Bez słowa podniosła się i wyszła. Bryan odetchnął z ulgą, sięgnął do kieszeni i cisnął paczkę chesterfieldów w kąt sali. Pudełko wylądowało z głuchym stuknięciem obok zasłon. Nikt się nie odwrócił, nikt niczego nie usłyszał. Piosenkarka śpiewała coś o mokrych paryskich ulicach. Wydawała się smutna.

Bryan miał nadzieję, że Miguel przekaże Jencksowi wiadomości. Nie miał jednak pewności i denerwowało go to. Cóż, bez względu na wszystko, operacja dobiegła końca. Nie mógł zaprzętać sobie głowy takimi drobiazgami.

Raz jeszcze rzucił okiem na zegarek. Była północ. Za niecałą godzinę będzie po wszystkim.

**NIEDZIELA, NOC,
DWUDZIESTY DRUGI CZERWCA
(00.00-1.00)**

Trzydzieści pięć minut po północy Jencks wyszedł z czytelnicy, gdzie przeglądał numery „Life” i „Look” z ubiegłego miesiąca. W holu spotkał Miguela.

- Posłuchaj - zaczął Miguel - musimy porozmawiać.
- Nie tu - syknął Jencks. - Nie teraz.
- Posłuchaj, to...
- Daj spokój. Wracaj do pracy.

Podszedł do drzwi i stanął obok portiera. Przez kilka minut rozmawiali o deszczu, który lał jak z cebra. Zerwał się wiatr i portier stwierdził, że morze jest wzburzone; skif mógł zerwać się z cumy. Słyszał, że dyrektor hotelu, pan Bonnard, wysłał kogoś, żeby to sprawdził.

Jego zdaniem wiatr i woda mogły porwać cały budynek, który - z szacunkiem dla szanownych gości - nie był wart funta kłaków. Czy pan Jencks wie, że winda znów się zepsuła? Jencks odparł, że słyszał coś na ten temat. Cóż, portier wiedział, że w ciągu roku zepsuła się już trzy razy. Szmelc, oto czym jego zdaniem był hotel Reina. Tandetny od początku do końca. Z całym szacunkiem, proszę pana.

Nawet po tym, jak Jencks zostawił go samego, mężczyzna nadal gardłował. Przed hotel zajęchała taksówka.

Jencks przeciął hol, podszedł do budki telefonicznej i wszedł do środka. Kiedy zamknął drzwi, światło się zapaliło. Wyciągnął rękę i wykręcił żarówkę, przez co budka pogrążyła się w ciemności. Odwinął klapy marynarki, tak by zakryły białą koszulę, i spiął je agrafką. Wyciągnął kaptur i włożył go na głowę. Na koniec włożył cienkie czarne rękawiczki. Ubrany od stóp do głów na czarno, usiadł i cierpliwie czekał. Nie patrzył na zegarek. Nie musiał.

. . .

Jean-Paul siedział sam przy barze, popijał cutty sark z wodą i słu-

chał grubej krowy, która stojąc na scenie, próbowała śpiewać po francusku. Nagle usłyszał głośny świst, jakby silny podmuch wiatru otworzył okno. Spojrzał przez ramię i zobaczył, że jedna ze ścian klubu stoi w ogniu. Ludzie, przewracając krzesła, zrywali się od stolików, kobiety piszczały.

Chwycił za ramię przechodzącego kelnera.

- Gdzie jest gaśnica? - spytał.

Mężczyzna był oniemiały z przerażenia. Poruszył ustami, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk. Jean-Paul potrząsnął nim.

- Gdzie jest gaśnica? - powtórzył.

- Tam - wydukał w końcu kelner. - Przy toaletach.

W barze zapanował chaos. Piosenkarka niczym weteranka sceny nie przestawała śpiewać, jednak jej wysiłki nie uspokajały gości. Jedna z kobiet zemdląła. Ludzie biegali w tę i z powrotem. Ktoś, próbując uciekać, wybił szybę, co tylko pogorszyło sytuację - silny wiatr podsycił ogień i płomień buchnęły aż pod sufit.

Jean-Paul zeskoczył ze stołka i zaczął się przepychać między ludźmi i meblami. Szło mu to wolno, ale nie spuszczał oczu z czerwonej butli wiszącej obok drzwi do toalety. Dlaczego żaden z pracowników jeszcze po nią nie sięgnął? Czarny dym szczypał go w oczy, podeszwy butów chrzęściły na potłuczonym szkle.

W tym momencie zobaczył pana Bonnarda, który wpadł do pomieszczenia i z zadziwiającą siłą zaczął odpychać ludzi. Krzyczał coś do kierownika sali, który nagle odzyskał zdrowy rozsądek i pobiegł po gaśnicę.

W tej samej chwili cała sala pogrążyła się w ciemności.

. . .

Jencks wyszedł z budki telefonicznej i przywarł plecami do ściany. W holu panowały nieprzeniknione ciemności; rozhisteryzowana dziewczyna za biurkiem krzyczała jak opętana. Będzie musiał się pospieszyć. Lada chwila ktoś uspokoi się i zapali zapałkę.

Postąpił siedem kroków do przodu, ostrożnie skręcił w prawo i zrobił kolejne trzy kroki. Wyciągnął rękę i dotknął ściany. Obok niego, krzyżąc, biegali ludzie. Ciężki, smolisty dym wypełniał powietrze.

Jencks szedł ostrożnie wzdłuż ściany. Hol pełen był ludzi. Kilkoro wpadło na niego, biegnąc, nie wiadomo dokąd i po co. Panowało ogólne zamieszanie, którego nikt później nie pamiętał. Jego dłoń natrafiła na krawędź zamkniętych drzwi i przez chwilę szukał klamki.

Bez skutku. Musiała znajdować się po drugiej stronie. Tak, wyczuł pod palcami zawiąsy.

Drzwi miały dziewięćdziesiąt centymetrów szerokości.

Jeden krok. Poczul pod palcami kolejną szczelinę i jego dłoń zamknęła się na klamce. Biuro pana Bonnarda. Zamknięte.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął klucz. Chwilę później był już w środku. Dopiero teraz odważył się włączyć długopisową latarkę. Wąski snop światła oświetlił stos listów i kartek, które widział tu rano. Obok leżała zjedzona do połowy kanapka.

Obszedł biurko i otworzył drzwi do szafy. W tej samej chwili usłyszał szczeł klucza. Wszedł do szafy i wstrzymując oddech, zaczął się modlić.

Drzwi gabinetu otworzyły się. Wszedł zziębnięty pan Bonnard, ze świecą w rękę. Drżący żółty płomyk ledwie rozświetlał mrok. Na zewnątrz słychać było krzyki i bieżące. Pan Bonnard był sam, z trudem łapał powietrze i przeklinał po niemiecku.

Podszedł do biurka i zaczął przetrząsać zawartość szuflad. Jencks obserwował go z duszą na ramieniu. Drzwi szafy były uchylone i choć był ubrany na czarno, wystarczyło wyteńczyć wzrok, by go zauważyć.

Dyrektor hotelu nie przestawał mrużyć pod nosem i szperać w szufladach. Robił to jedną ręką, w drugiej trzymając świecę. W końcu chrząknął z zadowoleniem i w triumfalnym geście podniósł do góry dwie latarki. Pospiesznie wypróbował każdą z nich. Jedna działała, druga nie. Tę cisnął z powrotem do szuflady i wyprostował się, gotowy opuścić biuro.

Zawahał się jednak, omiół światłem latarki pomieszczenie i podejrzliwie ściągnął brwi. Zaraz jednak wyszedł, zatrząskując za sobą drzwi.

Jencks niczym cień wyszedł z mroku i pochylił się nad sejfem. Musnął palcami chropowatą szarą powierzchnię metalu. Wprawną ręką przekreślił tarczę.

Gdzieś za drzwiami pan Bonnard zaryczał jak ranny bawół. Jencks nie zwracał na niego najmniejszej uwagi; skupiał się wyłącznie na tarczy, ostrożnie ustawiając kombinację liczb. W prawo, w lewo... znowu w prawo i jeszcze raz w lewo... Ciężkie drzwi stanęły otworem.

Skierował snop światła do wnętrza sejfu.

Nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Kierowca taksówki zatrzasnął drzwi i wrzucił pierwszy bieg. Wycofał sprzed hotelu i z rykiem silnika przejechał przez most. Łatwizna, pomyślał. Najłatwiejsze pięć tysięcy peset, jakie zarobił w życiu.

• • •

Podpływając łodzią do doku, Barry zauważył, że wszystkie światła w hotelu pogasły. Zaklął pod nosem. Mógł się domyślić, że chodziło o kradzież. Nieźle. Był głupi, że zgodził się wykonać tę robotę za marne dwa tysiące. Spokojnie mógł dostać dwa, a nawet trzy razy tyle. Należało mu się. Będzie musiał żyć w tym kraju, co stanie się niezwykle trudne, gdy policja zacznie węszyć. Przydałyby mu się krótkie wakacje; może miesiąc albo dwa w Lizbonie. Mógł zamieszkać u ciotki.

• • •

Jencks gapił się w osłupieniu. Nie wierzył własnym oczom. Oprócz starannie ułożonych papierów, które nie przedstawiały żadnej wartości, sejf był pusty. Niemożliwe, absolutnie niemożliwe. Poświecił latarką do każdego kąta i przejrzał papiery.

Nic.

Wstrząśnięty zamknął sejf i zrobił krok w tył. Umysł podpowiadał mu, że powinien trzymać się planu, inaczej wszystko weźmie w łeb. Odruchowo podszedł do drzwi, wyłączył latarkę i wyszedł do holu.

W całym hotelu czuć było dym. Ludzie kasłali i z trudem łapali powietrze, w ich głosach słyhać było panikę. Jencks, tak jak poprzednio, przemykał pod ścianą i wpadł na Bryana.

- Masz? - spytał. Tylko jedna odpowiedź przychodziła mu do głowy - goście nie zawracali sobie głowy sejfem i trzymali pieniądze i biżuterię w pokojach.

- Nie - odparł Bryan.

- Dlaczego? - Jencks zeszytniał.

- Bo nie było co brać. Miguel próbował ci powiedzieć. Przeszukaliśmy pokoje i praktycznie niczego nie znaleźliśmy. Może dwieście dolarów w czekach i banknotach, nic więcej. Myśleliśmy, że wszystko jest w hotelowym sejfie.

Jencks się nie odezwał. Jego umysł pracował jak szalony, próbując wytłumić hałas i panujący dookoła zamęt.

- Jest tak, jak myśleliśmy? - spytał Bryan.

- Nie - odparł Jencks. - Sejf jest pusty.
- Pusty!
- Zamknij się - warknął Jencks. - Daj mi pomyśleć. Po prostu zamknij się na chwilę.
- Ale plan...
- Pieprzyć plan.

Bryan stał cierpliwie, słuchając krzyków ludzi i odgłosów deszczu. Burza rozszalała się na dobre. Nie rozumiał, co się dzieje, ale wiedział, że Jencks niebawem coś wymyśli.

Gdy Jencks się odezwał, w jego głosie pobrzmiwał szacunek, niemal podziw.

- Ktoś nas ubiegł - oznajmił. - Zostaliśmy okradzeni!

Huk, który usłyszeli w oddali, brzmiał jak stłumiony trzask pioruna, oni jednak wiedzieli, że właśnie zawalił się most.

NOC I RANEK
DWUDZIESTY DRUGI CZERWCA
(1.00-12.00)

Portier widział wszystko. Widział na własne oczy, jak odległy koniec mostu wybrzuszył się, wykręcił i runął do wody. Jako jedyny naoczny świadek znalazł się w centrum zainteresowania tłumu, który wyszedł na deszcz i zawodzący wiatr, żeby przyjrzeć się temu, co zostało z dźwigarów i rozpór. Ludzie byli przemoczeni, włosy lepiły im się do twarzy, ale mówili jeden przez drugiego, wyraźnie przejęci i zdenerwowani. Zupełnie jak na przyjęciu w ogrodzie, pomyślał z rozbawieniem. Spodziewał się, że wcześniej czy później coś takiego się wydarzy. Cały ten hotel to jedna wielka tandeta. Jego brat, który pracował na budowie w Saragossie, stwierdził, że hotelu Reina nie wybudowano jak należy. Portierowi to wystarczyło.

Pan Bonnard go przesłuchiwał i w strugach deszczu machał mu palcem przed nosem. Wyglądał śmiesznie z kosmykami rzednących włosów, które wpadały mu do oczu. Portier stłumił uśmiech.

- To wszystko, co widziałeś?
- Tak - odparł.

Pan Bonnard pokiwał głową, zadrżał i wrócił do środka. Powoli ludzie znudzili się patrzeniem na zniszczony most, mokrzy i przemarznięci zaczęli się rozchodzić. Dwójkami i trójkami wchodzili do holu. Właśnie wtedy portier przypomniał sobie taksówkę - trzask zamykanych drzwi i samochód, który odjechał w strugach deszczu na krótko przed wysadzeniem mostu.

Chwilę później zapomniał o tym, gdy pan Bonnard zawołał go, żeby pomógł rozstawiać świece. Zdaniem dyrektora hotelu tej nocy nie będą potrzebowali portiera.

. . .

Annette stała za biurkiem, rozmawiając z zaniepokojonymi gośćmi. Oświetlony blaskiem świec hol przywodził na myśl dom pogrzebowy. Klienci byli nieszczęśliwi. Chcieli wiedzieć „dlaczego”

- dlaczego winda nie działa, dlaczego nie ma światła, dlaczego most się zawalił. Co dyrektor hotelu zamierza z tym wszystkim zrobić? Annette zapewniała ich, że władze hotelu zrekompensują im wszelkie niedogodności, że rankiem łódź zabierze ich na łąd, że nie mają się czego bać i że wszystko jest pod kontrolą. Oświadczyła, że dzięki zapasowemu generatorowi zasilanie zostanie przywrócone, i owszem, rano będą mogli zjeść gotowane jajka i tosty. Tak, proszę pani. Z pewnością. Tak, proszę pana, oczywiście, proszę pana. Goście zasypywali ją gradem pytań, skargi zdawały się nie mieć końca. Prawdziwy koszmar.

W zamieszaniu wywołanym pożarem straciła z oczu Bryana. Kiedy wychodziła z baru, wszystko wskazywało na to, że ogień zostanie opanowany, ale w holu było gęsto od dymu. Niska staruszka z obwisłymi policzkami pytała ją o banany. Banany! Annette udzieliła jej uprzejmej odpowiedzi, mruczając pod nosem. Jeden z gości przepchnął się przed innych. Annette poinformowała go, że dołożą wszelkich starań, żeby jutro z samego rana mógł lecieć do Barcelony. A teraz ta kobieta, która koniecznie chciała rozmawiać z dyrektorem. Niestety, nie było takiej możliwości. Tak, oczywiście, dostanie dodatkowe koce. Pokojówka zadba o wszystko.

I tak do rana, aż ochrypła i nie miała siły się uśmiechać.

. . .

Peter pijackim wzrokiem gapił się w przeszkloną ścianę poprzetykaną strugami deszczu, które chłostały balkon pokoju. To była najbardziej kiepska noc w jego kiepskim życiu. Zawalenie się mostu utwierdziło go w przekonaniu, że nic nie jest tak, jak by tego chciał, i wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu.

Chwycił pustą walizkę i cisnął ją na łóżko. Zostawi ją, niech ją szlag! Właśnie tak po prostu odejdzie. Chwiejnym krokiem poszedł do łazienki po przybory do golenia. Sięgając po brzytwę, pomyślał o samobójstwie. Nie, cała ta sytuacja nie była tego warta. Ona nie była tego warta. Odepchnął od siebie tę niedorzeczną myśl.

Wrzucił przybory do golenia do walizki. Przyszła mu do głowy kolejna myśl - teraz, kiedy nie było mostu, nie będzie mógł opuścić wyspy swoim jaguarem XKE. A przecież nie mógł go zostawić. Będzie musiał poczekać, aż most zostanie odbudowany.

Jak długo to potrwa? Podszedł do szafy, wyjął ubrania i w nieładzie rzucił je na łóżko.

Może nie tak długo. Może powstanie tymczasowy most dla tych,

k którzy przyjechali tu samochodami. Wówczas wróci na Riwierę Francuską i zatrzyma się w Saint-Tropez. Było tam mnóstwo ładnych dziewczyn, które kręciły się w porcie i wylegiwały na plażach. Kiedy pojawi się w swoim jaguarze, będą jadły mu z ręki. Jednej nocy zaliczy cztery albo nawet pięć. Jenny może iść do diabła. Świat jest pełen pięknych dziewczyn.

Będzie się dobrze bawił, jedząc zupę rybną i wolną ręką macając pod stolikiem panienki. Potrzebował rozrywki. Hiszpania to niewłaściwy kraj - zbyt powściągliwy, zbyt formalny i pełen zahamowań. Wróci do Francji, gdzie dziewczyny wiedzą, co znaczy dobra zabawa.

Czując się nieco lepiej, rozebrał się i położył do łóżka.

• • •

Panna Shaw się martwiła. Sytuacja była naprawdę trudna. Zupełnie niespodziewana i prawdopodobnie całkiem poważna. Wszystko wskazywało na to, że będzie musiała przejść przez skomplikowane procedury, a jeśli dokumenty trafią do Brighton - a była pewna, że tak się stanie - jej siostra naprawdę się zdenerwuje. Jakby tego było mało, nie miała jak się z nią skontaktować, nie mogła wysłać telegramu, żeby ją uspokoić. Utknęli tu, Bóg jeden wie, na jak długo.

Była jeszcze kwestia policji. Ich też musiała wziąć pod uwagę. Wstała, wyjęła z torebki resztę towaru i spuściła w toalecie. Dzięki temu poczuła się nieco spokojniejsza. Lepiej, żeby nie trafiła do więzienia, z pewnością podupałaby na zdrowiu.

Przeklęty most. Nie mogła nic zrobić i strasznie ją to irytowało. Zaciśnęła pięść i zaczęła wygrażać deszczowi, który dobijał się do okien pokoju. Odpowiedział jej niski, niewzruszony pomruk burzy.

• • •

W sypialni panował mrok.

- Och - westchnęła Cynthia. - Właśnie tak.

Jean-Paul, wciąż przesiąknięty zapachem dymu, wchodził w nią, bawił się nią i ją rozpałał. Był dobry, ale musiała przyznać, że lekko ją rozczarował. Znacznie lepiej bawili się, gdy oboje byli upaleni. Następnym razem znowu sobie zapalą i zabawią się tak jak wtedy.

Na zewnątrz lało i wiało. Cynthia poczuła przypływ pożądania. Może jednak nie będzie aż tak źle.

• • •

Jencks siedział przy biurku oświetlony drżącym płomieniem świecy i próbował zrozumieć, co właściwie się wydarzyło. Przez ostatnią godzinę nie mógł się otrząsnąć. Wszystkie jego plany, jego misternie przemyślana intryga legły w gruzach. Niełatwo było się z tym pogodzić i Jencks brał pod uwagę inne możliwości.

Komputer się pomylił. Nie, to niedorzeczne. Owszem, mógł popełnić jakiś mały błąd, jeśli wprowadzono błędne dane, ale katastrofa tego kalibru była nie do pomyślenia.

Bryan i Miguel coś przed nim zataili. Nie, to również nie wchodziło w grę. Tylko on wiedział, jak szybko i bezpiecznie pozbyć się towaru. On jeden miał takie informacje i wiedział, że bez nich cała akcja nie miałaby sensu. Poza tym sejf okazał się pusty. Żaden z nich by go nie okradł.

A więc kto to zrobił? Wyglądało na to, że była to robota kogoś z hotelu. Może samego Bonnarda - ostatnio sprawiał wrażenie dość nerwowego. Może dziewczyn z recepcji. Może przedsiębiorczego, błyskotliwego pracownika hotelu.

Jedna po drugiej odrzucał kolejne opcje. Zaplanowanie takiego skoku nie mogło być dziełem amatora. To była robota profesjonalisty i tak właśnie musiał na to patrzeć.

- Brady - rzucił Miguel, który niczym burza wpadł do pokoju.
- Możliwe - odparł Jencks.
- Jak to „możliwe”? Kto inny mógłby zrobić coś takiego?
- Dobre pytanie - stwierdził Jencks. Bolała go głowa.

Poszedł do łazienki i w ciemności szukał aspiryny. Kiedy wrócił do pokoju, zastał w nim Bryana. Mężczyzna siedział na łóżku i wyglądał na bardzo zmęczonego.

- Pozbyłem się sprzętu - zaczął Jencks. - Latarki, gumowych worków, rękawiczek, wszystkiego. Pewnie teraz pływają już w morzu. Jesteśmy czyści.

- A więc to ten drań Brady - warknął Miguel. - Mógłbym go zabić. Skręcić mu tę tłustą szyję, jak...

- Zaczekaj - przerwał mu Jencks. - Nie wyciągaj pochopnych wniosków.

- Na litość boską...
- Cisza. - Jencks podniósł głos.

Urażony Miguel zamilkł. Jencks wstał i zaczął nerwowo krążyć po pokoju, zmuszając umysł do logicznego myślenia.

- To nie Brady - stwierdził ze spokojem Bryan.
- Skąd wiesz?

- Po południu wpadłem na panią Cleeves. Powiedziała, że czuje się znacznie lepiej; właśnie zdeponowała biżuterię w hotelowym sejfie. To znaczyło, że sejf otwierano po tym, jak Brady wyjechał. Zresztą nie miało to znaczenia. Brady nie przeprowadziłby takiej akcji w pojedynkę. Nie był zupełnie wolny od podejrzeń, ale nie można było stwierdzić, że na pewno brał w tym udział.

- O której widziałeś się z panią Cleeves?

Bryan wzruszył ramionami.

- W porze podwieczorku. Około szesnastej.

Było mało prawdopodobne, żeby ktoś wymeldował się z hotelu w sobotę po szesnastej. A to znaczyło, że złodzieje wciąż tu przebywali. Spojrzał na Bryana.

- Opisz pokój. Jakikolwiek pokój, jeden z tych, do których wszedłeś.

- Nie ma o czym opowiadać. Wchodziłem, zapamiętywałem rzeczy i zaczynałem szukać...

- Czy coś łączyło te pokoje?

Bryan wydawał się bezradny. Nie potrafił wytłumaczyć tego Jenckowi. Tylko ktoś, kto odwiedzał jeden pokój za drugim był w stanie to zrozumieć - to, jak wewnątrz odzwierciedlało osobowość mieszkańców mimo jednakowych mebli i wystroju. W niektórych pokojach panował bałagan, w innych porządek; niektóre pachniały potem, inne perfumami, a jeszcze inne środkami czystości albo w ogóle nie miały zapachu; niektóre nosiły piętno francuskiej drobiazgowości, a w innych wyczuwało się ducha włoskiej elegancji. Jednak na swój sposób każdy pokój był wyjątkowy.

- Nie miałeś wrażenia, że ktoś je przetrząsnął?

- Nie.

- Żadnych śladów?

- Żadnych.

Jencks przestał chodzić po pokoju i znowu usiadł. Nerwowo uderzał ołówkiem w oparcie fotela. Był zdenerwowany, cholernie zdenerwowany. Zwykle starał się ukrywać emocje, panować nad nimi. Dziś jednak było mu to zupełnie obojętne.

- Jesteście pewni, że dobrze szukaliście?

- Do cholery. - Miguel nie wytrzymał. - Oczywiście, że jesteśmy pewni. Może na początku nie szukałem zbyt dokładnie. Sądziłem, że będzie łatwo. Później, kiedy niczego nie znalazłem, przetrząsałem dosłownie wszystko. No, może poza zasłonami. Mówię ci, nie było tam czego szukać.

- W porządku - odparł Jencks. - Nie bierz tego do siebie.
- A jak, do diabła, mam to brać?
- To był ciężki dzień - przyznał Jencks. - Przepraszam.

Miguel zaśmiał się gorzko i wyciągnął z kieszeni piersiówkę. Pociągnął łyk i podał ją Bryanowi. Ten zrobił to samo i wręczył butelkę Jencksowi.

- Co to?
- Tequila - odparł Miguel. - Importowana.

Jencks pociągnął z butelki. Alkohol palił usta i rozgrzewał żołądek.

- Lepiej smakuje z cytryną i solą - wyjaśnił Miguel. - Ale musimy improwizować.

Jencks po raz kolejny zaczął analizować wydarzenia minionego dnia. Był półprzytomny, jak człowiek, który raz za razem ogląda ten sam film. Zmusił umysł od wysiłku. Zobaczył siebie, jak unieruchamia windę, rozmawia z portierem, jak trzy razy próbuje zapalić papierosa, wchodzi do budki telefonicznej, w ciemności przechodzi przez hol, otwiera sejf...

- Pora kolacji - stwierdził. - Musieli to zrobić w porze kolacji, między dziewiętnastą a dwudziestą. Sam zastanawiałem się, czy nie rozegrać tego w ten sposób. To by nam oszczędziło zabawy z ładunkami wybuchowymi, gaszeniem świateł i pożarami. Rozwiązanie dużo bardziej eleganckie, ale i niebezpieczne. Musiałbym wejść do gabinetu, narażając się na to, że ktoś mnie zobaczy, i wyjść tak, żeby nikt mnie nie widział. To ryzykowne, bo Bonnard często je kolację w swoim biurze.

- Ktoś najwyraźniej podjął to ryzyko - zauważył Miguel. Zapadła długa, przygnębiająca cisza.

- Posłuchajcie - odezwał się w końcu Jencks. - Wygląda na to, że ktoś zaplanował wszystko dokładnie tak jak my. Czy kiedy przeszukiwaliście pokoje, widzieliście na korytarzu kogoś, kto wydał się wam podejrzany? Kogoś, kto mógłby robić to samo co wy?

- Gdzie tam - rzucił Bryan. - Nie wchodziłem do pokoju, jeśli widziałem kogoś w zasięgu wzroku.

Miguel przytaknął.

No to zabrnęliśmy w ślepy zaułek, pomyślał Jencks. Żadnych wskazówek, żadnych tropów. Jak to zrobili? Kto mógł wejść do gabinetu Bonnarda w trakcie kolacji? Kto mógł przeszukać pokoje? Pokojówki? Konserwatorzy? Pokręcił głową. To musiała być grupa gości; ktoś taki jak oni.

- Jestem pewien, że wciąż tu są - stwierdził Jencks.

Bryan pokiwał głową.

- Też tak myślę.

- Są tu i nie mogą się wydostać, bo wysadziliśmy most. - Jencks się roześmiał. - Utknęli tu jak my wszyscy. I idę o zakład, że wszystko, co ukradli, też tu jest.

Znowu postukał ołówkiem w oparcie.

- Na litość boską - mruknął Miguel. - Jestem zmęczony.

Jencks odłożył ołówek.

- Nikt nie wie, że doszło do kradzieży - odezwał się Bryan. - Przynajmniej na razie. Dyrektor hotelu myśli, że to burza zniszczyła most. A to znaczy, że tylko my wiemy, co naprawdę się zdarzyło.

- Spróbujmy stworzyć domniemany profil złodziei - zaproponował Jencks. - Ustalić, co to za jedni.

Zmarszczył czoło, myśląc, że gdyby mógł wprowadzić dane do komputera, urządzenie stworzyłoby portret pamięciowy przestępcy. Jak szybko? Może w ciągu czterdziestu sekund.

- Cały czas mówimy „oni”, i myślę, że mamy rację - stwierdził Bryan.

- Nie mogą być starzy - zauważył Miguel. - Przeszukiwanie pokoi to ciężka praca.

- To już coś - stwierdził Jencks. - Jest ich kilku i nie są starzy. Powiedzmy, że jest ich troje.

- W hotelu chyba nie ma żadnych trzysobowych grup - zauważył Bryan. - Nie licząc rodzin z dziećmi.

- My też nie wyglądamy na takich, którzy działają razem - rzucił Jencks, ale wiedział, o co Bryanowi chodzi. Pomyśl, żeby stworzyć profil włamywaczy, był z góry skazany na niepowodzenie.

- Spróbujmy czegoś innego - zaproponował. - Troje ludzi. Co robią?

- To co my - odparł Miguel. - Węszą i rozmawiają z gośćmi. Są wścibscy.

- Kto tak się zachowywał?

- Brady - odparł Miguel.

Jencks musiał przyznać, że wszystko wskazywało na Brady'ego. I tu sprawa się kończyła. Ponieważ Brady zniknął. Nie mógł więc dokonać kradzieży.

- Kto jeszcze?

Bryan wzruszył ramionami.

- Nikt. A zarazem wszyscy. Wiesz, jak to jest. Kiedy z kimś

rozmawiasz, jesteś tak zajęty myśleniem z wyprzedzeniem i kombinowaniem, jak zadać kolejne pytanie, że nie zwracasz uwagi na to, co do ciebie mówi. Starasz się być wiarygodny i podajesz jakieś informacje na swój temat. Sam podałem numer mojego pokoju kilkunastu osobom.

Jencks wiedział, że Bryan ma rację; zrobił to samo. Jedna z tych kilkunastu osób znalazła odpowiedź i zgarnęła całą pulę. Próbował przypomnieć sobie ludzi, których poznał, jednak nikt nie wzbudził jego podejrzeń. Zerknął na zegarek.

- Dochodzi czwarta - oznajmił. - Lepiej będzie, jak się rozejdziemy i spotkamy rano. Przy basenie, około dziesiątej. Możemy też przestać udawać; nie ma czasu na zabawę. Dobra?

Dwaj mężczyźni wstali. Byli zmęczeni i próbowali się uśmiechnąć. Wyszli, zostawiając Jencksa wpatzonego w burzową noc. Błyskawica rozświetliła niebo. Chwilę później świat na powrót pogrążył się w mroku.

. . .

Po śniadaniu Peter zszedł do podziemnego garażu wykutego w skale pod hotelem. Była to ponura, rozległa jaskinia z szarego betonu, cuchnąca ropą i spalinami. Samochody stały zaparkowane w równych rzędach, oświetlone fluorescencyjnymi światłami. Dzięki Bogu, włączyli prąd, pomyślał. Bez światła to miejsce wyglądałoby jak lochy.

Po jednej stronie zauważył przeszkloną kabinę parkingowego i pompę benzynową. Podszedł do niego mężczyzna w nieskazitelnie czystym, białym kombinezonie.

- Señor?

- Chcę zobaczyć swój samochód.

Parkingowy pokręcił głową, że nie rozumie. Głupi Hiszpan. Peter pomachał mu przed nosem kluczykami do jaguara. Na twarzy mężczyzny odmalowało się zrozumienie. Zaraz jednak znowu pokręcił głową i machnął ręką w stronę wyjścia.

- Dlaczego nie? Nie możesz tak po prostu mnie wyrzucić.

- *Puenta, puenta* - odparł tamten. Wykonał ruch ręką, żeby pokazać, że most się zawalił.

- Wiem, wiem. Nigdzie się nie wybieram. Chcę tylko zobaczyć swój samochód, popatrzeć na niego. Jest tam. Dobrze?

Zdezorientowany natłokiem słów mężczyzna wzruszył ramionami i się oddalił. Peter mijał kolejne samochody, aż dotarł do jaguara. Musnął palcami elegancką linię przedniego zderzaka. Jest piękny,

pomyślał. Piękny, pełen gracji i seksowny. On sam czuł się seksowny, siedząc za kierownicą. Bał się, że burza uszkodzi jego cacko.

Obszedł samochód i usiadł za kierownicą. Parkingowy nie zwracał na niego uwagi, gdy Peter położył ręce na obręczy z polerowanego drewna. Skręcił koła i usłyszał skrzypięcie gumy na betonie. Samochód reagował błyskawicznie, spełniał każdą jego zachciankę. Był jak idealna kobieta, idealna kochanka. I był jego, tylko jego.

Pogwizdując, wysiadł z jaguara i wrócił do hotelu.

. . .

Pan Bonnard i Annette stali na skraju wyspy i patrzyli na zawalony most. Wczesnym rankiem burza ucichła i teraz, w świetle dnia, most wyglądał - jeśli to w ogóle możliwe - gorzej niż w nocy. Częściowo zanurzony w wodzie, przypominał splątana szarą masę wygiętych belek i rozpór. Jakby ręka olbrzyma wyrwała go z fundamentów.

- I co pan o tym myśli? - spytała Annette, zapalając papierosa.

- Nie wiem, co myśleć. Zapewniano nas, że nie ma takiej burzy, która mogłaby zrobić coś takiego, ale nie jestem inżynierem. Po prostu nie wiem.

- Możemy przewieźć ludzi na łódź?

- Pewnie tak. Juan wypłynął dwie godziny temu. Kazałem mu popłynąć do Playa del Rio i wezwać tamtejszą policję. - Playa del Rio było małą miejsciną na wybrzeżu, u ujścia rzeki. Było to najbliższe miasteczko, choć żeby się tam dostać, należało pokonać cztery kilometry nierównego terenu.

- Jak szybko uda się nam przetransportować samochody na łódź?

- Nie liczyłbym na to, że postawią tu tymczasowy most - odparł pan Bonnard i mrużąc oczy, spojrzał na wyrwę. - Może policjanci będą mieli jakiś pomysł. Jakiś żuraw albo coś. Tak czy siak, będzie to droga impreza. Przez następne trzy miesiące będziemy mieli na głowie pracowników firm ubezpieczeniowych. - Pan Bonnard wzdrygnął się na myśl o Cranzu, wstrętnym, małym śledczym z Berna, który przyjechał do hotelu tuż po jego otwarciu. Cranz i jego współpracownicy uprzykrzyli mu wówczas życie.

Annette wzięła głęboki oddech.

- Lepiej stanę za biurkiem i stawię czoło rozwścieczonym gościom. Co mam im powiedzieć?

- Że pomoc jest już w drodze - odparł rzeczowo. - Liczymy na to, że po lunchu zaczniemy przewozić ludzi na łódź. Roszczenia o odszkodowanie należy kierować do Hotelsa w Madrycie. Myślę, że

czeka nas kilka procesów. - Westchnął. - To takie trudne.

Zamierzali wrócić do hotelu, gdy podeszła do nich Jenny Cameron. Dziewczyna wyglądała niezwykle świeżo i młodo w granatowym swetrze. Zdumiona spojrzała na to, co zostało z mostu.

- Jak to się stało? - spytała.

Nie chcąc sprawiać wrażenia kogoś, kto nie do końca wie, co się wydarzyło, pan Bonnard odrzekł:

- Zawalił się podczas burzy. Podejrzewamy, że wysokie fale osłabiły betonowe podpory.

- Szkoda - stwierdziła Jenny. Wyglądała na szczerze zmar-twioną.

- Zapewniam panią, że robimy, co w naszej mocy, żeby wszystko wróciło do normalnego stanu - dodał pompatycznie pan Bonnard. Był człowiekiem, który czując, że nie ma innej możliwości, uciekał się do urzędowego tonu.

- Miło mi to słyszeć - odparła Jenny.

Gdy Annette i dyrektor hotelu odchodzili, dziewczyna wpatrywała się w most z zagadkowym uśmiechem. Patrząc na nią, można było odnieść wrażenie, że cieszy ją to, co się stało.

• • •

Jencks z irytacją spojrział na zegarek. Było po dziesiątej i żaden z jego współpracowników jeszcze się nie pojawił. To tyle, jeśli chodzi o dyscyplinę, pomyślał. Nigdy wcześniej takie rzeczy się nie zdarzały. Po drugiej stronie basenu dostrzegł Jenny, która pomachała mu na powitanie. Wyglądała, jakby miała zamiar do niego podejść. Widząc to, pokręcił głową. Dziewczyna wzruszyła ramionami i odeszła. Był to wyjątkowy pokaz uległości. Najwyraźniej wyszkolił ją lepiej, niż mu się wydawało.

Marne to było pocieszenie. Jencks miał za sobą kiepską noc i raniem był zły i czuł się nieszczęśliwy. Bezchmurny, ciepły dzień jeszcze bardziej podkreślał stan jego umysłu - mroczny i pośepny. Kiedy myślał o wczorajszym dniu, tylko jedna pozytywna rzecz przychodziła mu do głowy - burza. Z urywków rozmowy, którą usłyszał przy śniadaniu, dowiedział się, że większość ludzi - w tym pracownicy hotelu - wierzyła, że most zawalił się na skutek burzy. Jednak byle ekspert zauważy, Jencks o tym wiedział, że było inaczej. Ale na przyjazd ekspertów trzeba poczekać dzień lub dwa. Do tego czasu nikt nie był podejrzany, nawet prawdziwi złodzieje.

To była ich jedyna przewaga.

Przyjrzał się pozostałym ludziom siedzącym nad basenem. Niektórych z nich nigdy wcześniej nie widział. Domyślał się, że przyjechali na weekend z Barcelony. Każdy z nich mógł dokonać kradzieży, zwłaszcza siedząca kilka metrów dalej para ponuraków. On wyglądał na nieokrzesanego, złośliwego przystojniaka; ona miała w sobie wytworną elegancję, która - zdaniem Jencksa - stanowiła przykrywkę dla dość niskiego urodzenia. To jednak nic nie znaczyło. To, że ktoś wyglądał jak złodziej, nie czyniło z niego złodzieja. Jencks szczyił się tym, że można było powiedzieć o nim wiele, ale na pewno nie to, że wygląda jak rabuś.

Kto jeszcze nie wyglądał na złodzieja? Warrenowie z jakiejś miejsciny w Ohio. Ich rozwrzeszczany bachor pluskał się w wodzie, zwracając na siebie tyle uwagi, ile tylko mógł. Pani Warren miała ziemistą cerę i wychudzone, ptasie ciało. Jej schrypnięty głos przywołał na myśl krakanie, gdy poirytowana przemawiała do małego Herbiego. Mały Herbie wypluł w jej stronę strumyczek wody. Pan Warren, pulchny człowieczek w pomiętym, workowatym garniturze, pogroził mu palcem i powiedział coś o słuchaniu mamy. W odpowiedzi Herbie roześmiał się i z jeszcze większym zapałem zaczął rozchlapywać wodę.

Była także panna Shaw, która siedziała na płóciennym krześle, ze stertą bananów u boku i książką na kolanach. Jencks nie wyobrażał sobie bardziej ekscentrycznej staruszki, ale musiał przyznać, że na swój staroświecki sposób była czarująca. Spojrzała na Herbiego i zmarszczyła nos z dezaprobatą. Jencks czuł to samo. Ktoś powinien udusić tego małego gnojka.

Pojawił się włoski architekt. Towarzyszyła mu ciemnowłosa dziewczyna o figurze klepsydry i pięknych oczach. Jencks instynktownie polubił ich, choć plotka głosiła, że mieli swoje problemy. „Nie są małżeństwem”, syknęła mu do ucha pani Aldrich. Jej głos przypominał wodę sodową tryskającą z butelki. Jencks miał to gdzieś. Uważał, że stanowią dobrą parę.

Czy mogli dokonać skoku? Raczej nie, ale już samo to budziło podejrzenia.

- Witam - rzucił Miguel, sadowiąc się na leżaku.
- Przynajmniej nie powiedziałeś „dzień dobry”. Gdzie Bryan?
- Nie wiem, nie widziałem go. Przepraszam za spóźnienie, zasnęłam. Rano usłyszałem kilka zabawnych rzeczy. Wiesz, że nikt się nie domyśla, że most został wysadzony? Myślą, że to przez burzę. - Zachichotał. - To dobrze. Nikt nie będzie nas podejrzewał.

Jencks puścił tę uwagę mimo uszu.

- Jakież pomysły? - spytał.

- Żadnych. Myślałem nad tym cały poranek i nic nie przyszło mi do głowy. Poza tym mam dość patrzenia podejrzliwie na wszystkich dookoła.

- Podziwiam twój brak powagi.

- Chryste, są chwile, gdy jedyne, co możemy zrobić, to się śmiać.

Pojawił się Bryan.

- Spóźniłeś się - warknął Jencks. - Prawie pół godziny.

- Było warto - odparł Bryan, siadając na leżaku.

- To znaczy? - spytał Jencks. Zapomniał, że jeszcze chwilę temu był na niego zły, ale nie śmiał mieć nadziei.

- Obserwowaliście rozkład zajęć w hotelu? - zapytał Bryan. - Ja tak, pewnie dlatego, że tak dużo rozmawiałem z dziewczyną. Wszystko tu idzie jak po maśle, głównie dlatego, że zatrudniają wielu pracowników, płacąc im niskie, hiszpańskie stawki. Rano pokojówki zmieniają pościel w pokojach, które są zwalniane i...

- Do rzeczy.

Bryan się uśmiechnął; najwyraźniej nie zamierzał pozbawiać się przyjemności, jaką była chwila triumfu.

- I sprzątają te pokoje, w których goście zostają na kolejną noc. Układają rzeczy na toaletkach, wymieniają ręczniki i opróżniają kosze na śmieci. Wrzucają ich zawartość do dużych płóciennych worków, takich jak te na poczcie, które są następnie zabierane przez boyów hotelowych. Widzieliście je?

- Tak - przyznał Miguel. - Są zielone. Jasnozielone.

- Właśnie - przytaknął Bryan. - Mijałem worki na korytarzu i w jednym z nich zobaczyłem coś dziwnego. Leżało między stertą listów, petów i pustych butelek. - Sięgnął do kieszeni i wyciągnął zmięte zdjęcie wnętrza pokoju hotelowego.

- Zrobione polaroidem - zauważył Jencks, spoglądając na ząbkowaną krawędź. - Zrobione polaroidem zdjęcie wnętrza pokoju.

- Sześćdziesiąt sekund. - Bryan się rozpromienił.

- Zdjęcie zrobiono, stojąc w drzwiach pokoju - zauważył Jencks, patrząc na fotografię. - A następnie wyrzucono. Pytanie tylko: dlaczego?

- Tak samo było z tymi.

Bryan wyciągnął z kieszeni kolejne trzy zdjęcia. Każde przedstawiało inny pokój; każde zostało zgniecione i wyrzucone.

- Myślałem o tym, co powiedziałeś wczoraj; że to dokładna ko-

pia tego, co sami zaplanowaliśmy. Cóż, to są...

- Zdjęcia! - oświadczył Jencks. - Używali zdjęć. Nie polegali wyłącznie na własnej pamięci. Wchodzili do pokoju, robili zdjęcie i przeszukiwali go, czekając, aż się wywoła. Wtedy mogli porównać pokój z fotografią i zobaczyć, czy wszystko jest na swoim miejscu. To genialne.

- Znacie kogoś, kto miałby polaroid? - spytał Bryan.

- Ja znam - odezwał się Miguel, który do tej pory w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie.

Mężczyźni spojrzeli na niego z wyczekiwaniem.

- Nimfomankę z trzeciego piętra, która twierdzi, że nazywa się Cynthia.

- Cynthia? - powtórzył Bryan. - Znasz ją?

- Tak - odparł Miguel. - Przespałem się z nią.

- To ma sens - zauważył Bryan. - Mnie też zagadywała.

- Skąd ją znasz? - spytał Jencks. Starał się zapanować nad emocjami.

- Kilka dni temu podeszła do mnie. Próbowła mnie poderwać, kręciła biodrami. Pogadaliśmy chwilę, ale nie byłem zainteresowany. Znasz ją, Steve?

- Ze mną też próbowała - odparł Jencks.

- Nimfomanka - oświadczył Miguel, jakby wydawał opinię lekarską.

Jencks zmrużył oczy.

- O czym rozmawialiście?

- Nie rozmawialiśmy - wyjaśnił Miguel. - My tylko...

- Nie pytam ciebie, tylko Bryana.

Bryan wzruszył ramionami.

- O różnych rzeczach. Nie pamiętam. Dziewczyna kręciła się koło mnie, eksponując swe wdzięki.

- Wyciągnęła ze mnie informacje - stwierdził ponuro Jencks. - Wtedy tego nie zauważyłem, ale kiedy teraz o tym pomyślę...

- Ze mnie wyciągnęła znacznie więcej. - Miguel wybuchnął chrapliwym śmiechem.

Jencks miał ochotę mu przywalić, ale w porę się opanował.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli złożymy jej wizytę - oświadczył.

Po tych słowach wstali i wrócili do hotelu.

. . .

Cynthia podniosła wzrok, zaskoczona, że drzwi się otworzyły,

mimo że zostawiła klucz w zamku. Do pokoju weszło trzech mężczyzn.

Była w trakcie ubierania się i miała na sobie wyłącznie kaszmirowy sweterek, który sięgał jej do pasa. Odruchowo obciągnęła materiał, tak by zakrył jej krocze, ale pośladki wciąż miała nagie.

- Ładne nogi - zachichotał Miguel, zamykając drzwi. - Żałujcie, że nie wiecie, co potrafi z nimi robić.

- Co to za zapach? - Jencks przez chwilę węszył w powietrzu.

Miguel od razu go rozpoznał.

- Ziolo - odparł, patrząc na Cynthię z zainteresowaniem.

- Co takiego?

- Ziolo. Marihuana. Paliła ją.

- Nie. - Cynthia cofnęła się. Jedną ręką wciąż próbowała obciągnąć sweter.

- Kiedy są na haju, robią się bardzo podejrzliwe - wyjaśnił Miguel. - Co z nią zrobimy?

- Może myślicie - mruknęła Cynthia - że trzech facetów do dla mnie za dużo. Wcale nie. Mogę się wami zająć. - Ręką, która jeszcze przed chwilą trzymała rąbek swetra, zaczęła błądzić po udach.

- Jest na haju - rzucił Miguel. - Pozwólcie, że się tym zajmę.

Ton jego głosu zaniepokoił Jencksa, który stwierdził:

- Ja się tym zajmę.

- Lepiej będzie, jeśli ja to zrobię - upierał się Miguel. - Z przyjemnością. - Podszedł do Cynthii i ujął w dłonie jej twarz.

Jencks zamierzał zareagować, ale Bryan powstrzymał go i pokręcił głową. Jencks się zawahał, ale w końcu dał za wygraną i oparł się o ścianę.

- Cynthia - zaczął czule Miguel, głaszcząc policzek dziewczyny.

- Pamiętasz mnie?

- Tak - odparła rozmarzonym głosem.

- Cynthia, chcieliśmy zrobić kilka zdjęć. Gdzie twój aparat?

- Nie mam aparatu. - Wydęła usta i zbyt energicznie pokręciła głową.

- Cynthia.

Przestała kręcić głową i spojrzała na niego.

- Tak?

- Nie chcę cię skrzywdzić.

W ciszy pokoju rozległ się jej śmiech, wysoki i melodyjny.

- Nie możesz. Przecież mówiłam, zajmę się wami wszystkimi.

- Nie o tym mówię. - W głosie Miguela pobrzmiwała groźba,

ale dziewczyna zdawała się tego nie zauważać.

- Nie mam aparatu.
- A gdzie jest?
- Nigdy nie miałam żadnego aparatu.
- Widziałem polaroid. W twoim pokoju. Pamiętasz, Cynthia?
- Nie mam aparatu.

Jego dłoń delikatnie głaskała jej policzek. To było miłe, ale jego głos wydał się jej zabawny. Mówił raz głośno, raz cicho, jak radio, które ktoś pogłasniał, a zaraz potem przyciszał. Jeśli chciał seksu, nie było problemu, ale nie wydawał się zainteresowany. Cała ta gadka o aparacie fotograficznym i ten jego głos - podniesiony i spokojny, znowu podniesiony i spokojny.

- Zaraz zrobię ci krzywdę, Cynthia.

Roześmiała się i puściła sweter, który podjechał jej aż do pępka. Materiał otulał ciało niczym miękkie dłonie.

Przeszedł ją dreszcz. Widziała pożar, który ogarniał puste pole, opuszczone pole pszenicy, gaj drzew oliwnych, sad pełen dojrzewających wiśni...

Miguel pochylał się nad nią. Jego pachnący dymem papierosowym i kawą oddech omywał jej twarz niczym fale.

- Cynthia, jeśli będzie cię bolało, powiedz, a przestanę.

Jego głos dochodził z kabiny pogłosowej, z wielkiego ciemnego pokoju, skąd wracał echem, by ją dręczyć. „Powiedz, a przestanę” - usłyszała po raz kolejny. „Powiedz mi, a przestanę... powiedz, a przestanę... powiedz, a przestanę...”

- Myślisz, że to dobre rozwiązanie? - odezwał się jeden z mężczyzn. „Dobre rozwiązanie... dobre rozwiązanie... dobre rozwiązanie...”

- Pozwól, że ja się tym zajmę - powtórzył Miguel.

Poczuła, jak jego ręka unosi jej sweter. Zimne powietrze musnęło brzuch i piersi. Miguel dyszał. Jego palce błądziły po jej ciele, dawały ukojenie. Za chwilę będą się kochać. W końcu wszystko sprowadzało się do seksu. Roześmiała się.

Wymierzył jej siarczysty policzek. Cynthia zamknęła oczy. Strach ścisnął ją za gardło, tak jak orzeł chwyta jagnię, i uniósł wysoko w górę, z dala od ziemi, z dala od bezpieczeństwa.

Jego ręce pieściły jej kolano, a chwilę później zacisnęły się na nim. Nie mocno, raczej delikatnie, z uczuciem. Z czasem pieszczoty stawały się coraz bardziej bolesne, a ręka Miguela sunęła w górę po wewnętrznej stronie uda Cynthia. Skóra była tu delikatna, tak więc

jego dotyk sprawiał jej ból, który rozchodził się po ciele jak zmarszczki po wodzie. Jego ręka pięła się w górę. Ból narastał. Wkrótce stanie się nie do zniesienia.

- Gdzie jest aparat?

Głos był beznamiętny. Prawie go nie słyszała. Skupiała się na bólu, który wgryzał się w ciało. Był jak zwierzę - rzucał się na nią, gryzł i warczał. Nie miał prawa tu być. Był obrzydliwy, straszny i przerażający.

Jego ręce raniły ją raz za razem. Wszystko zlewało się w całość; każde kolejne uszczypnięcie łączyło się z poprzednim. Ból wznosił się i opadał. I nagle ustał. W jednej chwili poczuła spokój i się odprężyła. Jego dłoń pieściła jej nogi i usta. Była gotowa go przyjąć. Jego palce zanurzyły się w niej. Dotykały jej, szukając tego jedynego miejsca. Wiedziała, gdzie ono jest – małe, wzniesienie na polu złocistej pszenicy. Niedługo je znajdzie, a ona będzie cieszyła się jego odkryciem.

Rozkosz eksplodowała pod jej powiekami niczym kometa. Posypały się iskry pożądania. Miguel odnalazł miejsce i pieścił je. Drżące kolana ugięły się pod nią.

Pragnęła go. Był taki wyjątkowy; musiała go mieć. Czowała się bezbronna jak zamknięty w słoiku motyl. Przeszła ją dreszcz podniecenia, a zaraz potem kolejny. Jęknęła.

Ból, który poczuła chwilę potem, był nie do zniesienia. Miguel szczypał jej ciało z niewiarygodną siłą. Nigdy dotąd tak nie cierpiała. Jego druga ręka szczypała jej nagą pierś. Jej ciało stało się ogniskiem bólu, który sprawiał, że miała ochotę krzyczeć.

- Aparat - powtarzał, dysząc jej w twarz. - Gdzie jest aparat?

Wyciągnęła i naprężyła szyję.

- Nie mam żadnego aparatu - odparła. Czy nie rozumiał, że nie chciała rozmawiać o aparacie? Aparaty jej nie interesowały.

Jego ręka znów złagodniała. Posiniaczone piersi Cynthii unosiły się i opadały. Z trudem łapiąc powietrze, poczuła, że zalewa ją kolejna fala rozkoszy. Było to niesamowite połączenie. Rozkosz była mniej znośna od bólu. Niemał pragnęła, by znów ją skrzywdził. Zobaczyła dom zalany wodą, sieczony deszczem i znów zalany ciepłą, wirującą wodą. Znajdował się w samym środku dżungli. Z gałęzi drzew zwiślały liany, a smukłe, młode drzewka strzelały ku słońcu.

- Proszę, weź mnie - jęknęła. Zaszło jej w ustach i miała problemy z oddychaniem.

- Aparat. Po prostu powiedz, gdzie jest aparat.

Głos miał suchy, spękany i łuszczący się jak stara farba.

- Weź mnie.
- Musisz odpowiedzieć na moje pytanie.

Choć dyszał głośno, jak maszyna parowa, słyszała jego słowa wyraźnie. Nagle przeszył ją ból, z początku odległy, jednak z każdą chwilą przybierał na sile. Zagryzła wargi. Nie była w stanie znieść więcej. Ból ustał i ogarnęła ją rozkosz, która jednak nie przyniosła spokoju. Tym razem kształtowała ją i przygotowywała na miłosne uniesienia. To, co robił, było cudowne.

Gdy przestał, jęknęła.

Potrzebowała mężczyzny. Musiała poczuć go w sobie i złagodzić to nieznośne swędzenie.

- Proszę. Błagam. - Wiła się, z trudem łapiąc powietrze.
- Powiedz.
- Nie.
- Powiedz albo sobie pójdę.

Zawahała się. By ją przekonać, by przechylić szalę, dotknął jej. Było to delikatne muśnięcie, pociągnięcie pędzla na płótnie.

- Ma go Jean-Paul - wyznała, dysząc...
- Jean-Paul?
- Jean-Paul Morand - wyjaśnił jeden z mężczyzn. Głos miał szorstki jak żwir. - Wiem, co to za jeden. Klient wygląda na twardego.

- To sprawka twoja i Jean-Paula? - spytał Miguel.

„Twoja i Jean-Paula... twoja i Jean-Paula...”. Słowa rozbrzmiewały w jej głowie echem, powtarzane bez końca.

- Tak. To my. A teraz, proszę...
- Gdzie jest towar? - Miguel nie dawał za wygraną.
- Jean-Paul - powtórzyła. - Ma go Jean-Paul.
- Wystarczy, dość już usłyszałem - oświadczył kolejny głos.

Otworzyła oczy, zobaczyła światło i trzy twarze. Na dwóch malował się spokój, jedna była spocona. Cynthia wyciągnęła rękę do Miguela.

- Nie zostawiaj mnie teraz.

Mężczyzna spojrzął na swoich towarzyszy. Brzydał wskazał kciukiem drzwi. Wyglądał na zniesmaczonego.

- Nie stosuję tortur - zwrócił się do niej Miguel. - Ale obawiam się, że tym razem będę musiał zrobić wyjątek. Później.

Wstał. Szykował się do wyjścia. Cynthia miała ochotę krzyknąć. Ogarnęła ją panika. Co oni zamierzali zrobić? Była taka napalona,

taka mokra. Drżała na całym ciele. Tymczasem on ją zostawiał, wychodził. Wszyscy wychodzili. Słyszała, jak idą w stronę drzwi, które chwilę później zatrzęsły się za nimi.

Została sama i wybuchła histerycznym płaczem.

• • •

Bryan wszedł do recepcji, niosąc swój sweter.

- Przepraszam - zwrócił się do Annette. - Jeden z gości zostawił go przy basenie kilka minut temu. Facet nazwiskiem Morand. Pomyślałem, że podrzucę mu go do pokoju.

- Możemy wysłać boya hotelowego - odparła Annette.

- Nie kłopotz się - rzucił pospiesznie Bryan. - I tak szedłem na górę. W którym pokoju mieszka?

- Dwieście czternaście - powiedziała, zerkając na listę gości.

- Dziękuję. - Bryan się uśmiechnął.

• • •

Na pierwszym piętrze spotkał się z Jencksem.

- Dwieście czternaście - oświadczył.

Weszli piętro wyżej i ruszyli w głąb korytarza. Pokojówki kończyły właśnie sprzątać ostatnie pokoje.

- Gdzie Miguel?

- Poszedł po broń.

- Broń! Mówiłem mu...

- Tak, wiem. To na wszelki wypadek.

Zatrzymali się przed drzwiami do pokoju Jean-Paula.

- Czekamy na Miguela? - spytał Bryan.

Jencks pokręcił głową. Nie lubił broni i sam używał jej w ostateczności. Zapukał do drzwi.

- Kto tam? - spytał męski głos. Jego właściciel nie wydawał się przestraszony czy zainteresowany, po prostu był zajęty.

- *Femme de chambre* - odparł Jencks wysokim głosem.

- *Un moment* - nadeszła odpowiedź.

Chwilę później usłyszeli kroki. Drzwi się uchyliły i zobaczyli twarz Jean-Paula pokrytą pianką do golenia. Jencks brutalnym pchnięciem otworzył drzwi, więżąc ramię mężczyzny między skrzydłem a ścianą. Obaj weszli do pokoju i rzucili go na łóżko. Usiadł i spojrzał na nich oszołomiony.

- Aparaty - rzucił Jencks.

Jean-Paul skoczył na równe nogi, jednak Bryan uderzył go pięścią w brzuch. Francuz zwinął się z bólu. Miał piankę do golenia na kolanach.

- Koniec gierki - oświadczył Jencks. - Nie jesteśmy w nastroju do zabawy. Gdzie są aparaty?

- *Je ne parle pas anglais* - bąknął Jean-Paul.

Bryan chwycił go za nadgarstek i łokieć, wyprostował mu rękę i rzucił nim o ścianę. Mężczyzna uderzył w nią twarzą. Nie zdążył jednak upaść. Bryan złapał go, gdy osuwał się na podłogę, i odwrócił w stronę Jencksa.

Pianka zostawiła na ścianie ślad w kształcie litery „u”.

- Uważaj - Jencks zwrócił się do Jean-Paula. - Możesz się zabić, jeśli nie będziesz uważał.

Jean-Paul był ledwo przytomny. Bryan musiał go podtrzymywać.

Nie mówiąc nic, Jencks odwrócił się i zaczął przeszukiwać pokój. Otworzył drzwi szafy i szperał wśród ubrań. Zaraz potem przetrząsnął szuflady komody. Usłyszał jęk i zobaczył, że Bryan upuścił Francuza na łóżko.

- Zgaś jak światło - zażartował Bryan.

- Nie byłeś szczególnie delikatny.

- Jeszcze chwila i się rozpłaczę.

Bryan dołączył do poszukiwań. Szukali pod łóżkiem, za meblami i w łazience. Walizka Jean-Paula była zamknięta. Jencks przez kilka minut siłował się z nią, próbując otworzyć zamek scyzorykiem. W środku nie było nic.

- Sukinsyn - warknął Bryan.

Gdy Jencks podniósł wzrok, Jean-Paul stał przy drzwiach. Żaden z nich nie zauważył, jak wstał; za bardzo byli pochłonięci poszukiwaniami. Francuz otworzył drzwi, jednak Bryan rzucił się w jego stronę. Mężczyzna kopnął go i Anglik, jęcząc, osunął się na kolana. Zanim Jencks zerwał się na równe nogi, Francuz był już za drzwiami. Jencks usłyszał na korytarzu jego kroki. Odepchnął Bryana i wybiegł z pokoju. Korytarz był pusty, ale Jencks usłyszał tupot nóg i zobaczył znikający za rogiem cień.

Niewiele myśląc, rzucił się w pościg.

- Już idę - jęknął Bryan, który za jego plecami dźwigał się z podłogi.

Jencks skręcił za rogiem i słysząc kroki, pobiegł w górę szerokich krętych schodów. Na trzecie piętro, a później na czwarte. Nad głową wciąż słyszał szybkie kroki. Piąte piętro. I znowu odgłosy kroków.

Jean-Paul kierował się na dach.

Na ostatnim piętrze usłyszał trzask zamykanych drzwi. Francuz był teraz na zewnątrz i ukrywał się gdzieś na płaskim, szerokim dachu hotelu za którymś z kominów albo szybów wentylacyjnych. Jencks podszedł do drzwi i wyjrzał przez małe, kwadratowe okienko.

Dach był pokryty czarną papą i wysypany żwirem. Rozgrzane powietrze drżało i falowało, rozmazując kształty białych prostokątów, które tu i ówdzie wyrastały z dachu. Nigdzie nie było śladu Francuza.

Jencks się zawahał. Czy Jean-Paul był uzbrojony? Mało prawdopodobne, ale nie mógł tego wykluczyć. On sam miał przy sobie jedynie scyzoryk, czyli dość mało użyteczną broń. Usłyszał tupot kroków Bryana. Wychylił się przez poręcz schodów i zobaczył czarno-białą szachownicę podłogi holu pięć pięter niżej. Dookoła nie było żywej duszy. Najwyraźniej mężczyźni biegający po hotelu nie zwracali niczyjej uwagi. Może personel miał na głowie ważniejsze sprawy. Dołączył do niego zdyszany Bryan.

- Jest na dachu? - spytał.
- Tak. Te drzwi to jedyna droga, żeby się stamtąd wydostać.
- W takim razie mamy go - ucieszył się Bryan. Wyjrzał przez okienko. - Wiesz, gdzie się ukrył?
- Nie. Wyjdę tam i zobaczę, czy uda mi się go wykurzyć. Nie spodziewa się ciebie, więc zostań tu i nie pozwól mu uciec. - Jencks ściągnął brwi. - Możesz robić, co chcesz. Facet tak łatwo się nie podda.

Bryan pokiwał głową. Jencks wyszedł na dach i zamknął za sobą drzwi.

Pierwszą rzeczą, na którą zwrócił uwagę, był silny, porywisty wiatr, który uderzył go w twarz i szarpnął ubraniami. Zaraz potem poczuł na szyi gorące promienie popołudniowego słońca. Jeśli nie liczyć wiatru i terkotu generatora, na dachu panowała zupełna cisza. Jego stopy zachręściły na żwirze. Pochylił się i zdjął buty. W samych skarpetach robił mniej hałasu, ale jego kroki wciąż były słyszalne. Ruszył w stronę pierwszego komina.

Był to szeroki biały prostokąt, większy niż domowa lodówka, za którym z powodzeniem mógł ukryć się człowiek. Podszedł bliżej i wyjrzał zza rogu.

Pusto.

Oddychając głęboko, próbował opanować nerwy. Musiał zachować zimną krew. Podszedł do następnego komina, który bezgłośnie wypluwał kłęby czarnego dymu.

Przykucnął i obszedł go dookoła.

Nic.

Szedł w stronę trzeciego komina, kiedy usłyszał za plecami sieknięcie. Odwrócił się i zobaczył Jean-Paula siłującego się przy drzwiach z Bryanem. Podbiegł do nich w chwili, gdy Francuz wyprowadził skuteczny cios w szczękę Bryana. Przez moment Jencks obawiał się, że Jean-Paul znowu im ucieknie, jednak Miguel wyrósł jak spod ziemi i blokując przejście, dwukrotnie uderzył Francuza w nos. Głowa Jean-Paula odskoczyła do tyłu.

Mężczyzna się zachwiał, runął na ziemię i niezgrabnie dźwignął się na nogi. Wpadł na Jencksa, który wymierzył mu potężny cios. Jean-Paul, dysząc, zwałił się na ziemię. Z nosa i ust płynęła mu krew, jedno oko miał zamknięte od opuchlizny. Jencks chwycił go za włosy, szarpnięciem podniósł mu głowę i spojrzał w zmaltretowaną twarz.

- Upadek z takiego dachu będzie długi - oznajmił swobodnym tonem. - Chodź i zobacz.

Zaciągnął Jean-Paula na skraj dachu i kazał mu spojrzeć trzydzieści metrów w dół. Obaj gapili się na błękitny prostokąt basenu. Czarne płytki na dnie układały się w napis „Hotel Reina”. Basen był pusty. Ludzie siedzieli nad brzegiem, jak wtedy, gdy Jencks, Bryan i Miguel szli do pokoju Cynthii.

- Masz ochotę skoczyć? Cały jesteś spocony. - Jencks pchnął do przodu wiotkie ciało Jean-Paula. - Dobrze by ci to zrobiło.

Nie przestając dyszeć, mężczyzna spojrzał w dół, a potem w górę na Jencksa. Zawahał się. Widząc to, Jencks opuścił jego głowę.

- Dobrze - wycharczał Jean-Paul. - Powiem wam. Tylko wciągnij mnie z powrotem.

Jencks ani drgnął.

- Nie wierzę ci i zaczynasz mnie męczyć.

Gwałtownie szarpnął go w dół.

- Chryste! Powiem wam. Musicie mi uwierzyć. - Twarz miał bladą jak płótno, w oczach strach.

Jencks niechętnie odciągnął go od krawędzi dachu.

- Facet nazywa się Brady. To on ma pieniądze. On...

Jencks zawlókł go z powrotem na skraj dachu.

- Zła odpowiedź - rzucił. - Będziesz musiał się bardziej postarać.

- Przycisnął brodę Jean-Paula do betonowego brzegu dachu i szarpnięciem uniósł jego głowę. - Spróbuj jeszcze raz.

- Panna Shaw - wyrzucił Francuz. Krew spływała mu po brodzie.

- To panna Shaw. Ona to wszystko zaplanowała.

W przyplywie złości Jencks znowu go uderzył i odepchnął na bok. Spojrzał w dół na basen. Oczywiście! To było genialne posunięcie! Brady i Cynthia badali teren, Jean-Paul odwalił całą brudną robotę, a staruszka, która była mózgiem całej operacji, siedziała cicho jak mysz pod miotłą, handlowała prochami i zajadała się bananami.

Wśród siedzących nad basenem gości dostrzegł kręłą sylwetkę panny Shaw. Na stojącym obok stoliku wałały się skórki bananów. Do staruszki podszedł kelner, który na srebrnej tacy przyniósł jej wiadomość. Panna Shaw przeczytała liścik i pospiesznie rozejrzała się dookoła. Chwilę później wstała i weszła do środka.

Musieli działać.

Jencks podbiegł do drzwi, po drodze chwytając buty. Żwir wbijał mu się w podeszwy stóp, ale mniejsza z tym.

Miguel pomagał wstać Bryanowi.

- Dowiedziałeś się czegoś? - spytał.

- Nie uwierzycie. Osobą, która to wszystko zaplanowała, jest panna Shaw.

- Panna Shaw!

Jencks pokiwał głową.

- Zajmij się Bryanem. Ja zajmę się babcią.

- Chcesz broń? - Miguel wyciągnął pistolet.

- Nie. Nie będzie mi potrzebna.

Zbiegł po schodach.

To ma sens, myślał. Przynajmniej kiedy patrzy się na to z perspektywy czasu. Plan wymagał inteligencji, której Brady nie miał i o której Jean-Paul mógł jedynie pomarzyć. Planowanie i opanowanie musiały być domeną kogoś innego. Panna Shaw była idealną kandydatką. Pamiętał, jak sprytnie wtopiła się w tło; jak udawała zabawną, ekscentryczną niezamężną cioteczkę. Już wówczas powinien coś podejrzewać. Ktoś, kto się tak zachowywał, nie mógł być szczerzy.

Staruszka była lisicą.

Zbiegł na trzecie piętro i stanął przed drzwiami do jej pokoju. Włożył klucz do zamka i otworzył drzwi. Panna Shaw stała przed nim, odprężona i spokojna. W jednej ręce trzymała małą walizkę.

W drugiej pistolet.

POPOŁUDNIE,

DWUDZIESTY DRUGI CZERWCA

- Muszę przyznać, młody człowieku, że jesteś wyjątkowo bezczelny.

- Niech pani przestanie - rzucił Jencks.

- Jesteś policjantem?

- Nie.

Spojrzał na broń. Wiedział, że musi odwrócić jej uwagę i sprawić, aby popatrzyła w bok. Ona jednak mierzyła do niego, pewną ręką trzymając broń. Panna Shaw była w swoim żywiole, ściskając w delikatnych, pomarszczonych palcach powlekany srebrem pistolet.

- Jesteś jednym z nas? - Mówiąc to, uniosła brwi. - Zabawne. Nigdy bym się tego nie spodziewała. Nie w takim miejscu. Goście hotelowi to zwykle wiarygodna klientela. To ci dopiero niespodzianka. Czy miałbyś coś przeciwko, gdybym poprosiła, żebyś wszedł do łazienki?

Jencks w milczeniu zrobił, co mu kazała.

- Grzeczny chłopiec. To miłe ze strony Cynthii, że przysłała mi wiadomość po tym, jak ty i twoi przyjaciele... wpadliście do niej z wizytą. To lojalna dziewczyna, prawdziwy skarb. Teraz cię zostawię i zamknę za sobą drzwi do pokoju. Wolalabym, żebyś nie wybiegł z łazienki, gdy będę przekręcała klucz w zamku. Nie jestem już młoda i łatwo mnie przestraszyć. Rozumiemy się?

- Aż za dobrze.

Jencks stłumił śmiech. W końcu dotarł do miejsca, gdzie jego misterny plan i szczegółowe przygotowania się opłaciły. Najwyraźniej panna Shaw nie wiedziała, że drzwi zamknięte od zewnątrz można otworzyć od wewnątrz, przekręcając gałkę.

- Zejdę na dół i oświadczę, że nakryłam mężczyznę, który przeszukiwał mój pokój. Niebawem goście zorientują się, że zostali okradzeni, i jak myślisz, kogo będą obwiniać? Nikczemnika, który został przyłapany w pokoju panny Shaw. Przygotuj się na długą rozmowę z policją. Słyszałam, że to wyjątkowo wredne typy.

Jencks udawał wściekłego.

- A teraz zamknij drzwi jak uczciwy człowiek. O, właśnie tak. Miłego dnia, panie Jencks.

Zaczekał, aż przekręciła klucz i wyszedł z łazienki.

Staruszka przewróciła pokój do góry nogami. Gdziekolwiek spojrzeł, widział porozrzucane ubrania i wysunięte szuflady. Niezłe posunięcie; Jencks poczuł sympatię do tej kobiety. Na jej miejscu zrobiłby to samo. Zmarszczył czoło - zostawiłby też broń jako dowód obciążający.

Rozejrzał się po pokoju i zobaczył pistolet ukryty dyskretnie na toalecie. Przebiegła stara lisica! Przystawił ucho do drzwi i wsłuchał się w cichnące z każdą chwilą kroki, po czym wyszedł na korytarz.

Staruszka szła w kierunku schodów. Pobiegł za nią i dogonił ją między drugim i trzecim piętrem. Była zdziwiona, ale nie zdenerwowana. Podniosła parasolkę niczym rapier i dźgnęła go nią.

Srebrna ostra końcówka błysnęła w słońcu, które wlewało się przez świetlik. Jencks postąpił krok do przodu, ale staruszka raz za razem nacierała na niego parasolką, trzymając go z dala od siebie i walizki pełnej kosztowności. Jej obwisłe policzki trzęsły się, ale nawet na chwilę nie opuściła gardy. W pewnej chwili syknęła:

- Naprawdę jest pan niemożliwy.

Poza tym ich walka przebiegała w milczeniu.

Krążyli po szerokich marmurowych schodach - on, atakując, ona, odpierając jego ataki. Jencks przez cały czas wodził wzrokiem za metalową końcówką parasolki, na tyle ostrą, by przebić mu brzuch. Staruszka posługiwała się nią jak wytrawny fechtmistrz, zadawała cios i cofała się, zachowywała równowagę i kontrolowała sytuację. Zmęczony Jencks zaczął się pocić. Wreszcie zatrzymał się i oparł o poręcz.

- Chyba zatrula ją pani jakąś afrykańską trucizną.

- Drogi chłopcze, twoja wyobraźnia jest wręcz niewiarygodna.

Walka rozgorzała na nowo. Staruszka stopniowo zmusiła go do wycofania się, jednak zaraz potem sytuacja się odwróciła. W ciągu kolejnych minut to jedna, to druga strona miała przewagę, aż w końcu Jencks ją zaskoczył. Wytrącił jej z dłoni parasolkę i rzucił się na staruszkę. Mimo swojej postury była lekka i bez trudu ją przewrócił. Upadając, wyrzuciła walizkę przez poręcz schodów.

Przerażony Jencks puścił ją i spojrzał w dół.

Panna Shaw niezgrabnie dźwignęła się na nogi. Ona również spoglądała w dół.

Walizka spadała.

Z początku wolno, jednak z każdą chwilą nabierała prędkości.

- No to pięknie - skwitowała staruszka.

Walizka z hukiem spadła na marmurową podłogę i się otworzyła.

Wysypały się z niej naszyjniki, pierścionki, gotówka, czeki podróżne i zegarki. Kosztowności toczyły się, podzwaniały i odbijały od czarno-białej posadzki.

Nie mogąc na to patrzeć, Jencks odsunął się od poręczy.

- Jesteś blady jak ściana, młody człowieku - zauważyła panna Shaw.

- Jak mogła to pani zrobić?

- Och, to nic. Nie będę słuchała takich bzdur. Chodź ze mną, napijemy się likieru bananowego.

- Podzieliłbym się z panią, jakoś byśmy się dogadali...

- Uważaj - ostrzegła, biorąc go pod rękę. - Bo się za bardzo podniecisz.

Razem zeszli do baru. Jencks milczał i chwiał się na nogach. Nie wiedział, gdzie jest ani co robi.

- Rozchmurz się - powiedziała panna Shaw, klepiąc go po ramieniu. - Doznałeś szoku, to wszystko. W moim wieku człowiek uczy się przyjmować pewne rzeczy z klasą, i przy kieliszku albo dwóch. Uwierz mi, za sekundkę poczujesz się lepiej.

. . .

Annette w osłupieniu patrzyła na podłogę. To wszystko nie miało sensu, nie potrafiła tego pojąć. Ludzie zbiegli się, żeby sprawdzić, co to za hałas. Usłyszała chrzęst i zobaczyła zakłopotanego mężczyznę, który zdjął nogę z czegoś, co kiedyś było zegarkiem. Rozległy się krzyki. Hotelowi detektywi próbowali rozproszyć tłum i oczyścić przestrzeń obok schodów. Kilku gości, którzy próbowali napchać kieszenie kosztownościami, dostało po łapach.

Powoli rozumiała. Ktoś okradł mieszkańców hotelu. Wydawało się to nieprawdopodobne - nie było żadnych skarg ani nawet plotek - a jednak dowody leżały rozsypane na podłodze.

Chwilę później pojawił się wzburzony pan Bonnard. Oczy wychodziły mu z orbit, usta drżały.

- Dokonano kradzieży! - ryknął. - Dlaczego nie zostałem poinformowany?

Annette zignorowała jego pytanie.

- Sprawdzał pan hotelowy sejf?

- Mój Boże - jęknął mężczyzna. - Sejf. Nie. - W pośpiechu wrócił do swojego gabinetu.

Klucząc na palcach między kosztownościami, Annette podeszła do gości i poprosiła ich, żeby wrócili do sali restauracyjnej. Tłumaczyła,

że wszystko jest pod kontrolą i że nie ma żadnego problemu. Precjoza, które leżały rozsypane za jej plecami, sprawiały, że czuła się niedorzecznie.

- To mój pierścionek - wrzasnęła jedna z kobiet. - Poznaję go. Jest mój! Zostałam okradziona. Proszę natychmiast oddać mi mój pierścionek. Proszę mi go dać.

Hotelowi detektywi próbowali zapanować nad sytuacją, jednak tłum ani myślał dawać za wygraną.

- Kradzież! Kradzież! - Krzyki brzmiały jak monotony śpiew.

Wrócił pan Bonnard.

- Okradziony - stwierdził z trwogą. - Wyczyszczony. Zostaliśmy okradzeni!

- Lepiej niech pan przemówi do gości - poradziła mu Annette. - W końcu jest pan dyrektorem hotelu.

Pan Bonnard pokiwał głową, przełknął z trudem i cofnął się o krok. Zaraz potem klasnął w dłonie, prosząc zgromadzonych o ciszę.

- Przyjaciele, proszę...

- Kradzież! Złodziej!

- Wiedziałem, że nie powinniśmy byli przyjeżdżać do Hiszpanii, Harriet - powiedział jakiś mężczyzna.

Jego głos nie był zbyt donośny, ale i tak wszyscy go usłyszeli.

- Proszę, proszę - powtarzał pan Bonnard, podnosząc błagalnie ręce.

Wśród zgromadzonych zapadła cisza.

- Muszę państwa prosić, żeby wrócili państwo do sali restauracyjnej. W hotelu dokonano kradzieży, ale wszystko wskazuje na to, że skradzione przedmioty zostały... oddane. Ci panowie to hotelowi detektywi i zapewniam państwa, że kontrolujemy całą sytuację. - Wiedział, że jego twarz mówi coś innego, mimo to ciągnął: - Niebawem będzie tu policja, która zajmie się odzyskanymi kosztownościami i zwróci je właścicielom.

Tymczasem proszę, żeby państwo się cofnęły. W przeciwnym razie policjanci będą zmuszeni przeszukać każdego z gości, który spróbuje opuścić hotel.

Tłum zawahał się, mruknął i cofnął się.

- Kiedy przyjedzie policja? - szepnęła Annette.

- Kto to wie? - odparł żałośnie pan Bonnard. - Mam nadzieję, że niedługo. - Zauważył z satysfakcją, że tłum się rozprasza i dzieli na coraz mniejsze grupki. Jeszcze kilka słów i wszystko powinno wrócić do normy. Czując, że wraca mu pewność siebie, pan Bonnard

odchrząknął.

. . .

Pół godziny później w barze panował spokój. Jencks pił trzeci kieliszek likieru bananowego i palił dziesiątego papierosa z rzędu.

- To dopiero zbieg okoliczności - stwierdziła z zadowoleniem panna Shaw. Zachowywała się, jakby byli starymi przyjaciółmi, którzy wpadli na siebie po latach.

Jencks pośepnie pokiwał głową i zaciągnął się papierosem. Nie był mocny. Spojrzał na paczkę - camele. Westchnął i przywołał kelnera.

- Które papierosy są mocne? - spytał pannę Shaw.

- Niech pan spróbuje gitanes'ów - poradziła staruszka. - Zwałą pana z nóg.

Kelner przyniósł paczkę i Jencks z lubością zaciągnął się dymem.

- Nie wiedziałam, że pan pali - odezwała się panna Shaw.

- Dopiero zaczynam - odparł Jencks. - To odpowiedni moment, żeby nabrać nowych, złych nawyków. - Spojrzał na nią z ciekawością. - Pani też użyła komputera?

- Boże jedyny, nie - odparła. - Do głowy by mi to nie przyszło. Ale pan to zrobił. Sprytnie. Od razu wiedziałam, że bystry z pana człowiek. Nie ufam tym wszystkim nowościom: komputerom, odrzutowcom i całej reszcie. Samochody to inna sprawa. Uwielbiam samochody. I nic poza tym. Wolę wszystko robić sama.

Jencks odruchowo pokiwał głową. Pokiwałby tak samo, gdyby oznajmiła, że jest wcieleniem królowej Wiktorii.

- Myślę, że to pan wysadził most, zepsuł windę i zrobił resztę tych okropnych rzeczy.

Jencks potwierdził skinieniem głowy.

- Tyle zachodu - ciągnęła panna Shaw. - Dla zwykłej kradzieży. To dlatego wy, Amerykanie, wyróżniacie się w świecie biznesu. Zawsze walicie z grubej rury. To bardzo nietaktowny plan, jeśli mogę tak powiedzieć.

- Powiódłby się - odparł ze smutkiem Jencks.

- Oczywiście, że by się powiódł. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Ale trochę za dużo w nim zamieszania. Poza tym jest strasznie kłopotliwy, jeśli chodzi o gości. A przecież musimy o nich pamiętać, prawda?

Jencks pociągnął łyk likieru.

- Chyba panu smakuje - zauważyła staruszka. - To dobrze. Ale proszę pamiętać, żeby zawsze wybierać likier bananowy Bols.

Holendrzy robią najlepszy. Dużo lepszy od Marie Brizard i innych.

Jencks znowu pokiwał głową, odstawił pusty kieliszek i zamówił kolejny.

- Niech mi pani powie - zaczął - czy to coś w rodzaju hobby, czy raczej pracy?

- Cóż, będę z panem zupełnie szczerą, panie Jencks.

- Proszę mówić mi Steve.

- W takim razie będę z tobą zupełnie szczerą, Steve. W moim wieku drobne przyjemności są niezwykle ważne; dużo ważniejsze, niż kiedy jest się młodym. Tak więc od czasu do czasu lubię... podreperować stan swojego konta. Zwykle organizuję takie wypadki dwa razy do roku. Czasami częściej, czasami rzadziej. To zależy.

- Działajmy w duecie - zaproponował pod wpływem chwili.

Staruszkę wyraźnie rozbawiła jego propozycja.

- To bardzo miłe z twojej strony. Będę zachwycona, jeśli w przyszłości nasze drogi się zejdą.

- Dopilnujemy, żeby tak było.

Panna Shaw przez chwilę rozważała jego propozycję. W końcu sięgnęła do torebki i wyciągnęła wizytówkę.

- To mój adres - powiedziała. - Ze względów zdrowotnych rzadko bywam w Brighton, ale mam doskonałe kontakty i listy zawsze do mnie docierają. Odezwiesz się?

- Tak - obiecał Jencks, chowając wizytówkę.

- Cudownie - odparła. - Mam ochotę na kieliszek przed lunchem.

. . .

- Mówię poważnie - oznajmił Peter, kiedy na stole pojawił się deser karmelowy. - To twoja ostatnia szansa.

Jenny dopiła wino i spojrzała na niego z uwagą.

- Wiem - odparła.

- I nie masz mi nic więcej do powiedzenia?

- Nie.

- Mogę zapytać, jak będziesz podróżowała przez resztę wakacji, kiedy zabraknie mnie i mojego samochodu?

- Coś wymyślę.

- To ten facet, tak? - rzucił oskarżycielsko. - Ten bokser. To z nim uciekasz, tak?

- Tak - przyznała Jenny, wkładając do ust kawałek *crème caramel* i myśląc o Bazylice Świętego Piotra.

W Rzymie będzie gorąco, ale to jej nie przeszkadzało. Znajdą hotel z klimatyzacją.

- Muszę ci coś powiedzieć - zaczął Peter. - Twój facet wyjedzie stąd sam. Nawet się z tobą nie pożegna.

- Dlaczego tak myślisz?

- Znam takich jak on.

- Jesteś taki przebiegły, Peterze. Nie przestajesz mnie zadziwiać.

- Proszę bardzo, śmieję się. Zaczekaj, a przekonasz się, czy miałem rację. Wtedy nie będzie ci do śmiechu. - Nie tknąwszy deseru, wstał od stolika. - Ale gdybyś mnie szukała, będę w Saint-Tropez. To mała miejscina i...

- Byłam już w Saint-Tropez, Peterze.

Spojrzał na nią zmieszany i poirytowany.

- Naprawdę myślisz, że zabierze cię ze sobą?

- Tak - odparła bez wahania. - Tak właśnie myślę. - Sięgnęła ponad stołem i przysunęła sobie jego deser. Bardzo powoli zaczęła go jeść. Oczami wyobraźni zobaczyła wysoki szkielec platformy wiertniczej, usłyszała szcęk stali i pokrzykiwania pracujących na niej mężczyźni.

. . .

- Jak się czujesz? - spytał Jencks.

- Jakbym wpadł do szybu windowego. Ale nic mi nie będzie. - Bryan, krzywiąc twarz, przez chwilę wiercił się na łóżku. Miał na czole ogromnego siniaka, a jedno oko było zapuchnięte i fioletowe.

- Na takie rzeczy dobry jest stek - stwierdził Jencks.

- Już zamówiłem, ale to, co dostałem, było tak cienkie, że niemal przezroczyste. Obawiam się, że będę musiał się tym zadowolić.

- Wracasz do Londynu?

- Nie od razu.

Jencks uniósł brwi.

- To miłe miejsce - ciągnął Bryan. - Myślę, że trochę tu posiedzę.

- Urwał. - Czemu tak na mnie patrzysz?

- Nie, nic. Nic.

- Mam przyjaciela. - Bryan mówił powoli. - W Lyonie. Od lat suszy mi głowę, żebyśmy wspólnie z nim prowadził firmę eksportową. Robi większość interesów na południu Francji, gdzie w czasie wojny spędziłem mnóstwo czasu.

- Nie wracasz do Londynu?

- Nie wiem. To zależy.

Jencks nie pytał, od czego to zależy. Wyciągnął rękę.

- To miła dziewczyna - powiedział.
- Co to ma znaczyć?
- Nic, nic. - Ucisnęli sobie dłonie. - Daj mi znać, co z tego wyszło.

- Dam. Cześć, Steve.
- Powodzenia, Bryan.

Kiedy Jencks wyszedł, do drzwi pokoju zapukała Annette. Po cichu weszła do środka.

- Wyglądasz fatalnie - stwierdziła.
- Spadłem ze schodów - przypomniał Bryan.
- Prosto na oko.
- To sprawa honoru.
- Czyjego?

Bryan wzruszył ramionami.

- Mojego. Twojego.
- Powinieneś tu zostać przez kilka najbliższych dni, zanim doprowadzisz się do porządku.

- Mam taki zamiar. - Uśmiechnął się.
- Długo? - spytała, również się uśmiechając.

Wzruszył ramionami. Nie wiedział, co czuł do tej dziewczyny. Kiedy na nią spojrział, pomyślał o Jane, ale obraz był niewyraźny, jak film, który oglądał w młodości. Dość miał swojego dawnego życia. Ciągła niepewność nie sprawiała mu już frajdy, budziła jedynie strach. Jane należała do przeszłości, od której chciał się uwolnić - surowa i chłodna, była jej integralną częścią.

- Powiedz - odezwał się. - Często bywasz na południu Francji?

• • •

- Biedactwo - powiedziała Cynthia, smarując twarz Jean-Paula środkiem odkażającym. Uśmiechnęła się do siebie. Z różowymi kółkami na policzkach wyglądał jak kłown. Jean-Paul się skrzywił.

- Bardzo boli?
- Nie - odparł. - Tylko kiedy...
- Nieważne - przerwała mu. - Za dzień albo dwa poczujesz się lepiej. Chcesz zimny kompres na czoło?

Pokiwał głową. Zmoczyła ściereczkę i położyła mu na czole. Naprawdę wyglądał strasznie; na całym ciele miał paskudne ślady i zadrapania, a na brodzie głęboką ranę. Szkoda, pomyślała, ale Miguel i tak był lepszy w łóżku. Miał w sobie to coś.

- Niedługo zajrzy do ciebie ciocia Elizabeth - oznajmiła.

Jean-Paul patrzył, jak podchodzi do drzwi.

- Wychodzisz? - spytał.

- Tak - odparła. - Muszę się... spakować.

- *A bientôt.*

- *A bientôt, Jean-Paul.*

Zamknęła za sobą drzwi i pospiesznie ruszyła do swojego pokoju.

- Kochanie - mruknął na jej widok Miguel. - Gdzie byłaś?

Co za ciało, pomyślał. Co za ciało. Każdy jej krok był jak rockandrollowy kawałek. Dudnił człowiekowi w głowie, każdy ruch, każde najdrobniejsze drżenie.

- Opiekowałam się chorym - odparła. Przeciągnęła się. Miała wrażenie, że towar przestał działać kilka dni temu. Czuła się przybita i chciała znów być na haju.

- Założę się, że jesteś świetną pielęgniarką.

- Zajmowanie się chorymi nie jest moją mocną stroną.

- A co nią jest?

- Rozkosz, czysta rozkosz. - Rozejrzała się po pokoju, szukając papierosów. - Zapalmy sobie.

- Masz towar?

- Więcej niż trzeba. - Podała mu papierosa, który wyglądał normalnie, poza tym, że koniec bibułki był skręcony. - Mam ochotę się upalić i uprawiać nieprzyzwoity seks.

- Jestem za - odparł, zapalając skręty. Wciągnął dym do płuc i przytrzymał go tak długo, jak było to możliwe. Nie lubił zapachu marihuany, ale przecież nie o zapach tu chodziło.

- Powinniśmy zacząć się spotykać - zaproponował z uśmiechem.

- Może. Ale najpierw będziesz musiał pokazać, na co cię stać.

- Daj mi tylko szansę.

- Dam ci więcej niż jedną szansę - obiecała, zaciągając się dymem.

Później, kiedy każde z nich wypaliło po dwa skręty, a czas to gnał, to znowu zwalniał, Cynthia zaczęła się rozbierać.

- Szansa numer jeden? - spytał.

- Właśnie tak - odparła.

• • •

Po rozmowie z Bryanem Jencks szukał Miguela, ale nie mógł go znaleźć. Domyślał się powodu jego nagłego zniknięcia, więc szedł do baru na kolejny kieliszek likieru bananowego. Musiał przyznać, że

likier był całkiem niezły. Tym razem zamówił z lodem, żeby przekonać się, jak będzie smakował. Barman spojrzał na niego jak na szaleńca. Cóż, pomyślał Jencks, zapalając papierosa, może rzeczywiście jestem szalony

- Steve - mruknęła Jenny. - Szukałam cię.

Miała na sobie granatowy sweter, który sprawiał, że wyglądała młodziej i bardziej dziewczęco.

- Drinka? - spytał, wskazując kieliszek.

- Co to?

- Likier bananowy z lodem. Taki mały eksperyment.

- Dla mnie zamów burbona z wodą.

Zrobił, o co go prosiła, i przesiedli się do stolika.

- Chciałam z tobą porozmawiać - powiedziała. - O Rzymie.

- Ja też chciałem z tobą porozmawiać - wyznał.

Zastanawiał się, jak jej to powiedzieć. Liczyła na tę podróż, choćby po to, żeby uwolnić się od przyszatego dzieciaka. Patrzyła na niego tak niewinnym wzrokiem, że nie potrafił wydusić z siebie słowa. W końcu jednak zdobył się na odwagę. - Nie jadę do Rzymu - powiedział.

- Spodziewałam się tego.

- Naprawdę? - spytał zaskoczony. - Dlaczego?

- Bo nic by z tego nie wyszło.

- Co? O czym ty mówisz?

Jej spokojny głos przyprawił go o dreszcze.

- O twoich planach.

- Jenny - zaczął - powiedz, co masz na myśli.

- Tak z ciekawości, dokąd się teraz wybierasz?

- Jeszcze nie wiem - odparł.

- Nie wierzę.

- No dobrze - przyznał. - Myślałem o Wyspach Kanaryjskich.

Może o Las Palmas.

- Tylko wakacje? - Wychwycił w jej głosie aluzję, i znowu zaдрzał.

- Tak, oczywiście. Potrzebuję odpoczynku.

- Wiem.

- Jenny przestań mówić zagadkami.

- Właściwie nie wiem, jak to wyjaśnić - odparła. - Czy kiedykolwiek mówiłam ci, czym zajmuje się mój ojciec?

- Tak. Jeśli dobrze pamiętam, mówiłaś coś o wydobywaniu ropy.

- Tak. Odkąd byłam dzieckiem - zignorowała jego uśmiech -

ogłądałam platformy wiertnicze. Widziałam wszystkie etapy wydobywania ropy i urządzenia wykorzystywane w przemyśle rafineryjnym.

- Chcesz powiedzieć, że wiesz, jak wygląda zapalnik - odparł oschle.

- Na moście odwaliłeś kawał dobrej roboty - przyznała. - Bardzo profesjonalnej roboty. Jak zdetonowałeś ładunek? Przez radio?

- Prawdę mówiąc, rozważyłem taką opcję, ale zmieniłem zdanie i... - Urwał. Co on wygadywał?

Uśmiechnęła się.

- Weź mnie ze sobą, proszę.

- To szantaż!

- Spójrz na to z innej strony. Będę idealną towarzyszką, atrakcyjną, miłą, niewymagającą... jeśli nie liczyć pewnych sfer... i ukladną. I nie powiem nikomu ani słowa.

- O czym?

- To cudowne, że wszystko oddałeś. Z początku nie wiedziałam, dlaczego to zrobiłeś, ale cieszę się, że masz sumienie.

Jencks ukrył twarz w dłoniach i jęknął.

- Weź mnie ze sobą.

- I jak to się wszystko skończy? - spytał. - To niemądre z twojej strony, że o tym nie pomyślałeś.

- Pomyślałam i nie obchodzi mnie, jak to się skończy. Nie chcę tylko, żeby skończyło się już dziś.

Spojrzał w jej niebieskie oczy i zobaczył długie rzęsy, jasne włosy, dołeczki w policzkach i pełne usta. Miała niewinną twarz, w której było coś drapieżnego. Była dziewczyną dla niego i wiedziała o tym. Oboje wiedzieli. Na razie wszystko wydawało się idealne. Miała rację - nieważne, jak to się skończy. Oto czego nauczył się w ciągu ubiegłego tygodnia - człowiek nie mógł przewidzieć, co i jak się zakończy. Bez względu na to, jak bardzo się starał i jak szczegółowo wszystko planował, ostateczny rezultat zawsze pozostawał niewiadomą.

- W porządku - oznajmił. - Niech będzie Las Palmas. Wyjeżdżamy jutro o dziewiątej rano.

Uśmiechnęła się. Był to szczęśliwy, promienny uśmiech.

- Jestem już spakowana.